

ROBERT E. HOWARD  
JACK PETERS

CONAN WŁADCA MIASTA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THREE-BLADED DOOM  
PRZEKŁAD GRZEGORZ RUKAT

ROZDZIAŁ 1  
OSTRZE W CIEMNOŚCI

Gdy minął ciemne przejście, usłyszał za plecami szybkie, stłumione kroki. To ostrzegło Conana. Obrócił się z kocią szybkością i zobaczył pod łukowatym sklepieniem wysoką postać zadającą mu potężny cios. Na wąskiej, przypominającej zaułek, ulicy, było ciemno, ale Conan dostrzegł dziką, brodatą twarz oraz błysk stali w uniesionej dłoni. Zobaczył to, próbując jednocześnie skrętem całego ciała, uniknąć śmiertelnego uderzenia. Nóż rozerwał mu koszulę. Nim napastnik odzyskał równowagę Cymeryjczyk chwycił jego ramię i trzasnął napastnika w twarz, mocno zaciśniętą pięścią. Mężczyzna padł na ziemię bez słowa.

Conan stanął nad nim, nasłuchując w napięciu. W górze ulicy, za najbliższym rogim, usłyszał kroki kogoś w sandałach, oraz stłumione, stalowe pobrzękiwania. Powiedzieli mu, że ulice Khorshemish w nocy będą śmiertelną pułapką dla mającego tu wielu wrogów Conana. Zawahał się, na wpół wyjmując z pochwy wielki, obosieczny miecz, potem wzruszył ramionami i pośpieszył w dół ulicy, omijając z daleka ciemne, sklepione łukami przejścia, pojawiające się w ścianach budynków, wyznaczających ulicę. Skręcił w inną, szerszą ulicę i w kilka chwil później stuknął delikatnie do drzwi, nad którymi płonęła oliwna lampa.

Drzwi otwarto prawie natychmiast i Conan szybko wkroczył do środka.

— Zamknij drzwi!

Wysoki, zarośnięty Kothyjczyk, który wpuścił Cymeryjczyka, zatrzasnął ciężki rygiel i odwrócił się. Zaniepokojony szarpał swoją brodę badając wzrokiem przyjaciela.

— Twoja koszula jest rozcięta, Conanie! — zagrzmał.

— Jakiś człowiek próbował pchnąć mnie nożem — odpowiedział Conan. — Inni mnie śledzili.

Dziki oczy Kothyjczyka rozbłysły, a jego muskularna ręka spoczęła na rękojeści miecza wiszącego przy jego biodrze. Miecz miał około metra długości, lecz nie dorównywał mieczowi, który wisiał a boku Conana.

— Pozwól nam wyruszyć i uśmiercić te psy! — nalegał.

Conan potrząsnął głową. Był wysokim, wspaniale zbudowanym mężczyzną i jego powierzchowność wywoływała głębokie wrażenie. Potężna klatka piersiowa, pokryty węzłami mięśni kark i szerokie ramiona przedstawiały obraz prawie pierwotnej siły i wytrzymałości. Poza tym, poruszał się z miękkością i swobodą, która zdradzała możliwość błyskawicznego działania.

— Niech odejdą. Są wrogami Akariona, którzy wiedzieli, że pójde do króla dziś w nocy, by prosić go o łaskę dla niego.

— A co powiedział król?

— Jest zdecydowany zniszczyć Akariona. Nieprzyjaciele Serotańczyka zatruli umysł króla przeciwko niemu, a Akarion jest nieustępliwy. Odmówił powrotu do Khorshemish i odparcia oskarżenia o bunt. Król przysięga, że wyruszy w przeciagu tygodnia, zrówna Khroszę z ziemią i zdobędzie głowę Akariona, jeśli on z własnej woli nie przybędzie i nie podda się. Wrogowie Akariona nie chcą jego przyjazdu. Wiedzą, że oskarżenia, które rzucili, nie utrzymaj się, jeśli ja będę go bronił. To dlatego próbują osunąć mnie z drogi. Nie ośmielają się jednak uderzyć otwarcie. Chcę się przekonać, czy zdołam nakłonić Akariona, by przybył i poddał się,

— Tego Wódz Khroszy nigdy nie zrobi — powiedział Kothyjczyk.

— Prawdopodobnie nie, ale mam zamiar spróbować. Akarion jest moim przyjacielem.

Obudź Medasha i przygotuj konie, ja tymczasem spakuję rzeczy. Natychmiast ruszamy do Khroszy.

Kothyjczyk ani słowem nie sprzeciwił się nocnej podróży przez Wzgórza i nie wspomniał o późnej porze. Mężczyźni towarzyszący Conanowi przywykli do trudnych wypraw i nieludzkich godzin.

— A Slikh? — spytał przed odejściem.

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Zostaje w pałacu. Król ufa Slikhowi bardziej niż własnym strażnikom i pragnie zatrzymać go jakiś czas, jako straż przyboczną. Jest niespokojny odtąd Imperator Brythunii został zamordowany przez tego fanatyka Gastona. Wrogowie Akariona prawdopodobnie obserwują dom, ale nie wiedzą o drzwiach, które prowadzą do zaułku za stajniami. Wymkniemy się tamtędy.

Potężny Kothyjczyk wkroczył do wewnętrznej komnaty i potrząsnął mężczyzną śpiącym tu na stercie futer.

— Obudź się, synu diabła. Ruszamy na wschód.

Medash, krępy Zamorańczyk, usiadł ziewając.

— Gdzie?

— Do miasta Serotańczyków, do Khroshy, gdzie ten zbuntowany pies Akarion bez wątpienia wyrwie nam wszystkim nasze serca — warknął Yarali Nakh.

Medash wstając z łóżka uśmiechał się szeroko.

— Nie kochasz Serotańczyka, ale on jest przyjacielem Conana.

Yarali Nakh rzucił gniewne spojrzenie i zamruczał coś pod nosem wychodząc z godnością na wewnętrzny dziedziniec. Skierował się ku stajni. Stajnia stała za wysokim ogrodzeniem i nikt poza ludźmi Conana nie wiedział, że ukryte drzwi łączą ją z aleją na tyłach. Dlatego wszystkie cienie, które czały się przy jego domu tej nocy, obserwowały inne fragmenty posiadłości w czasie, gdy mała grupa oddalała się ukradkiem ciemną aleją. W pół godziny od momentu, gdy Conan zapukał do drzwi swojego domu, stukot kopyt na skalistej drodze poza miastem dał świadectwo, że trzech mężczyzn pojechało szybko na wschód.

\*

Tymczasem w pałacu, kothyjski król doświadczał niepokoju; jakie nawiedzają wszystkie koronowane głowy.

Wyłonił się z wewnętrznej komnaty z wyrazem zatroskania na twarzy i automatycznie pozdrowił wspaniale zbudowanego Slikha, który wyprężył się w pełnej gotowości postawie. Król skrzył w korytarz, dając znak ręką, że chce być sam. Slikh pokłonił się i cofnął zajmując z powrotem swoje stanowisko przy drzwiach, nieświadomie pieszcząc pokrytą skórą rekina rękęjęc swojej długiej szabli.

Jego ciemne oczy podążały za królem idącym wzdłuż korytarza. Wiedział, że jego przyjaciel Conan miał prywatne trwające kilka godzin, spotkanie z królem, z którego wyszedł z gwałtownością świadcząca o irytacji.

Spotkanie to było obecne również w umyśle króla, gdy wkroczył do ogromnej oświetlanej pochodniami komnaty i podszedł do okratowanego złotem okna, które wychodziło na śpiące miasto. Rozmowa stała się pierwszą rysą w jego stosunkach z Cymeryjczykiem, który grał rolę nieoficjalnego doradcy, wywiadowcy i najemnego żołnierza. Otoczony przez potężne narody, które używały jego górzystego królestwa jako pionka w swych grach o imperium, król silnie polegał na awanturniku z Pomocy, który udowodnił swoją niezawodność mnóstwo razy.

Władca zmarszczył brwi, był wzburzony, spoglądał jałowo na kotarę osłaniającą alkowę, której zachowanie wskazywało na nasilający się wiatr, ponieważ gobelin lekko się kołysał. Rzucił okiem na złotem okratowane okno i zamarł. Cienkie zasłony wisiały nieporuszone. Jednak kotara przy alkwie ruszała się...

Król był potężnym mężczyzną, posiadającym mnóstwo osobistej odwagi. Prawie instynktownie skoczył, chwycił tkaninę i rozerwał ją — sztylet w ciemnej dłoni wyprysł ze szczeliny w materiale i uderzył go prosto w pierś: Krzyknął. Padając pociągnął przeciwnika ze sobą. Mężczyzna warczał jak dzika bestia, jego rozszerzone oczy błyszczały szaleństwem. Sztylet rozerwał królewską szatę, odsłonił kolczugę, która nie raz uratowała życie władcy. Poza komnatą niski okrzyk odpowiedział na wołanie króla o pomoc i wzdłuż korytarza zadudniły kroki biegnących. Władca chwycił napastnika za gardło i nadgarstek ręki, w której był nóż, ale żyłaste mięśnie mężczyzny przypominały stalowe węzły. Gdy toczyli się po podłodze sztylet ślizgał się na kolczudze, raniąc króla w ramię, udo i dłoń. Morderca przytrzymał słabnącego władcę pod sobą, chwycił go za gardło i ponownie uniósł nóż. Coś mignęło w świetle pochodni, jak błękitna błyskawica i morderca oklapł z głową rozszczepioną aż do szczęki.

— Wasza Wysokość, mój Panie! — Slikh pod czarną brodą był blady. — Czy zginąłeś?

Nie, ty krwawisz! Spokojnie!

Odepchnął trupa na bok i podniósł króla. Władca ciężko łapał oddech, cały był pokryty krwią, własną i napastnika. Opadł na dywan, a Slikh zaczął oddzierać pasma jedwabiu z

zasłon, aby opatrzeć jego rany.

— Spójrz! — sapał król na coś wskazując. Był wściekły, dłoń mu się trzęsła. — Nóż! Nóż!

Sztylet leżał błyszcząc przy dłoni zabitego — dziwaczna broń z ostrzem w kształcie węża. Slikh spojrział i zaklął pod nosem.

— Sztylet, Sztylet Węża! — wydyszał król, w którego oczach pojawił się strach. — Nożem tego rodzaju zabito Imperatora Brythunii i Króla Corynthii!

— Znak Ukrytych! — mruknął Slikh, niespokojnie przypatrując się złowieszczemu symbolowi straszliwego kultu, który w ciągu ostatnich, lat ciągle uderzał w ludzi zajmujących wysokie stanowiska.

W pałacu narastał hałas, ludzie biegali po korytarzach, wykrzykując pytania o to co się wydarzyło.

— Zamknij drzwi — zawołał król. — Wpuść tylko marszałka dworu\*

— Ale potrzebujemy lekarza, Wasza Wysokość — zaprotestował Slikh. — Te rany nie zasklepią się same, sztylet mógł być zatruty.

— Więc wyślij kogoś po Hakima. Ukryci skazali mnie!

Król był odważnym człowiekiem, ale jego doświadczenie sprawiało, że trząsał nim strach.

— Któż przeciwstawi się sztyletowi w ciemnościach, wężowi pod stopami, truciznie w pucharze wina? — odparł Slikh.

— Slikh, idź szybko do domu Conana i powiedz mu, że rozpaczliwie go potrzebuję!

Sprowadź go do mnie! Jeśli jest ktoś w Koth, kto może mnie ochronić przed tymi ukrytymi diabłami, to tylko on!

Slikh uklonił się i pośpiesznie opuścił komnatę. Potrząsał z niedowierzaniem głową, wspominając strach na obliczu, na którym strach nigdy nie gościł.

Istniał powód przerażenia króla. Obcy i straszliwy kult zrodził się na ziemi. Kim oni byli, jaki był ich ostateczny cel, nikt nie wiedział. Nazwano ich Ukryci. Zabijali nożami o kształcie wijącego się węża,; wykonanych ze złota, często zatrutych ostrzach. To wszystko co o nich wiadomo. Ich agenci pojawiali się nagle, uderzali i znikali, albo ginęli nie dając się wziąć żywcem. Niektórzy uważali ich za zwykłych fanatyków jakiegoś kultu. Inni wierzyli, że działania sekty mają znaczenie polityczne. Slikh wiedział, że nawet Conan nie miał żadnych pewnych informacji. Ale był przeświadczony o zdolności Cymeryjczyka do pomocy i ochrony przed tymi przebiegłymi mordercami.

\*

Trzy dni po pośpiesznym opuszczeniu Khorshemish, Conan siedział w towarzystwie jednego człowieka na szlaku, w miejscu, gdzie przekraczał on skalistą krawędź i opadał ku miastu Khroshą.

— Stoję pomiędzy tobą i śmiercią! — ostrzegł mężczyznę siedzącego naprzeciw.

Człowiek ten pociągał w zamyśleniu swą purpurowo zabarwioną brodę. Był potężnie zbudowany, miał szerokie ramiona, a jego pas jeżył się ód rękojeści sztyletów. Był to Akarion, wódz niepokromionych Serotańczyków, oraz absolutny zwierzchnik Khroshy i jego trzystu dzikich wojowników.

Jednak na jego twarzy nie gościł najmniejszy cień arogancji.

— Niech bogowie cię błogosławią! Jednak któż może uniknąć swego przeznaczenia?

— Proponuję ci sposób osiągnięcia pokoju z królem:

Akarion potrząsnął głową z fatalizmem charakterystycznym dla jego plemienia.

— Mam zbyt wielu wrogów na dworze królewskim. Gdybym udał się do Khorshemish, król dałby wiarę ich kłamstwom. Przywiązałby mnie do słupa na stosie, albo powiesił w żelaznej klatce, jako pokarm dla sępów. Nie, nie pojedę!

— Więc weź swoich ludzi i znajdź inną siedzibę. Są miejsca na tych wzgórzach, gdzie nawet król nie podąży za tobą.

Akarion spojrział w dół, wzdłuż stoku, na grupę wież z kamienia, które górowały ponad otaczającym osiedle murem z tego samego materiału. Jego cienkie nozdrza rozszerzyły się, a w oczach rozbiły się ciemny płomień, jak u orła, który ogląda własne gniazdo.

— Nie, na Crom! Mój klan posiada Khroshę od czasów Akara. Niech król rządzi w Khorshemish. Tu jestem u siebie!

— Król tak samo włada Khroshą — stwierdził przybyły Yarali Nakh, kucnąwszy za Conanem wraz z Medashem.

Akarion spojrział w przeciwnym kierunku, gdzie szlak na wschodzie znikał pomiędzy sterczącymi skałami. Na skałach kawałki białego materiału powiewały na gwałtownym

wietrze. Obserwujący to wiedzieli, że jest to odzież żołnierzy, którzy strzegli przejścia dzień i noc.

— Niech przybędzie — powiedział Akarion ponuro. — Utrzymamy miasto.

— Sprowadzi pięć tysięcy ludzi, z wieżami oblężniczymi — ostrzegł Conan. — Spali Khroszę i zabierze twoją głowę do Khorshemish.

— Wiem o tym — zgodził się Akarion spokojnie, niezłomnie i z przekonaniem, że takie jest przeznaczenie.

Conan, jak to często w przeszłości, zdusił narastającą złość. Każdy instynkt jego zawziętej natury, przeciwstawił się tej filozofii obojętności. W tym momencie sytuacja przypominała impas, nie odrzekł więc nic, tylko siedział patrząc na skały na zachodzie, nad którymi wisało słońce, kula ognia na ostrym wietrznym błękitcie.

Akarion przyjmując milczenie Conana za uznanie porażki, oddalił problem niedbałym machnięciem ręki.

— Conanie — powiedział — jest coś co pragnę ci pokazać. Tam na dole, przy tej zrujnowanej chacie, która stoi poza murem miasta, leży martwy mężczyzna, jakiego nigdy nie widziałem ani ja ani nikt z Khrosy. Nawet po śmierci wygląda obco i strasznie; myślę, że nie jest w ogóle człowiekiem, ale ....

Ostry, dźwięk okrzyku rozległ się echem pomiędzy skałami na zachodzie i natychmiast wszyscy czterej mężczyźni, zerwali się na równe nogi, patrząc w tamtą stronę.

Wiatr przyniósł odgłosy pełnych złości wrzasków. Później na urwisku pojawiła się jakaś postać, skacząca zręcznie z występu na występ. Mężczyzna tańczył jak górski diabeł wymachując włócznią; jego postrzępiony płaszcz trzepotał na wietrze.

— Ohai, Akaronie! — wrzeszczał walcząc z porywami wiatru. — Jakiś człowiek podający się za Slikha, na ochwaconym koniu czeka za przełęczą. Żąda rozmowy z Conanem!

— Slikh! — sapnął Conan, sztywniejąc. — Wpuść go natychmiast!

Akarion potwierdził rozkaz rykiem, który zawibrował w powietrzu pomiędzy urwiskami, a wartownik wspiał się z powrotem po występach. Niebawem na przełęczy pojawił się jeździec. Koń sprawiał wrażenie, że padnie po każdym następnym kroku. Łeb miał opuszczony, a skórę pokrytą pianą i potem.

— Slikh! — wykrzyknął Conan.

— Na Croma! — Slikh z grymasem na twarzy zsunął się sztywno na ziemię. — Słusznie zwą cię Amra — Lew Pustyni! Nie wydaje mi się abyś miał więcej niż godzinę przewagi nade mną, gdy przejeżdżałem wrota Khorshemish, ale mimo mych wysiłków, zmiany świeżych koni w każdej napotkanej wiosce, przez trzy dni nie mogłem cię dogonić.

— Twe wieści muszą być pilne, Slikhu.

— Są, Conanie — zapewnił Slikh. — Król wysłał mnie za tobą z prośbą, o twój natychmiastowy powrót do Khorshemish. Sztylet Węża uderzył w króla!

Silne ciało Conana stężało jak ciało pantery wietrzącej niebezpieczeństwo.

— Opowiedz mi o tym — zażądał, a Slikh w kilku zwięzłych słowach opowiedział o ataku na króla.

— W twojej kwaterze dowiedziałem się, że wyruszyłeś do Khrosy — powiedział Slikh.

— Wróciłem do pałacu i król pchnął mnie w pościg za tobą. Kazał cię sprowadzić. Cierpiał od ran i prawie umierał z przerażenia.

— Czy powiedział coś o wyprawę, jaką planował poprowadzić przeciwko Khrosy? — spytał Conan.

— Nie. Ale myślę, że nie opuści pałacu aż do twojego powrotu. A na pewno nie do chwili, kiedy jego rany wygoją się, jeśli nie umrze od trucizny, którą pomazano ostrze sztyletu.

— Otrzymałeś od Przeznaczenia szansę — powiedział Conan do Akariona, a do Slikha rzekł: — Idź do miasta, zjedz i wyśpij się. Ruszamy do Khorshemish o świcie.

Gdy pięciu mężczyzn ruszyło w dół stoku, prowadząc za sobą zmęczonego, ciężko stąpającego konia, Akarion spojrzał na Conana.

— Co o tym myślisz? — spytał.

— To, że ktoś pociąga za sznurki w Aquilonii, Turanie albo w Stygii — odpowiedział Cymeryjczyk.

— Dobra? Ja uważam Ukrytych za zwykłych fanatyków.

— Obawiam się, że są czymś więcej — powiedział Conan. — Najwyraźniej jest to tajne stowarzyszenie, kierujące się nie znanymi nam zasadami. Zauważyłem jednak, że każdy władca, którego zabito czy zaatakowano był sprzymierzony lub zaprzyjaźniony z waszym królem. Sądzę więc, że stoi za tym, któraś z potęg. Ale co chciałeś mi pokazać?

— Związki w zrujnowanej chacie — Akarion skreślił w bok i poprowadził ich ku szopie. — Moi wojownicy natknęli się na niego u stóp urwiska, z którego spadł lub został zepchnięty.

Kazałem im przynieść go tutaj, ale zmarł w drodze mamrocząc w obcym języku. Moi ludzie bali się, że sprowadzi on przekleństwo na osadę. Uważają go za maga lub diabła, i mają ku temu powody, — O jeden długi dzień drogi na północ, pośród gór tak dzikich i jałowych, że nikt nie może tam mieszkać, leży kraj, który zwiemy Tryptysthan.

— Tryptysthan! — zawtórował Conan złowieszczco. — Po aquilońsku lub stygijsku znaczy to Kraina Róż, ale w języku Corinthian oznace Kraj Upiorów.

— Tak, kraj wampirów, zły obszar czarnych turni i dzikich wąwozów unikanych przez rozsądnych ludzi. Wydaje się niezamieszkały, jednak ludzie tam żyją. Ludzie i demony. Czasem ktoś umiera, albo kobieta lub dziecko znika z odosobnionego szlaku i wtedy wiemy, że to ich robota. Spostrzegaliśmy i podążaliśmy za niewyraźnymi postaciami przemykającymi nocą, ale zawsze trop urywał się na pustym urwisku, które tylko demon mógłby przebyć. Niekiedy słyszeliśmy głosy demona odbijające się echem pośród turni. Dźwięk ten obraca serca mężczyzn w lód.

Dotarli do ruin i Akarion otworzył przekrzywione drzwi. W chwilę później pięciu mężczyzn pochylało się nad kształtem leżącym na podłodze. Postać była obca i absurdalna: niski, przysadzisty mężczyzna o szerokich, kwadratowych, płaskich rysach, koloru ciemnej miedzi i wąskich skośnych oczach — prawdziwy demon. Krew zastygła na gęstych, czarnych włosach w tyle jego głowy. Nienaturalne położenie dała świadczyło o złamanym kończynach, — Czyż nie ma wyglądu demona? — spytał Akarion niespokojnie.

— To Quanag — odpowiedział Conan. — Są tysiące takich jak on w kraju skąd przybył, daleko na wschód i nie są to magowie ani demony. Ale co on tutaj robił, tego nie umiem zgadnąć ...

Nagle jego ciemne oczy rozbłysły, chwycił i rozdarł poplamioną krwią szatę. Ukazała się poplamiona, wełniana koszula i Yarali, spoglądając ponad ramieniem Conana wydal gwałtowny okrzyk. Na koszuli, wyhaftowany karmazynową nitką tak, że na pierwszy rzut oka można by go pomylić z plamą krwi, ukazał się dziwny symbol. Ludzką pięść zaciśniętą na rękojeści, z której wyrastało ostrze w kształcie wijącego się węża.

— Sztylet Węża — wyszeptał Akarion, cofając się na widok przerażającego emblematu, który stał się symbolem przepowiadania śmierci, i, destrukcji dla władców.

Wszyscy spojrzeli na Conana, ale nikt nie rzekł słowa. On patrzył w dół na ponure godło, próbując połączyć niejasny ciąg skojarzeń, które powstały; zamglone wspomnienia starożytnego kultu zła, który używał takiego samego symbolu dawno temu.

— Czy możesz rozkazać, aby twoi ludzie zaprowadzili mnie do miejsca, gdzie znaleziono tego człowieka, Akarionie? — spytał w końcu.

— Tak, Conanie. Ale to złe miejsce. Znajduje się w Wąwozie Demonów, blisko granic Tryptysthanu i...

— Dobrze. Slikh, ty i pozostali idźcie spać. Wyruszamy o świcie.

— Do Khorshemish?

— Nie. Do Tryptysthanu.

— Więc myślisz...

— Nic nie myślę; jeszcze. Wyruszamy na poszukiwanie prawdy.

## ROZDZIAŁ 2

### MRO CZNY KRAJ

Zmierzch okrywał poszarpany horyzont, gdy pochodzący z Khrosy przewodnik Conana zatrzymał się. Przed nimi nierówny teren przecinał głęboki kanion, za którym wznosił się zakazany obszar czarnych skał i srogich urwisk. Przemiana szarych łupków, brązowych stoków i czerwonych głazów była nagła, jakby kanion określał wyraźny geograficzny dział. Za wąwozem nie, dostrzegli nic z wyjątkiem dzikiego krajobrazu, przypominającego rumowisko pełne zniszczonych, czarnych skał.

— Tam zaczyna się Tryptysthan — powiedział Serotańczyk. Jego jastrzębioocy towarzysze instynktownie wydobyli noże i zazgrzytały pochwy od wyciąganych mieczy. — Poza tym wąwozem, Wąwozem Demonów, zaczyna się kraj przerażenia i śmierci. Nie pojedziemy dalej, Conanie.

Conan przytaknął, jego przenikliwe spojrzenie sprawdzało szlak, który wił się w dół nierównego stoku aż do kanionu. Był to zanikający ślad starożytnej drogi, którą jechali od wielu mil. Wyglądało jednak, że drogę używano często i to niedawno.

Serotańczyk, domyślając się jego wniosków, kiwnął głową.

— Ten szlak jest używany. Demony czarnych gór przybywają nim i odchodzą. Ludzie, którzy podążają za nimi, nigdy nie wracają.

Yarali Nakh szarpał wojowniczo brodę i chociaż w głębi ducha podzielał ich przesady, zakpił:

— Demony? Czyż demony potrzebują szlaku?

— Kiedy demony przyjmują ludzką postać, mogą chodzić jak ludzie.

Medash mruknął coś w głębi swojej gęstej brody. Slikh pozostał niewzruszony. Jego własna mitologia była pełna potwornych demonów, ale Slikh skąpił szacunek zabobonom innych ras.

— Demony latają jak nietoperze! — zapewnił Yarali Nakh. Serotańczyk postanowił zignorować Kothyjczyka i wskazał na omijany przez szlak, sterczący występ.

— U stóp tego stoku znaleźliśmy człowieka, którego nazwałeś Quanagiem. Bez wątpienia jego brat demon klócił się z nim i zepchnął go.

— Bez wątpienia popełnił błąd i stoczył się ze szlaku — mruknął Conan. — Quangowie to ludzie pustyni. Nie nawykli do wspinaczek, a ich nogi są wykrzywione i słabe przez życie w siodle. Ktoś taki mógł łatwo potknąć się na wąskim szlaku.

— Gdyby był człowiekiem, to być może tak — ustąpił Serotańczyk. — Jednak mówię ... bogowie!

Wszyscy, z wyjątkiem Conana, drgnęli. Serotańczycy zbledli i unieśli miecze, spoglądając jak przestraszono wilki. Spomiędzy skał na południu dotarł dziwny dźwięk o szczególnym brzmieniu i ostrości, szorstki, przenikliwy ryk, wibrujący pomiędzy skałami.

— To głos demona! — wykrzyknął jeden z wojowników, nieświadomie szarpiąc wodze tak silnie, że zwierze rżąc przeraźliwie cofnęło się. — Panie, w imię Vaala, bądź rozsądny! Wracaj z nami do Khroshy!

— Jedźcie do swojej osady. Taka była umowa. Ja ruszam dalej.

— Akarion będzie Cię oplakiwał — przywódca grupy krzyknął z wyrzutem ponad ramieniem, potem kopnął swego wierzchowca czym nakłonił go do dzikiego galopu. — Kocha cię jak brata! W Khroshy nastanie żałoba! Aie! Ahai! Ohee!

Jego lamenty zamilkły pośród stukotu kopyt o kamienie, gdy Serotańczycy, ostro okładający swe konie, wspinali się w górę zbocza i znikali z pola widzenia.

— Uciekajcie, synowie beznosych matek — wrzasnął Yarali Nakh, który nigdy nie omijał okazji, aby dać upust plemiennym uprzedzeniom i pysznić się osobistą wyższością, — Napiętnujemy wasze diabły i przywlecziemy za ogony do Khroshy. Zamilkł, gdy jego ofiary umknęły z pola słyszalności.

Conan i jego towarzysze zostali na swych rumakach sami, przy krawędzi kanionu, patrząc w kierunku, z którego nadleciał złowieszczy odgłos.

Medash uniósł się nerwowo w siodle, a Yarali Nakh poszarpywał obfitą brodę i spod oka patrzył na Conana, przypominając przestraszonego wampira z metrową maczetą. Ale, Conan odezwał się do Slikba.

— Czy kiedykolwiek przedtem słyszałeś podobny dźwięk?

Wysoki Slikh przytaknął.

— Tak, w górach łodzi, którzy służą diabłu.

Conan uniósł wodze bez komentarza. On także słyszał ryk trzymetrowych, spiżowych trąb, które grzmiały ponad nagimi, czarnymi górami odległego Quanagu, w rękach ogolonych do gołej skóry kapłanów Erlika.

Yarali Nakh prychnął. On nie słyszał tych trąb i jego nikt nie pytał o radę. Był tak wojowniczo zazdrosny o uwagę; Conana, jak ulubiony pies gończy jest zazdrosny o swego pana. Wepchnął swego konia przed Slikha tak, aby być przy Conanie, gdy zjeżdżali stromymi zboczami w purpurowym blasku zmierzcha. Wyszczrzył zęby do Slikha, który był zbyt przyzwyczajony do takich przejawów niecywilizowanej pychy, aby się obrażać i powiedział szorstko do człowieka, którego przyjaźń cenił bardziej niż cokolwiek na świecie:

— Teraz, gdy zostaliśmy zwabieni do tego kraju diabłów, przez zdradzieckie, serotańskie psy, które z pewnością skradają się z tyłu i poderzną nasze gardła podczas snu, co zaplanowałeś dla nas?

Tak mógł warczeć stary, wierny pies na swego pana za to, że głaszcze innego psa. Conan pochylił głowę i splunął, aby ukryć uśmiech.

— Rozbijemy obóz dzisiaj w kanionie. Konie są zmęczone i nie ma sensu borykać się z tymi parowami w ciemnościach. Jutro przeprowadzimy trochę badań i mały rekonesans. Nie ma wątpliwości, że, Quanag należał do Ukrytych, Musiał wędrować pieszo, kiedy spadł. — Gdyby jechał konno, nie spadłby bez konia. Serotańczycy nie znaleźli martwego zwierzęcia, tylko martwego człowieka. Jeśli był pieszo, to jest pewne, że znajdował się blisko jakiegoś obozu czy spotkania. Quanag nie uszedłby daleko; tak naprawdę, na takim stoku nie uszedłby więcej niż paru metrów. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że Ukryci

spotykają się gdzieś w tym kraju za wąwozem. Tworzy on doskonałą kryjówkę. Wzgórza w tym szczególnym miejscu nie są gęsto zamieszkałe. Khrosha jest najbliższą osadą, a leży w odległości jednego dnia ostrej jazdy, jak się przekonaliśmy. Wędrownie klany trzymają się z dala, bojąc się Serotańczyków, a ludzie Akariona są zbyt przesądni, by przekraczać wąwóz niepotrzebnie. Ukryci, chowający się gdzieś tam, mogą poruszać się prawie niezauważeni. Stara droga, którą jechaliśmy większość dnia, była głównym szlakiem transportowym wieki temu i ciągle jest przejezdna dla ludzi na koniach. A co ważniejsze, omija miejsca zamieszkałe i obecnie nie jest używana przez plemiona. Ludzie nim jadący mogą dotrzeć na odległość jednego dnia drogi od Khroshy, nie obawiając się spotkania kogokolwiek. Pamiętam, że oglądałem ten szlak na starych mapach, narysowanych na pergaminie wieki temu. Szczerze mówiąc, nie wiem co zrobimy. Przede wszystkim będziemy mieć oczy szeroko otwarte i czekać na rozwój wydarzeń. Nasze przeznaczenie — powie Conan bez cynizmu — leży w rękach Croma.

— Tak być musi — zgodził się Yarali donośnie.

Gdy zjeżdżali do kanionu, spostrzegli, że szlak prowadzi w poprzek pokrytego skałami terenu i w głąb wąskiego przepastnego wąwozu, który wpadał do kanionu z południa. Południowa ściana kanionu była wyższa od północnej i o wiele bardziej stroma. Pięta się w górę jak ponury wał obronny z masywnej, czarnej skały przerywanej co jakiś czas przez wąskie, szczelinowate otwory przełomów. Conan wjechał w gardziel, w którą skręcał szlak i podążył nim do pierwszego zakrętu, odkrywając, że zakręt jest pierwszym z szeregu pętli. Parów biegnący pomiędzy prostopadłymi, skalnymi ścianami wił się i zakręcał, jak ślad węża, ciemność wypełniała go po krawędzie.

— Tędy ruszymy jutro — powiedział Conan, a jego ludzie kiwnęli w milczeniu głowami, gdy prowadził ich z powrotem do głównego kanionu, gdzie ciągle jeszcze pozostało trochę światła. Gęstniejący mrok wyglądał upiornie. Stukot końskich kopyt wydawał się rozrywać ponurą, okrutną ciszę.

Kilkadziesiąt metrów na zachód od parowu pochłaniającego szlak, kolejny, węższy jar rozdzielał ściany kanionu. Jego skaliste podłoże nie wskazywało na istnienie jakiegokolwiek drogi. Zwężał się tak gwałtownie, że Conan skłonił się ku wnioskowi o ślepym końcu. Mniej więcej w pół drogi, pomiędzy tymi szczelinami parowów, ale bliżej pomocnej ściany, która była w tym miejscu urwista, tryskało niewielkie źródło w naturalnej niecce, w wypłukanej przez wieki skale.

Przy źródle, w niszy przypominającej jaskinię, rosła rzadka trawa sucha i sztywna jak drut. Tam spętali zmęczone konie, a przy źródle rozbili obóz. Jedli, nie ryzykując rozpalenia ognia, który mógł zostać spostrzeżony z daleka, przez wrogie oczy, chociaż zdawali sobie sprawę, że już mogli zostać odkryci przez ukrytych obserwatorów. Taka szansa zawsze istnieje w górach. Namioty zostały w Khroshy. Derki rozłożone na ziemi były i tak luksusem dla Conana i jego twardego towarzyszy.

Ich pozycja wydawała się strategiczna. Grupa nie mogła zostać zaatakowana z północy z powodu stromego urwiska; nikt nie mógł dotrzeć do koni bez przejścia przez obóz. Conan zabezpieczył się przed niespodziankami z południa, ze wschodu i z zachodu.

Wybrał ze swojej grupy dwóch obserwatorów. Slikha umieścił na straży zachodniej strony obozu, w pobliżu węższego parowu, a Medash dostał stanowisko blisko szczeliny wschodniego jaru, którym zgodnie z logiką, mogło nadejść niebezpieczeństwo. Medash zajął ten posterunek zamiast Slikha, którego przewyższał w dowolnym rodzaju walki, ponieważ miał zmysły odrobinę bardziej czułe niż Slikh; zmysł każdego barbarzyńcy są w naturalny sposób bardziej wyostrzone od specjalnie wytrenowanych zdolności cywilizowanego człowieka.

Każda wroga banda poruszająca się w górę lub w dół kanionu, czy wylaniająca się z każdego z jarów, musiałaby minąć któregoś ze strażników, których czujność Conan wypróbował wiele razy w przeszłości. Później w nocy on i Yarali Nakh zajmą ich miejsca. Ciemność nadeszła szybko. W kanionie wydawało się, że spływa dotykającymi falami po czarnych stokach i sączy się z jeszcze ciemniejszych szczelin i parowów. Gwiazdy migotały zimne, białe i bezosobowe. Wysoko tkwiły zamyślane, wielkie i mroczne góry, okrutnej i pierwotnej. Gdy Conan zasypiał, zastanawiał się, jakich ponurych widowisk były świadkami od początku Czasu i jakie nieludzkie istoty ukrywały się pośród nich, nim nastał człowiek. Pierwotne instynkty drzemające w każdym człowieku, stają się ostre jak brzytwa przez życie w ciągłym ryzyku. Conan obudził się natychmiast, gdy Yarali Nakh go dotknął, Cymeryjczyk wiedział, że niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. To pełne napięcia dotknięcie na jego ramieniu mówiło mu jasno o bliskim zagrożeniu.

Natychmiast podniósł się i ukląkł na jednym kolanie z nożem w ręku.

— O co chodzi?

Yarali Nakh kucnął przy nim, jego gigantyczne ramiona rysowały się niewyraźnie w mroku. Oczy Kothyjczyka świeciły w ciemności, jak oczy kota. Z tyłu, w cieniu urwiska, niewidoczne konie poruszały się niespokojnie. Był to jedyny dźwięk w nocnym kanionie.

— Niebezpieczeństwo! — wysyczał Kothyjczyk. — Blisko nas, pełza w ciemności!

Medash nie żyje!

— Co?

— Leży blisko skały, przy parowie, z gardłem przeciętym od ucha do ucha. Śniłem, że śmierć skrada się pomiędzy nami, podczas naszego snu i lęk mnie obudził. Bez przerywania twojego snu zakradłem się do wejścia wschodniego parowu, i oto widzę, leży tam Medash we krwi. Musiał umrzeć w milczeniu i nagle. Nie widziałem nikogo i nie słyszałem niczego w parowie, który jest tak czarny jak piekło. Potem pośpieszyłem wzdłuż południowej ściany do zachodniego parowu i nie znalazłem nikogo! Mówię prawdę, Mitra mi świątkiem. Medash nie żyje, a Slikh zniknął. Diabły wzgórz zamordowały jednego, porwały drugiego nie budząc nas, którzy śpimy lekko jak koty! Żaden dźwięk nie nadbiegł z parowu, przed którym Slikh miał posterunek. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, ale czułem czającą się tam Śmierć. Śmierć o czerwonych oczach, straszliwie głodną i o palcach ociekających krwią. Conanie, jacy ludzie mogli bezgłośnie poradzić sobie z takimi wojownikami, jak Slikh i Medash? Ten wóz jest naprawdę Wąwozem Śmierci!

Conan nie odpowiedział, tylko przykucnął wyężając wzrok i słuch w ciemnościach.

Jednocześnie rozważał zdumiewające zdarzenia jakie miały miejsce. Nie przyszło mu na myśl, żeby wątpić w historię Kothyjczyka. Mógł zaufać temu człowiekowi tak, jak ufał swoim oczom i uszom. To, że Yarali Nakh mógł wykraść się z obozu bez obudzenia jego samego nie było niespodzianką, ponieważ Kothyjczyk należał do tej rasy ludzi, którzy wślizgują się nago, we mgle, do strzeżonych namiotów aquilońskich żołnierzy, aby kraść broń. Ale to, że Medash zginął, a Slikh rozpułnął się bez odgłosu walki, było wprost niemożliwe. Miało to diabelski posmak.

— Kto może wygrać z diabłem, Conanie? Wsiądźmy na konie i jedźmy...

— Słuchaj!

Gdzieś tam goła stopa plasnęła o skaliste podłoże, Conan wstał bacznie wpatrując się w mrok. W ciemnościach poza obozom poruszały się jakieś kształty. Jakieś cienie, odcinając się od ciemnego otoczenia, podkładały się do nich. Conan wyciągnął miecz, a nóż wepchnął z powrotem do pochwy. Slikh był gdzieś tam jeńcem, prawdopodobnie znajdował się kilkanaście metrów od nich. Yarali Nakh kucnął przy nim chwytając swój miecz, teraz w śmiertelnym milczeniu, podobny do wilka na polowaniu, przekonany, że stoją w obliczu ohydnych diabłów ciemnych gór, ale gotowy do walki z ludźmi czy duchami, jeśli Conan tego pragnął.

Słabo widoczne kontury powiększały się powoli, a Conan i Kothyjczyk cofnęli się kilka kroków, żeby mieć skałę za plecami i uchronić się przed otoczeniem przez te widmowe postacie.

Uderzenie było nagłe, porywiste jak wiatr, gole stopy klapiące miękko a skaliste podłoże, stał błyskająca w przyćmionym świetle gwiazd. Conan w ciemności widział jak kot, a oczy Yarali Nakh mogły należeć do kogoś urodzonego i wychowanego w przepastnej czerni wzgórz. Mimo to mogli dostrzec niewiele — tylko masywność swoich napastników oraz lśnienie stali. Uderzali i parowali ciosy instynktownie, kierując się bardziej wyczuciem niż wzrokiem.

Conan zabił pierwszego mężczyznę, który znalazł się w zasięgu miecza, a Yarali Nakh pobudzony przez świadomość, że ich wrogowie mimo wszystko są ludźmi wydał głęboki ryk i wpadł w szal wilczego okrucieństwa. Sam górował nad otaczającymi ich przysadzistymi postaciami zaś jego metrowej długości miecz wyprzedzał ostrza, które sięgały ku niemu i ciął głęboko. Stojąc ramię przy ramieniu, mając ścianę za plecami byli obaj zabezpieczeni przed atakiem z tyłu i flanki. Stał dźwięczała ostro, a błękitne iskry wlatywały oświetlając przez chwilę dzikie brodate twarze. Wzmagały się nieprzyjemne odgłosy kramu rzeźnickiego, odgłosy ostrych narzędzi tnących ciało i kości. Mężczyźni krzyczeli lub charczeli z przeciętych gardel. Przez kilka chwil skręcony, ludzki węzeł wił się i wykrawiał blisko skalnej ściany. Akcja była zbyt szybka, zaciekle i ślepa, by kierować się jakimś planem, czy z góry przyjętą myślą. Ale przewagę mieli mężczyźni przy skale. Widzieli tyle co i ich przeciwnicy, ale byli silniejsi i zręczniejsi; wiedzieli również, że kiedy uderzają, ich stal zagłębia się tylko w ciele wroga. Atakujący mieli przewagę w swojej liczebności i ciemnościach, ale świadomość, że ciosem na oślep mogą zabić towarzysza musiała studzić ich szaleństwo.



Conan robiąc uniki przed ciosami mieczy, znalazł jeszcze czas na dokonanie zadziwiającego odkrycia. Trzykrotnie jego ostrze zgrzytnęło o coś ustępliwego, ale nie do przebicia. Ci ludzie nosili kolczugi. Ciął tam, gdzie wiedział, że są nieosłonięte uda, głowy i szyje, a mężczyźni umierając tryskali na niego krwią.

Później atak odpłynął równie nagle, jak zaistniał. Atakujący odstepili i rozplynęli się, jak fantomy w ciemności, która nie była już tak absolutna. Wschodnia krawędź kanionu błyszczała srebrnym ogniem wywoływanym przez wschodzący księżyc.

Yarali Nakh zaskowyczał jak wilk i splunął za niewyraźnymi, uciekającymi postaciami. Krwawa plama pokrywała jego brodę. Potknął się o jakieś ciało, ciął mieczem dziko w dół nie uświadamiając sobie, że to trup. Wtedy Conan chwycił jego rękę, szarpnął mocno, by go powstrzymać. Prawie zbił Cymeryjczyka z nóg, gdy próbował się wyrwać i pogonić za wrogiem. Oddychając gwałtownie, opadł na ziemię, jak schwytyany na lasso byk.

— Co robisz, idioto! Chcesz wpaść w pułapkę? Niech uciekają!

Emocje Yarali Nakha opadły do stanu wilczej ostrożności, co nie oznaczało, że jest mniej groźny niż będąc w szalonej furii. Dopiero wtedy podążyli za niewyraźnymi postaciami znikającymi w szczelinie wschodniego parowu. Tam ścigający zatrzymali się przyglądając bacznie ciemnej głębi parowu. Gdzieś daleko w skale roztrącane kamyki gruchotały o podłoże. Obaj mężczyźni, jak nieufne pantery mimowolnie napięli mięśnie.

— Psy, nie zatrzymują się — zamruczał Yarali Nakh, — Wciąż uciekają. Podążamy za nimi?

Nie powiedział tego z przekonaniem. Conan po prostu potrząsnął głową. Nie śmieliby nawet zagłębić się w tę ciemną studnię, gdzie zasadzka może grozić śmiercią przy każdym kroku marszu. Cofnęli się do obozu i oszalałych ze strachu koni, które wprawiał w przerażenie odór świeżej krwi.

— Gdy księżyc wzejdzie na tyle wysoko, by oświetlić kanion — rzekł Yarali Nakh — wystrzelają nas z ukrycia.

— To ryzyko musimy podjąć — wyszeptał Conan. — Może nie są dobrymi łuczniczkami. Przy pomocy niewielkiego płomienia z zapalonego suchego krzaka Conan zbadał czterech martwych mężczyzn, których pozostawili napastnicy. Mały płomień światła przesunął się od twarzy do twarzy. Wszyscy mieli brody. Yarali Nakh spoglądając ponad jego ramieniem mruknął:

— Czcidiele diabła, na pazury demonów! Ragorsi! Synowie Menega Taurusa!

— Nic dziwnego, że przekradają się przez mrok jak koty — mruzczał Conan, który dobrze znał ludzi posiadających talent doskonałego podkradania się, należących do starożytnego i wstrętnego kultu, który czcił Czerwonego Węża w „Mieście Seta.

Yarali Nakh wykonał gest obrony przed diabłami, które mogły się czaić w pobliżu miejsca, gdzie ich czciciele zginęli.

— Odejdźmy stąd, Conanie. Nie przystoi abyś dotykał tę padlinę. I Nic dziwnego, że mordują i kradną jak demony ciszy. Są dziećmi nocy i ciemności, mają w sobie cechy żywiołów, które dały im życie.

— Ale co oni tu robią? — zastanowił się Conan. — Ich ojczyzną jest Stygia i Miasto Seta. Jest to ostatnia forteca ich rasy, do której wypędzili ich wrogowie. Quanag ze wschodu i czciciele diabła ze Stygii. Jak tu istnieje związek?

Chwycił szorstką bawełnianą szatę najbliższej leżącego ciała, co wywołało natychmiastowy sprzeciw Yarali Nakha.

— To ciało jest przeklęte — skrzywił się Kothyjczyk, wyglądający jak zgorszony wampir, z ociekającym krwią mieczem w rękę i poplamioną brodą. Krew sączyła mu się z wybitego zęba. — Dotykanie ich nie przystoi, wojownikowi takiemu jak ty. Jeśli to musi zostać zrobione to pozwól mi...

— Och zamilknij! Ha! Tak jak myślałem!

Nikły blask światła spoczął na kaftanie, który okrywał potężną klatkę piersiową górala. Błyszczał tu podobny do plamy świeżej krwi, emblemat dłoni zaciśniętej na sztylcie o kształcie węża.

— Uaa! — odrzucając skrupuły, Yarali Nakh zdarł wierzchnie szaty z pozostałych trzech zwłok. Każdy nosił na sobie znak pięści i sztyletu.

— Czy Quanagowie są cywilizowani Conanie? — spytał po drwili.

— Niektórzy tak. Ale człowiek w chacie u Akariona nie. Miał spłowane, ostre kły. Był wyznawcą Erlika, złotego Boga Śmierci, Kanibalizm jest elementem ich rytuałów...

— Mężczyzna, który zabił imperatora Brythunii był Aesirem — zastanowił się Yarali Nakh. — Niektórzy z nich także potajemnie czczą Menega Taurusa. Jednak władcę Corinthii zamordował Kushyta, a do wicekróla Zamory wystrzelił z łuku Shemita. Co cywilizowani

## Howard Robert E - Conan władca miasta

ludzie robili w towarzystwie Quanagów i Ragorsów, czcicieli diabła?

— Po to tu jesteśmy, by się tego dowiedzieć — odpowiedział Conan gasząc płomień.

Milcząc przykucnęli w cieniu urwiska, podczas gdy światło księżyca, niesamowite i upiorne, opanowywało kanion, a skały, występy i zbocza przybierały swoje kształty. Żaden dźwięk nie przerywał panującej wokół ciszy.

Yarali Nakh w końcu podniósł się i stanął wyraźnie oświetlony przez magiczne promienie księżyca. Stanowił doskonały cel dla kogoś czającego się u wejścia do parowu. Nie rozległ się jednak żaden dźwięk.

— Co teraz?

Conan wskazał na wyraźne, ciemne plamy na nagim skalnym podłożu, które ujawniło światło księżyca.

— Zostawili nam ślad, który dziecko może rozpoznać.

Bez słowa Yarali Nakh schował do pochwy swój nóż i umocował łuk pomiędzy zwojami koca. Conan uzbroił się podobnie. Przymocował również do pasa zwój cienkiej, mocnej liny zakończonej krótkim żelaznym hakiem. Odkrył kiedyś, że taka lina jest czasami bezcenna w górach. Księżyc wzeszedł wyżej i całkowicie oświetlił kanion, przeciągając cienkie nitki srebra wzdłuż środka parowu. Tyle światła wystarczyło Conanowi i Yarali Nakhowi.

W świetle księżyca zbliżali się do szczeliny z mieczami w dłoniach, obawiając się łuczników, którzy mimo wszystko mogli się tam ukrywać, ale gotowi podjąć ryzyko szczęścia, zguby, bogactwa, czy cegokolwiek co czeka ludzi na szlaku w nieznanie. Nie nadleciała jednak żadna strzała, żadne postacie nie przemykały pośród cieni. Krople krwi znaczyły skaliste podłoże gęsto. Najwidoczniej Ragorsi mieli kilku poważnie rannych. Conan pomyślał o Medashu leżącym w kanionie bez kopca przykrywającego jego dął. Teraz jednak nie należało tracić czasu na zmarłych.

Zamorańczyk to bolesna przeszłość, a Slikh był więźniem w rękach ludzi, których miłosierdzia nikt nie zaznał. Ciałem Medasha można będzie zająć się później. Teraz najpilniejszym zadaniem było wyśledzenie Ragorsów i wydostanie od nich Slikha nim go zabiją, jeśli nie zrobili tego do tej pory.

Bez wahania ruszyli parowem z uniesionymi mieczami. Poruszali się pieszo, bo uważali, że ich wrogowie także uciekają na własnych nogach, a konie mają ukryte gdzieś w górze parowu. W tak wąskim i wyboistym wąwozie jeździec byłby w bardzo niekorzystnej sytuacji w razie jakiejś potyczki.

Przy każdym zakręcie parowu oczekiwali zasadzki, ale krwawy ślad ciągnął się dalej i żadna postać nie zagroziła im drogi. Krople krwi nie były już tak gęste, ale w wystarczającym stopniu oznaczały drogę.

Conan przyśpieszył krok mając nadzieję, dopędzenia Ragorsów, którzy teraz rzeczywiście wydawali się uciekać. Mieli przewagę, która prawdopodobnie gwałtownie malała, bo jak uważał, nieśli jednego lub więcej rannych i byli obciążeni więźniem, który na pewno sprawiał więcej kłopotu niż pomagał. Sądził, że Slikh żyje ponieważ nie znaleźli jego ciała. Gdyby Ragorsi zabili go, to nie mieli powodu ukrywać zwłok.

Droga opadała stromo, jar zwężał się i rozszerzał. Nagle za zakrętem pojawił się następny kanion mający tylko kilkadziesiąt metrów szerokości i ciągnący się w przybliżeniu ze wschodu na zachód. Ślad krwawych kropel biegł wprost ku pionowej południowej ścianie... i urywał się.

Yarali Nakh mruknął:

— Serotańskie psy mówią prawdę. Ślad znika przy urwisku, które tylko ptak rab demon mógłby pokonać.

Conan zatrzymał się u stóp urwiska, zaskoczony. Zgubili pozostałość starożytnego szlaku w Wąwozie Demonów, ale tą drogą przybyli bez wątplenia Ragorsi. Krew pokrywała szlak u stóp urwiska — później zniknął, jak gdyby ci, którzy krwawili rozplynęli się w powietrzu.

Przebiegł wzrokiem po pionowej ścianie, która wznosiła się na wysokość kilkudziesięciu metrów. Bezpośrednio nad nimi, około pięciu metrów nad ich głowami, sterczał wąski występ skalny, długości trzech czy pięciu i szerokości około jednego metra. Wydawało się, że nie jest to rozwiązanie tajemnicy, ale w połowie drogi do występu Conan zobaczył na skale nikłą czerwoną plamę.

Kierując się tą wskazówką Conan rozwinął swoją linę, zakręcił obciążony koniec nad głową i rzucił w górę. Hak uderzył w krawędź występu i zaczepił się. Conan wspiął się po cienkiej i gładkiej linie tak szybko i swobodnie, jakby była to drabinka sznurowa. Po przepłynięciu wielu mórz zyskał doświadczenie we wspinaniu się po linach przy każdym rodzaju pogody.

Gdy mijiał plamę na kamieniu, przekonał się, że była to krew. Ranny został wciągnięty na

skalny występ, lub wspinał się sam, i zostawił taki ślad.

Yarali Nakh, poniżej, niepokoił się. Trzymał w rękach łuk i próbował uzyskać lepszy widok na występ. Na przemian krytykował postępowanie swojego towarzysza i zaklinał go o zachowanie ostrożności. Jego pesymistyczna wyobraźnia zaludniała skalny występ niewidocznymi mordercami leżącymi płasko na skale. Jednak półka okazała się pusta, kiedy Conan przeczołgał się przez krawędź skalną.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczył był ciężki, metalowy pierścień osadzony głęboko w skale tak nisko, że z dołu nikt go nie mógł dostrzec. Metal lśnił, jakby wytarty przez częste używanie. Krew pokrywała obficie miejsce, gdzie ktoś przeczołgał się nad pierścieniem, musiał wspiąć się po linie do niego przymocowanej, — A może został wciągnięty.

Krople krwi plamiące skałę, prowadziły po przekątnej do pionowej skały, która w tym miejscu okazała się dość zwietrzała. Poza tym Conan zobaczył coś innego, zamazany, ale niewątpliwie czerwony odcisk palców na kamieniu. Stał bez ruchu przez kilka chwil, nie zważając na nawoływania Yarali Nakha, i badał szczelinę w skale. W końcu położył dłoń na skale ponad krwawym odciskiem palców i pchnął. Natychmiast, gładko, część skalnej ściany obróciła się w głąb i ukazał się wąski tunel, słabo oświetlony przez księżyc lśniący gdzieś w głębi.

Ostrożny, jak skradająca się pantera wkroczył do środka i od razu usłyszał okrzyk przestraszonego Yarali Nakha, dla którego Conan wstąpił po prostu w litą skałę. Conan wychylił się z korytarza, by zbesztać swego zdumionego towarzysza i nakazać mu spokój. Później podjął na nowo poszukiwania.

Tunel okazał się krótki. Światło księżyca wlewało się do niego z przeciwnej strony. Drugi koniec korytarza kończył się rozpadliną. Światło wpadało z góry do rozpadliny, która biegła prosto przez jakieś trzydzieści metrów, a potem nagle zakręcała. Dalsza obserwacja nie była możliwa. Koniec rozpadliny przypominał ciecie nożem przez litą skałę.

Wrota, przez które wszedł, tworzyła nieregularna płyta wisząca na potężnych, dobrze naoliwionych, żelaznych zawiasach. Płyta pasowała idealnie do otworu, a jej nieregularny kształt powodował, że szczeliny wprost zlewały się z naturalną erozją skalnej ściany. Drabina sznurowa o ciężkich pokrytych skórą szczeblach leżała zwinięta na skalnej półce wewnątrz tunelu. Conan wrócił z nią do występu. Wciągnął i zwinął — swoją linę, potem umocował drabinę i spuścił ją na dół. Yarali Nakh wdrapał się z szaleńczą niecierpliwością, chcąc ponownie znaleźć się u boku przyjaciela.

Zaklął cicho, gdy zrozumiał tajemnicę znikającego śladu.

— Ale dlaczego wrota nie są zaryglowane od środka?

— Prawdopodobnie ludzie ciągle wchodzą i wychodzą. Mężczyźni na zewnątrz mogą rozpaczliwie pragnąć wejść bez zwracania niczyjej uwagi. Szansa, że przejście zostanie odkryte jest niniejsza niż jeden do tysiąca. Nie odkryłbym go, gdyby nie ślady krwi; to przecucie kazało mi pchnąć skałę.

Yarali Nakh chciał natychmiast zagłębić się w rozpadlinie, ale Conan stał się ostrożny. Nie słyszał ani nie wiedział nic co świadczyłoby o obecności straży, jednak nie wierzył, że ludzie, którzy okazali tak wiele kunsztu w ukryciu swego królestwa pozostawiliby bez ochrony wejście, mimo nieznaczących szans na jego odkrycie.

Wciągnął skórzano-sznurową drabinę, zwinął ją, położył na skalnej półce i zamknął wrota przecinając obieg księżycowego światła i pograżając ten koniec tunelu w ciemności. Rozkazał Yarali Nakhowi, aby czekał na jego powrót. Kothyjczyk zaklął szeptem, ale, Conan uważał, że jeden człowiek lepiej zbada teren za tajemniczym zakrętem i jak zwykle postawił na swoim. Yarali Nakh kucnął w ciemności przy wejściu biorąc w objęcia własne kolana i mamrocząc klątwy. Conan poszedł tunelem w kierunku rozpadliny.

Była to zwykła skalna szczelina w potężnej masie skalnej. Nieregularny, ostro zarysowany fragment krawędzi widoczny na tle usianego gwiazdami nieba, wznosił się dziesiątki metrów ponad głową Conana. Jednak wystarczająca ilość światła księżycowego docierała na dno rozpadliny. Wystarczająca dla kocich oczu Conana.

Nie dotarł jeszcze do zakrętu, gdy przed niebezpieczeństwem ostrzegł go odgłos kroków. Z trudnością ukrył się za odłamem skały, który opadł kiedyś od jednej ze ścian. Pojawił się strażnik. Szedł leniwie, zachowując się, jak ktoś dokonujący niedbale rutynowego zadania, chroniący — w swoim przekonaniu niedostępnego azylu. Był to przysadzisty Quanag o miedzianej cerze i szerokich ustach. Generalnie jego powierzchowność przypominała nieco opisy demonów, w które obfitowały legendy Wzgórz.

Gdy mijiał kryjówkę Conana jakiś mroczny instynkt kazał mu się błyskawicznie odwrócić.

Natychmiast uniósł miecz, obnażył zęby, zaskoczony warknął. W tym momencie jednak stalowe sprężyny mięśni Conana rozprężyły się i momentalnie znalazł się na równych nogach.

Gdy ostrze przeciwnika opadało już w dół, uderzył swoim mieczem. Quanag padł jak wół z okrągłą głową przeciętą do szczęki.

Conan przykucnął bezszelestnie, spoglądając wzdłuż korytarza skalnego. Ponieważ żaden dźwięk nie wskazywał na obecność kogoś innego w pobliżu, zaryzykował ciche gwizdnięcie, które sprowadziło pędzącego na łeb na szyję Yarali Nakna. Oczy mu błyszczały chęcią walki. Wydał pełen ekspresji okrzyk na widok trupa.

— Tak, jeszcze jeden czciciel Erlika. Tylko diabeł, który ich spłodził wie ilu jeszcze ukrywa się w tym wąwozie. Wciągniemy go za skałę, za którą ja się ukrywałem. Gdy zabięś, ukrycie ciała zwykle jest pożyteczne. Chodź! Jeśli za tym zakrętem było ich więcej, słyszeli hałas, który wywołałem.

Conan miał rację. Lecz za zakrętem długi wąwóz okazał się pusty, aż do następnego skalnego zakrętu. Conan uważał, że mężczyzna, którego zabił był jedynym strażnikiem postawionym na posterunku w rozpadlinie i bez wahania ruszyli dalej. Światło księżycy w wąskim gardle nad ich głowami bladeło, w końcu wydostali się na, otwartą przestrzeń. Wąwóz rozpadł się w chaos zgruchotanych skał. Pojedynczy korytarz zmienił się w pół tuzina ścieżek wijących się pomiędzy ponurymi, samotnymi skałami i szczelinami w urwiskach.

Przypominało to rzekę, która zmienia się przy ujściu do morza w deltę. Pokruszone szczyty i wieżycy z czarnego kamienia, stały, jak posępne duchy w szarym świetle, które zdradzało nadchodzący świt. Przekradłszy się pomiędzy tymi ponurymi strażnikami, ujrzeni poziomą, pokrytą kamieniami płaszczynę, która ciągnęła się przez trzysta metrów do stóp stromego urwiska. Szlak, którym podążali, rysował się wyraźnie w zwietrzalej skałę, przecinał równinę i wił w górę urwiska po rampach wyciętych w skale. Ale co znajdowało się na szczycie, mogli tylko zgadywać. W prawo i w lewo wznosiła się potężna skała, otoczona zwietrzalymi szczytami.

— Co teraz, Conanie? W szarym świetle Kothyjczyk przypominał górskiego goblina, zaskoczonego przez świt poza swoją jaskinią.

— Myślę, że jesteśmy blisko naszego przeznaczenia. Słuchaj!

Ponad urwiskiem przetoczył się taki sam ryk, jaki słyszeli zeszłego wieczoru. Teraz jednak był znacznie bliższy; przeraźliwy, wzbudzający grozę, posępny ryk gigantycznych trąb.

— Odkryto nas? — spytał Yarali Nakh, zgrzytając jednocześnie mieczem wyjmowanym gwałtownie z pochwy.

— Wszystko w rękach Croma, ale musimy się sami przekonać. Poza tym nie możemy wspinać się, nie wiedząc co znajduje się na górze. To posłuży naszym celom!

Conan wskazał na zwietrzałą stromą skałę, która wznosiła się, jak wieża pośród swoich niższych sąsiadów. Każde wychowane w górach dziecko wspięłoby się na nią. Yarali Nakh i Conan znaleźli się w górze tak szybko, jakby w skale wykute były schody. Uważali tylko, aby nim wejść na szczyt, który wyrastał ponad urwisko, masa skalna znajdowała się pomiędzy nimi, a ich przeciwnikami. Na szczycie położyli się za skalną krawędzią i spojrzeli poprzez różową mgiełkę wstającego świtu.

— Demony zła! — powiedział Yarali Nakh, mimowolnie sięgając po łuk zarzucony na plecy.

Widziane z tak dogodnego punktu obserwacji urwisko ujawniło swoją prawdziwą naturę.

Było bokiem, jakby góry stołowej, która przypominała Conanowi formacje rodzinnej Cymerii. Masa skalna wznosiła się stromo ponad poziom okolicy, na wysokość około stu dwudziestu metrów, a jej pionowe boki wydawały się nie do zdobycia, z wyjątkiem miejsca, gdzie szlak został pracowicie wykuty w kamieniu. Ze wschodu, pomocy i z zachodu góra była otoczona przez pokruszone turnie oddzielone od płaskowyżu kanionem o dosyć równym dnie i szerokości od trzystu do pięciuset metrów. Na południu płaskowyż graniczył z gigantyczną, nagą skałą, której posępne wierzchołki górowały nad okolicą.

Mężczyźni poświęcili tylko jedno spojrzenie geograficznej formacji, mechanicznie analizując i uznając jej wyjątkowość. Inny, bardziej niewiarygodny fenomen przykuł ich uwagę.

Conan nie był pewien, czego się spodziewał na końcu krwawego szlaku. Oczekiwał natknięcia się na coś, to pewne; grupę namiotów i z końskiej skóry, jaskinię, może nawet wioskę skleconą z mułu i kamienia przylepioną do zbocza jakiegoś wzgórza. Patrzyli jednak na miasto, którego wieże i dachy domów błyszczały w różowym świetle świtu. Przypominało magiczne miasto czarnoksiężników wykradzione z bajecznego kraju i osadzone na pustkowiu!

— Miasto Demonów! — wykrzyknął Yarali Nakh, którego z powrotem ogarnęła wiara w niematerialne pochodzenie ich wrogów. — Vaal jest moją ochroną przed złem Węża Potępionego! — strzelił palcami w geście starszym niż jego rasa.

Płaskowyż był w przybliżeniu owalny, rozciągał się półtora kilometra z pomocy na południe i nieco mniej niż kilometr ze wschodu na zachód. Miasto leżało bliżej południowej strony wczepione w czarną górę, która wznosiła się za nim. Nad kamiennymi domami o płaskich dachach i grupami drzew górowały, wielkie gmachy, których purpurowe sklepienia błyszcząły w ostrych promieniach świtu, mieniły się złotem.

— Czary i czarnoksiężstwo — wykrzyknął Yarali Nakh całkowicie wyprowadzony z równowagi.

Conan nie odpowiedział, ale krew w jego żyłach odczuła mroczny aspekt oglądanej sceny. Nieprzyjemna posępność czarnych skał nie została złagodzona przez zupełnie inny obraz miasta; miało coś z ponurej groźby, mimo masy zieleni i jasnych kolorów. Połysk purpury i pokryte złotem sklepienia były złowieszcze. Czarne skały rozsypujące się ze starości, stanowiły doskonałą oprawę dla miasta. Przypominało ono siedzibę demonicznej tajemnicy, wznoszącej się pośród ruin i rozkładu, błyszczącej grzechem i występkiem.

— To musi być twierdza Ukrytych — mruknął Conan. — Spodziewałem się w końcu odkryć ich siedzibę ukrytą gdzieś w wysokich i niedostępnych górach, ale to miejsce jest bardziej odpowiednie. Stąd mogą uderzać we wszystkie kraje Zachodu i mieć jednocześnie bezpieczną kryjówkę. Któż by jednak spodziewał się odkryć miasto takie jak to tutaj, w rejonie od tak dawna uważanym za praktycznie niezamieszkały.

— Nawet my nie zdobędziemy tego miasta ludzi lub diabłów — mruknął Yarali Nakh.

Conan leżał bez słowa i badał odległy widok. Po dokładnej analizie miasto nie wyglądało na tak olbrzymie, jak na pierwszy rzut oka. Zaplanowano je w sposób zwarty, ale bez murów obronnych. Domy jedno lub dwupiętrowe stały pomiędzy grupami drzew i zaskakujących ogrodów — zaskakujących bo płaskowyż wydawał się prawie jednolitą skałą — ciągnących się tak daleko, jak sięgał wzrok obserwujących. Conan podjął decyzję.

— Yarali, wróć pędem do naszego obozu w Wąwozie Demonów. Zbierz konie i pojedź do Khroshy. Opowiedz Akarionowi o wszystkim, co się wydarzyło i przekaż mu, że potrzebuję go i wszystkich, jego mieczy. Przeprowadź Serotańczyków przez rozpadlinę i zatrzymajcie się pośród tamtych przełęczy do czasu otrzymania znaku ode mnie lub wieści o mojej śmierci. Jest tu szansa na ścięcie dwóch karków jednym uderzeniem miecza. Jeśli Akarion pomoże nam oczyścić to gniazdo żmij, król przebaczy mu.

— Niech ogień pochłonie Akariona! Co z tobą?

— Idę do tego miasta.

— Po co?! — wykrzyknął kothyjczyk.

— Muszę. Ragorsi tam zniknęli, a Slikh musi być z nimi. Mogą go zabić nim przybędą Serotańczycy. Wydostanę go, a potem zabierzemy się do planowania ataku na miasto. Jeśli wyruszysz teraz, dotrzesz do Khroshy tuż po zmroku. Wrócisz tu po wschodzie, słońca, jeśli z Khroshy wymaszerujecie niezwłocznie. Jeśli będę żywy i spotkamy się w tym miejscu. Jeśli nie, pozwalam ci i Akarionowi postąpić wedle własnego uznania. Teraz jednak najważniejsze jest sprowadzić tu Serotańczyków,

Yarali Nakh natychmiast odkrył przeszkody.

— Akarion zbyt mi nie lubi. Jeśli pójdę do niego sam, splunie na mą brodę, ja go zabiję, a jego psy zabiją mnie!

— Nie zrobi czegoś takiego i ty o tym wiesz.

— Nie przybędzie tu!

— Przebrnie przez piekło, jeśli ja go wezwę.

— Jego ludzie nie podążą za nim, boją się diabłów.

— Przyjdą dość szybko, jeśli opowiesz im, że to ludzie straszą w Tryptysthanie.

— Ale konie zniknęły, z pewnością ukradły je diabły.

— Wątpię w to. Nikt nie opuścił miasta od czasu, kiedy ruszyliśmy za śladem krwi.

Również nikt nie szedł za nami. Poza tym, możesz dotrzeć do Khroshy pieszo, jeśli okaże się to konieczne. Po prostu zajmie to więcej czasu.

Następnie Yarali Nakh zaczął rwać swą brodę w gniewie i ujawnił prawdziwy powód swojej niechęci do opuszczenia Conana.

— Te psie syny obędą cię ze skóry za życia.

— Nie, zwalczę postęp podstępem. Będę uciekinierem przed gniewem króla, wyjętym spod prawa i szukającym azylu. Świat jest pełen kłamstw mnie dotyczących. Teraz one mi pomogą.

Yarali Nakh zaprzestał nagle sporu uświadamiając sobie jego bezcelowość. Gderając pod nosem i okropnie kręcąc głową Kothyjczyk zszedł ze skały i zniknął w wąwozie nie odwracając się ani razu.

Gdy zniknął z pola widzenia, Conan również zszedł na dół i ruszył w kierunku urwiska.

ROZDZIAŁ 3  
UKRYCI

Conan przy każdym kroku oczekiwał, że ktoś pośle mu strzałę z urwiska, chociaż nie dostrzegł żadnej strażnicy, pomiędzy skałami na jego krawędzi, kiedy był jeszcze na skalnej wieży. Jednak przeciął kaniony dotarł do stóp urwiska i zaczął wspinaczkę po stromej ścieżce ciągle poplamionej tu i tam czerwonymi kroplami — i nie zobaczył żadnej istoty ludzkiej. Szlak wiał się w górę bez końca, po szeregu półek, które na zewnętrznej krawędzi miały niski, potężny murek. Miał czas podziwiać inżynierskie zdolności, które stworzyły taką budowlę. Kothycjczycy z gór z pewnością tego nie stworzyli, nie była to także konstrukcja nowa. Wyglądała na starożytną i mocną, jak sama góra.

Dziesięć metrów skalnych półek zmieniło się w serię stromych stopni wyciętych w kamieniu, zagłębiających się w głąb skały i tworzących jakby szczelinę przy krawędzi urwiska. Wciąż nikt nie stanął na drodze. Po wejściu na płaskowyż minął kilka okrągłaków leżących na drodze. Za jednym z nich siedmiu mężczyzn kucało wokół jakiejś gry. Skoczyli na równe nogi, spojrzeli dziko, jakby ukazało się widmo.

Wszyscy byli Stygijczykami, chudzi wojownicy o kamiennych ciałach, haczykowatych nosach, szczupłych taliach otoczonych pasami z wiszącymi szablami i łukami w rękach. Łuki natychmiast zostały wycelowane w Conana, który nie wykonał żadnego ruchu ani nie okazał zaskoczenia lub niepokoju. Postawił drzewce swojego łuku na ziemi i spoglądał na zaskoczonych Stygijczyków spokojnie.

Bandyty byli niezdecydowani, jak przyparty do muru żbik i dlatego równie niebezpieczni i nieobliczalni. Życie Conana zależało od drżącego palca na cięciwie łuku. Na razie Stygijczycy byli zaskoczeni i oniemiaли przez nieoczekiwaną materializację Conana.

— Conan! — wymruczał wyższy ze Stygijczyków, w oczach płonął mu strach, podejrzliwość i instynkt zabijania. — Co tu robisz?!

Conan, nim odpowiedział, powoli powiódł oczyma po siedmiu napiętych postaciach. Sam wyglądał na odprężonego.

— Szukam waszego władcy — powiedział w końcu.

To nie wydawało się rozproszyć ich wątpliwości. Zaczęli mruzczyć pomiędzy sobą nie zmniejszając czujności i nacisku palców na cięciwach.

Głos wyższego Stygijczyka, pełen gniewu, wzniosł się ponad inne.

— Kraczecie jak wrony! Sprawa jest prosta: pochłonął nas hazard i nie spostrzeżliśmy, jak nadchodzi. Naszym obowiązkiem jest obserwować schody i dopilnować, aby nikt nie wspiął się po nich bez pozwolenia. Nie dopełniliśmy naszego obowiązku. Jeśli to się wyda zostaniemy ukarani. Zabijmy go i zrzucmy z urwiska!

— Tak — zgodził się Conan spokojnie. — Zróbcie tak. A, kiedy wasz władca zapyta „Gdzie jest Conan, który niósł dla mnie ważne wieści?” odpowiedzcie mu „Panie, nie przekazałeś nam żadnych poleceń co do tego człowieka, więc zabililiśmy go, aby dać mu nauczkę!”

Zgryźliwa ironia jego słów wykrzywiła ich twarze. Rzucili między sobą niespokojne spojrzenia.

— Nikt się nigdy nie dowie — warknął jeden. — Zabić go.

— Nie, strzała może nie wystarczy, odgłosy walki zostaną usłyszane i powstaną pytania, na które trzeba będzie odpowiedzieć.

— Poderżnąć mu gardło! — zaproponował najmłodszy z bandy, ale został obrzucony tak groźnymi spojrzeniami, że wycofał się szybko, zakłopotany.

— Tak, poderżnijcie mi gardło — poradził Conan, śmiejąc się. — Jeden z was pewnie to poderżnięcie mojego gardła przeżyje i opowie tę historię.

To nie była zwykła napuszoność i większość z nich wiedziała o tym. Zdradzali swój niepokój rzucając spode łba ciemne spojrzenia. Tęsknili za możliwością zabicia go, ale nie śmieli użyć łuków, ponieważ połowa mogłaby nie mieć czasu na sięgnięcie po inną broń. Przynajmniej starsi znali okropną cenę, którą zapłaciliby atakując go białą bronią. On nie miałby skrupułów, aby użyć własnej broni, obawiali się morderczej furii przeciwnika, bardziej niż gniewu swoich dowódców. Spokój Conana siał niepewność w ich umysłach. Czuli się, jak owe rozmawiające z wilkiem.

— Nóż jest cichy — mruknął najmłodszy próbując się usprawiedliwić.

Za swoją głupotę i niezrozumienie sytuacji został nagrodzony uderzeniem w brzuch, co zmusiło go do oddania mimowolnego niskiego pokłonu i rozpoczęcia lamentów.

— Cicho, psi synu! Chcesz żebyśmy walczyli z Conanem gołym żelazem?

Pozbywszy się w ten sposób pewnej części swojego niezadowolenia Stygijczycy uspokoiili się nieco.

— Jesteś oczekiwany? — zapytał niespokojnie jeden z nich Conana.

— Czy przyszedłbym tu gdyby mnie nie oczekiwano? Czy jagnię mając głowę w paszczy wilka ma nadzieję na przeżycie?

— Jagnię? — Stygijczycy zarechotali szyderczo. — Ty jesteś jagnięciem? Ha, bogowie!

Powiedz raczej: Czy lew z okrwawionym pyskiem nie szuka przypadkiem myśliwego?

— Jeśli na mych kłach znajdzie się krew to będzie to krew tych głupców, którzy nie słuchają rozkazów swego pana — odciął Conan. — Wczoraj w nocy, w Wąwozie Demonów...

— Yarah! To ty walczyłeś z tymi głupcami, Ragorsami? Nie rozpoznali cię! Powiedzieli, że zabili jakiegoś Turańczyka i jego sługi w Wąwozie Demonów..

Więc to dlatego strażnicy byli tak beztroscy; z jakiegoś powodu Ragorsi skłámali o wyniku potyczki i obserwatorzy nie spodziewali się pościgu.

— Czy któryś z was, w swojej ignorancji, napadł na mnie w wąwozie?

— A mamy kłopoty z poruszaniem się? Czy krwawimy? Czy padamy ze zmęczenia i ran? Nie, nie braliśmy udziału w walce, Conanie!

Cymeryjczyk z zadowoleniem usłyszał pewną nutę rezygnacji z morderczych zamysłów.

— Zatem bądźcie mądrzy i nie popełniajcie błędu, który oni zrobili, i przez który niektórzy zginęli. Tym co przeżyli skóra będzie zdzierana z pleców cienkimi paseczkami. A teraz, czy zaprowadzicie mnie do tego, który na mnie czeka, czy chcecie zamienić się w łajno przez lekceważenie jego rozkazów?

— Crom niech bronii! — wykrzyknął wysoki Stygijczyk. — Nikt nie wydał nam żadnych rozkazów. Nie, Conanie, twoje serce jest tak pełne podstępów, jak u węża i gdzie kroczysz tam miecze się czerwienią, a ludzie umierają zda się bez powodu. Jeśli jest to kłamstwo, wtedy nasz władca urzy twoją śmierć. Jeśli jednak to, co mówisz jest prawdą, nikt nie będzie nas winił. Oddaj łuk i miecz, a my zaprowadzimy cię do niego.

Conan oddał broń, pocieszając się myślą o wielkim nożu spoczywającym w pochwie pod jego lewym ramieniem.

Przywódca, grupy podniósł łuk upuszczony przez młodego wojownika, który wciąż zgięty we dwie jęczał przeraźliwie, solidnym kopniakiem doprowadził go do pozycji wyprostowanej, wpakował mu łuk w ręce i rozkazał tak uważnie obserwować schody, jakby jego życie zależało od tego — bo zależało — obdarował go jeszcze jednym kopniakiem, a wszystko przypieczętował szturchnięciem w ucho. Odwrócił się i szczeknął rozkazy innym. Gdy otoczyli i zbliżyli się do pozornie nieuzbrojonego Cymeryjczyka, Conan wiedział, że ręce ich świerzbią, aby pchnąć go nożem w plecy. Posiał jednak ziarno lęku i niepewności w ich prymitywnych umysłach i nie obawiał się ataku. Ruszyli spod grupy okrągłaków i weszli na drogę prowadzącą do miasta. Droga ta kiedyś została wybrukowana i miejscami nawierzchnia była jeszcze w zadawalającym stanie.

— Ragorsi minęli wasz posterunek tuż przed świtem? — spytał zdawkowo, szybko dokonując oszacowania czasu.

— Tak — otrzymał zwięzłą odpowiedź.

— Nie mogli maszerować szybko — wymruczał Conan prawie do siebie. — Nieśli rannych i Slikh, którego więzili, z pewnością stawiał opór. Musieli go bić, popędzać i ciągnąć.

Jeden z mężczyzn odwrócił głowę i zaczął:

— Dlaczego, Slikh...

Przywódca kazał mu milczeć i spojrzał na Conana podejrzliwie.

— Niech nikt nic nie mówi. Nie odpowiadać na jego pytania. Nie zadawać własnych. Jeśli zadrwi sobie z nas, nie odgryzać się. Jest przebiegły jak wąż. Jeśli będziemy z nim rozmawiać, wpadniemy w jego moc, zanim dotrzemy do Shalhizaru, Więc tak zwało się to fantastyczne miasto; Conanowi wydawało się, że pamięta te nazwę w powiązaniu z przedwieczną historią uciekinierów z Atlantydy.

— Dlaczego mi nie ufacie? — spytał. — Czy nie przyszedłem do was z otwartą dłonią?

— Tak! Kiedyś widziałem, jak przyszedłeś z otwartą dłonią do Shemitów z Akkhari, ale kiedy ją zacisnąłeś ulice Akkhari spłynęły krwią, a głowy panów z Akkhari, kołysały się u siodła twych jeźdźców. Nie, Conanie, znam cię dobrze, pamiętasz, kiedy przeprowadziłeś swoich banitów przez bagna Stygii? Walczyłem wraz z tobą w Czarnych Królestwach, a później, z powodu zmiany polityki, walczyłem przeciwko tobie. Nie mogę równać swoich umiejętności z twoimi, taki samo, jak swojej inteligencji i języka. Umieję jednak trzymać język za zębami, i będę to robił dalej. Nie musisz wymyślać chytrych pułapek, bo nie mam

## Howard Robert E - Conan władca miasta

zamiaru się odzywać. Zabieram cię do władcy Shalhizaru. Wszystkie interesy będziesz prowadził z nim. To nie moja sprawa. Będę jak niemowa albo koń, który jednakowo służy królowi i banicie. Odpowiadam jedynie za to, aby doprowadzić cię przed oblicze mojego pana. Tymczasem nie próbuj schwytać mnie w pułapkę. Nie będę mówił, a jeśli któryś z moich ludzi odpowie ci, złamię mu kark uderzeniem rękojeści miecza.

— Myślę, że cię poznaję — powiedział Conan. — Jesteś Voltar. Byłeś dobrym wojownikiem.

Szczupłe, pokryte bliznami oblicze Stygijczyka pojaśniało po tej uwadze i zaczął coś mówić, potem przypomniał sobie swoje stanowienie, zrobił dziką minę, zaklął na jednego z ludzi, który w żaden sposób nie zawinił, wyprostował ramiona i wysunął się sztywno przed całą grupę.

Conan nie szedł szybko, raczej spacerował, a jego spokojna postawa miała wpływ na strażników. Miał poczucie, że raczej idzie pośród honorowej eskorty niż straży. Jego zachowanie oddziaływało Stygijczyków tak, że nim dotarli do miasta, mieli już łuki zarzucone i plecy, zamiast trzymać je w gotowości. Pozwolili na utworzenie pełnego szacunku odstępu pomiędzy nim, a nimi.

W miarę zbliżania się, szczegóły miasta stawały się wyraźniejsze. Conan dostrzegał sekrety ogrodów i zagajników. Ziemia, bez wątplenia sprowadzona pracowicie z odległych dolin, została ułożona gołej skale, w wielu zagłębieniach, jakie pokrywały płaskowyż, a staranny system irygacyjny, głębokich i wąskich kanałów, które minimalizowały naturalne odparowanie wody, oplatał ogrody najprawdopodobniej biorąc początek w jakimś niewyczerpywalnym zbiorniku wodnym blisko centrum miasta. Płaskowyż chroniony przez szczyty wznoszące się ze wszystkich stron, miał bardziej umiarkowany klimat niż w górach i roślinność rosła tu obficie.

Ogrody leżały głównie na wschodnich i zachodnich krańcach miasta. Droga tuż przed miastem biegła pomiędzy dużym sadem po lewej stronie i mniejszym ogrodem po prawej. I sad, i ogród otoczono niskim, kamiennym murem. Conan nie mógł przewidzieć, jak krwawą rolę ten sad odegra w dziwnej przygodzie, którą przeżywał. Szeroka, otwarta przestrzeń oddzielała sad od najbliższego domu, ale po przeciwnej stronie drogi, dwupiętrowy, kamienny dom o płaskim dachu, sąsiedował z ogrodem od południa. O parę metrów dalej zaczynało się właściwe miasto, szeregi płasko-dachowych, kamiennych domów stojących frontem do, siebie, przy szerokiej, wybrukowanej ulicy, każdy mający na tyłach obszerny ogród.

Miasta nie otaczał mur obronny, a murki wokół domów i ogrodów były niskie, w oczywisty sposób nie przeznaczone do obrony. Sam płaskowyż stanowił fortecę. Góra, która dominowała nad miastem od południa, stała dalej niż to się wydawało na pierwszy rzut oka. Ze skalnej wieży wyglądało, że dotyka plecami górskiego zbocza. Teraz widział blisko pół kilometra pociętej jarami równiny, oddzielającej miasto od góry. Jednak sam płaskowyż był połączony z górą: przypominało to wielką półkę wystającą z masywnego zbocza.

Ludzie pracujący w ogrodach i włóczący się po ulicy zatrzymywali się i patrzyli na Stygijczyków i jeńca. Zobaczył więcej Stygijczyków, wielu Shemitów oraz Ragorsów; widział Irańczyków, Aesirów, Turańczyków, Brythuńczyków, a nawet kilku Cymeryjskich górali. Jednak nikogo z Koth. Widocznie różnorodna populacja dziwnego miasta nie miała żadnego powiązania z ojczystym ludem tego kraju.

Ludzie nie posuwali swojej ciekawości dalej niż do pytających spojrzeń. Ulica rozszerzyła się i zmieniła w zaułek, zamknięty od południa przez szeroki mur, który otaczał pałacowy budynek ozdobiony wspaniałym sklepieniem.

Nie było straży u masywnych spiżowo-złoty wrót, tylko barwnie ubrany murzyn, który uklonił się nisko i otworzył szeroko wrota. Conan i jego eskorta, weszli na obszerny dziedziniec wyłożony kolorowymi płytami, w środku którego pienią się fontanna i trzepotały gołębie. Wschód i zachód dziedzińca ograniczony był przez wewnętrzne ściany, ponad którymi ukazywały się liście świadczące o kolejnych ogrodach. Conan spostrzegł smukłą wieżę wznoszącą się nieco pot dachy, której ozdobna elewacja błyszczała w promieniach słońca.

Stygijczycy maszerowali wprost przez dziedziniec i zostali zatrzymani dopiero na szerokim, pałacowym portyku, przez straż złożoną z trzydziestu Irańczyków w błyszczących regaliach — ozdobionych piórami hełmach z posrebrzanej stali, połączonych pancerzach, pokrytych skórą nosorożca tarczach i wyposażonych w złote cyzelowane szable. Ten wspaniały ekwipunek kontrastował z ostrymi obosiecznymi mieczami w ich rękach i pasami pełnymi sztyletów opasującymi ich szczupłe talie.

Kapitan o orlej twarzy porozmawiał krótko z Voltarem. Conan wywnioskował, że



## Howard Robert E - Conan władca miasta

między tymi dwoma przedstawicielami rywalizujących ras nie ma najmniejszych przyjaznych uczuć, mimo okoliczności, które doprowadziły do sojuszu.

Kapitan, którego mężczyźni zwali Ammad, w końcu wykonał szczupłą, brązową dłonią i Conan został otoczony przez tuzin połyskujących Irańczyków, pomaszerował pomiędzy nimi w górę szerokie marmurowych stopni i pod dużym łukiem zamykanym przez ogromne drzwi. Stygijczycy szli z tyłu bez łuków w ogóle nie wyglądając na szczęśliwych.

Minęli obszerne, słabo oświetlone sale. U ozdobnych sufitów wisały dymiące kadzielnice z brązu, zaś zasłonięte aksamitem łuki przejść napomykały o tajemniczych wnętrzach.

Gobeliny szeleściły, delikatne kroki szeptały. W pewnej chwili Conan ujrzał delikatną, białą dłoń trzymającą kotarę, tak, jakby jej właściciel spoglądał ukradkiem zza niej.

Przyzwyczajony do ukradkowości i przyciszonych półgłosew pałaców Wschodu, Conan wyczuł tu więcej niż zwykłą atmosferę tajemnicy i sekretów.

Nawet zuchwalstwo Irańczyków, z wyjątkiem kapitana, zmieniło się. Stygijczycy okazywali jawnie niepokój. Tajemnica i nieuchwytnie niebezpieczeństwo czaiło się w tych ciemnych, wspaniałych pomieszczeniach. Gdyby nie nowoczesna broń eskorty mógłby również dobrze przemierzać pałace starożytnej Atlantydy.

W końcu weszli w szerszy korytarz i zbliżyli się do podwójnych, spiżowych drzwi, otoczonych większą ilością okazale ubranych strażników — Shemitów, wyperfumowanych i pomalowanych, jak wojownicy z Anthadronu — noszących starożytnie wyglądające włócznie zamiast mieczy i łuków.

Te dziwaczne postacie stały niewzruszenie, jak statuy, podczas gdy Irańczycy zuchwale minęli ich wraz z więźniem — czy gościem — i weszli do półokrągłego pokoju, gdzie gobeliny z wyhaftowanymi smokami pokrywały ściany, ukrywając wszystkie istniejące drzwi lub okna, za wyjątkiem tych, którymi weszli. Sufit był wysoki, tworzyły go łuki, pokryte złotem i hebanem, obwieszony złotymi lampami. Naprzeciwko wielkiego wejścia znajdowało się marmurowe podium. Na podium stał ogromny fotel przykryty baldachimem, rzeźbiony i ozdobiony jak tron, a na atlasowych poduszkach, które go wyścielały siedziała niedbale, szczupła postać w wyszywanej perłami szacie i pantoflach ze złotego materiału i zadartymi noskami. Na turbanie różowego koloru błyszczała ogromna, złota brosza usiana diamentami, mająca kształt dłoni zaciśniętej na sztylcie, z ostrzem w kształcie węża. Twarz pod turbanem była owalna, koloru starej kości słoniowej, z małą, czarną szpiczastą bródką. Oczy ogromne, ciemne i baczne. Ten człowiek był Irańczykiem.

Po bokach tronu stali gigantyczni, czarni strażnicy, jak wizerunki pogańskich bogów wyrzeźbione w czarnym bazalcie, nadzy z wyjątkiem sandałów i jedwabnych przepasek na biodrach, z zakrzywionymi szablami o szerokich ostrzach w dłoniach.

— Kim on jest — ospale zapytał mężczyzna na tronie, machając na przybyłych, aby zaprzestali ukłonów.

— Conan! — odpowiedział Ammad buńczucznie, w jego mniemaniu to oświadczenie miało wywołać coś w rodzaju sensacji, co by się stało gdziekolwiek indziej na świecie. Ciemne oczy ożywiły się zainteresowaniem i zwęziły podejrzliwością. Voltar obserwujący twarz swego pana z bolesnym natężeniem wstrzymał oddech i zaciśnął dłonie tak, że paznokcie wpiły się w skórę.

— Jak przybył do Shalhizaru niezapowiedziany?

— Stygijskie psy, które, powinny obserwować schody mówią, że pojawił się przysięgając, że posłałeś po niego, Shaykhronie!

Conan zeszytniał, gdy usłyszał ten tytuł, czarnoksiężnik Shaykhron. To rozstrzygnęło wszystkie jego podejrzenia. To było fantastyczne i niewiarygodne, ale prawdziwe. Jego niebieskie oczy skupiły się z niepohamowanym natężeniem na owalnej twarzy.

Nie powiedział nic. W tym momencie można było milczeć lub zuchwale odpowiadać. Jego następny ruch zależał całkowicie od słów Shaykhrona. Jedno słowo mogło napiętnować go jako oszusta i zniweczyć cały plan. Plan opierał się na dwóch podstawach; wiary, że żaden władca nie skazałby na śmierć Conana bez wywiedzenia się o powody jego obecności, i fakcie, że tylko niektórzy władcy cieszyli się całkowitym zaufaniem swoich popleczników lub sami ufali całkowicie swoim poddanym.

Czarnoksiężnik siedzący na tronie odpowiedział na pałacę, spojrzenie Conana, a po dłuższej chwili rzekł do Stygijczyka nie patrząc:

— Takie jest prawo Shalhizaru nie wolno Strażnikom Schodów pozwolić, aby ktoś wspiął się na schody dopóki nie uczyni znaku, który oni zobaczą. Jeśli jest obcym, który nie zna znaku, Strażnik Wrót musi zostać wezwany, aby porozmawiał z tym człowiekiem zanim pozwoli mu się wejść po schodach. Conan nie był zapowiedziany. Strażnik Wrót nie został wezwany. Czy Conan uczynił znak stojąc u stóp schodów?

Voltar zbladł i spocił się, wyraźnie wahając się pomiędzy niebezpieczną prawdą i jeszcze bardziej groźnym kłamstwem. Posłał jadowite spojrzenie Conanowi i powiedział głosem pełnym łęku:

— Straż na urwisku nie dała ostrzeżenia. Conan był na górze, gdy go dostrzeegliśmy chociaż staliśmy u szczytu schodów, obserwując okolicę, jak orły. On jest magiem, który czyni się niewidzialnym, chce. Wydawało się nam, że mówi prawdę o wezwaniu go przez Ciebie, w przeciwnym wypadku nie znałby tajnego przejścia.

Pot perlł się na wąskim czole Stygijczyka. Człowiek na tronie i wydawał się nie słyszeć jego głosu, a Ammad szybko wyczuł, że Stygijczyk popadł w niełaskę, uderzył Voltara gwałtownie otwartą dłoń w usta.

— Psie, milcz aż obrońca Biednych raczy wydać pozwolenie!

Voltar zatoczył się, krew popłynęła po jego brodzie, posłał Irańczykowi mordercze spojrzenie, ale nic nie odrzekł. Shaykhron poruszył dłoń oospale, ale z niecierpliwością.

— Zabrać Stygijczyków. Trzymać pod strażą do czasu dalszych; rozkazów. Nawet, jeśli człowiek jest oczekiwany, nie powinni dać się zaskoczyć. Conan nie znał znaku, a mimo to bez przeszkód pokonał schody. Gdyby byli czujni nawet Conan nie dokonałby tego. Nie jest magiem. Do pilnowania schodów wyznaczyć innych ludzi. Możecie odejść; porozmawiam z Conanem sam.

Ammad pokłonił się i wyprowadził swoich błyszczących wojowników z sali, pomiędzy milczącymi włócznikami stojącymi w szeregach przy drzwiach. Drżących Stygijczyków pędzili przed sobą, jak stado owiec. Mijając drzwi Stygijczycy odwracali się i płonącymi oczyma rzucali Conanowi nienawistne spojrzenia.

Ammad pociągnął spiżowe drzwi i zatrasnął je za sobą. Shaykhron odezwał się do Conana po aquilońsku.

— Mów swobodnie. Ci czarni ludzie nie rozumieją aquilońskiego.

Conan nim odpowiedział, wyciągnął się na otomanie stojącej przed podium i usadowił wygodnie ze stopami na ałasowym podnóżku. Nie ustalił swojego prestiżu przez łagodną postawę i nieśmiałe zachowanie. Tam, gdzie ktoś inny chodziłby na palcach, z sandałami w rękę, Conan kroczył głośno tupiąc i okazywał ciężką rękę, a ponieważ zwano go Conanem, on przeżywał tam, gdzie inni umierali.. Jego postawa nie była blefem. Przez cały czas był gotowy przerwać swą grę nieopanowaną furią i zimną stałą. Inni wiedzieli o tym. Wiedzieli również, że jest najbardziej niebezpiecznym mężczyzną z dowolnym rodzajem uzbrojenia od Zingary do Khitaju.

Czarnoksiężnik nie okazał zaskoczenia tym, że jego jeniec — czy gość — usiadł bez pytania o pozwolenie. Jego pierwsze słowa ujawniły, że stykał się często z mieszkańcami Zachodu i przyswoił dla siebie znanych celów nieco bezpośredniości. Dlatego powiedział bez wstępów:

— Nie posłałem po ciebie.

— Oczywiście, że nie; Ale musiałem coś powiedzieć tym głupcom albo ich wszystkich zabić.

— Dlaczego tu jesteś?

— Dlaczego ktokolwiek chce znaleźć się w gnieździe wyjętych spod prawa?

— Może przybyć jako szpieg — zauważył Shaykhron.

Conan zaśmiał się.

— Dla kogo?

— Skąd dowiedziałeś się o drodze przez Wąwóz Demonów?

Conan uciekł się do niejasnej subtelności.

— Podążyłem za sępami; zawsze prowadzą mnie do mojego celu.

— Powinny — brzmiała ponura odpowiedź. — Karmisz je do syta dość często. Co z Quanagiem, który obserwował szczelinę?

— Martwy; nie słuchał głosu rozsądku.

— To sępy podążają za tobą, a nie ty za sępami — skomentował Shaykhron. — Dlaczego nie, przysłałeś mi wiadomości o swoim przybyciu? ‘

— Przesłać wiadomość? Przez kogo? Ostatniej nocy, gdy obozowałem w Wąwozie Demonów dając odpocząć koniom przed wyruszeniem do Shalhizaru, banda twoich głupców napadła na mój oddział w ciemnościach. Jednego człowieka zabili, porwali innego. Jeszcze inny przestraszył się i uciekł. Ja przyszedłem tu sam, gdy tylko wzeszedł księżyc.

— To byli Ragorsi, których obowiązkiem jest obserwowanie Wąwozu Demonów. Nie wiedzieli, że mnie szukasz. Przykuśtykali do miasta o świcie niosąc jednego umierającego. Pozostali w większości ciężko ranni przysięgali, że zabili rycerza i jego służbę w Wąwozie Demonów. Widocznie bali się przyznać, że uciekli i zostawili cię żywego. Odpokutują za

Howard Robert E - Conan władca miasta

swoje kłamstwo. Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego tu przybyłeś.

— Szukam schronienia. I przynoszę wieści. Człowiek, którego wysłałaś, by zabił króla, zranił go tylko, a sam został pocięty na kawałki przez królewską straż.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami niecierpliwie.

— Twoje wieści są stare. Wiedzieliśmy to następnego dnia, po nocy, kiedy próbowano dokonać egzekucji. A od tamtej pory dowiedzieliśmy się, że król będzie żył, ponieważ lekarz oczyścił rany zakażone przez truciznę na sztylcie.

To przypominało czarną magię, do czasu, kiedy Conan przypominał sobie o gołębiach na dziedzińcu. Ptaki, oczywiście, wypuszczone przez agentów w Khorshemish z wiadomościami.

— Dobrze strześliśmy naszego sekretu — powiedział czarnoksiężnik. — Ponieważ wiedziałeś o Shalhizarze i Drodze do Shalhizaru musiał ci o tym powiedzieć ktoś z Bractwa.

Czy to Baghera cię przysłał?

Chwila wahania Conana przed odpowiedzią była nie dłuższa niż czas potrzebny na strzepnięcie pyłu z bryczesów, ale zdążył się zorientować, że zastawiono na niego pułapkę, której trzeba uniknąć. Nie miał pojęcia kim jest Baghera, a to nieważne z pozoru pytanie było zbyt jawną przynętą, po którą tylko oszust miałby chęć sięgnąć.

— Nie znam człowieka, którego zwiesz Baghera — odpowiedział. — Nikt nie obdarzył mnie swoim zaufaniem. Nie muszę być informowany o sekretach. Poznają je sam. Przybyłem tu, ponieważ muszę znaleźć kryjówkę. Jestem w niełasce w Khorshemish, a Hyperborejczycy zabijają mnie, jeśli uda im się mnie schwytać. Wyznaczyli za moją głowę nagrodę, a po tym, jak pomogłem powstańcom w Asgardzie, nagroda została podwojona.

Jedną z najtrwalszych legend związanych z Conanem była jego wrogość w stosunku do Hyperborejczyków. Miało to źródło w jego braku obaw przed złotymi galonami i srebrnymi guzikami. Jego ostentacja w łamaniu i lekceważeniu zasad, i przepisów, które kierują postępowaniem ludzi, w jakimkolwiek królestwie, była powszechnie znana. Nie miał czci dla władzy, która przystrajała się w przepych, arogancję i samowolę. Posiadał także trwałą pogardę dla pewnego typu ludzi, tak cywilnych jak wojskowych; tak więc był gorliwie nienawidzony przez jednych i drugich, a szczególnie tych drugich. Jednak ci, którzy faktycznie rządzą królestwami, poruszając się dyskretnie poza sceną, wiedzieli kim naprawdę jest Conan, i chociaż nie zawsze aprobowali metody, byli jego przyjaciółmi i korzystali z jego pomocy od czasu do czasu.

Czarnoksiężnik nie wiedział tego wszystkiego. Wiedział tylko tyle, że z łatwością mógł zostać oszukany co do prawdziwego charakteru Cymeryjczyka. Wiele opowieści, które słyszał były kłamstwem lub faktami o zniekształconych proporcjach. Dla Shaykhrona, Conan jawił się jako jeszcze jeden ignorujący prawo poszukiwacz przygód, nie całkiem zasymilowany, ale poza nawiasem szacunku i dlatego, całkiem prawdopodobnie zawsze przeciwstawiający się władzy.

Powiedział coś w archaicznym dialekcie irańskim, a Conan wiedząc, że nie zmienił języka ich rozmowy udał nieznaną tego dialektu. Czasami przebiegłość jest dziecinnie oczywistą.

Shaykhron odezwał się do jednego z czarnych i olbrzym obojętnie wyciągnął srebrny młotek zza paska i uderzył nim w złoty gong wiszący pośród arrasów. Echo z trudem zamierało, gdy otworzyły się spiżowe drzwi, wszedł szczupły mężczyzna ubrany w prostą jedwabną szatę i stanął pochyłony przed podium; Shaykhron nazwał przybyłego Utang i zaczął rozmowę z nim w języku, który dopiero co testował na Conanie.

— Czy znasz tego człowieka?

— Tak, Panie, to...

— Nie wymawiaj jego imienia; on nie rozumie nas, ale rozpozna swoje imię i to, że mówimy o nim. Czy twoi szpiegowie nadmieniali o nim w raportach?

— Tak, Panie. Ostatnia przesyłka z Khorshemish zawierała wieści o nim. W nocy, gdy twój sługa próbował zabić króla, ten człowiek potajemnie rozmawiał z królem, jakąś godzinę przed atakiem. Po opuszczeniu pałacu uciekł z miasta wraz z trzema ludźmi i był widziany na drodze do osady wyjętego spod prawa Akariona z Kroszhy. Ścigali ich jeźdźcy z Khorshy, ale czy poddali się pogoni, czy zostali zabici przez ludzi z Khorshy, tego nie wiem.

— Wygląda na to, że mówił prawdę o niełasce w Khorshy — zamyślił się Shaykhron. Conan rozwalony na otomanie, nie dający po sobie poznać, że rozumie cokolwiek, zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: siatka szpiegowska Ukrytych była bardziej doskonała i rozleglejsza niż podejrzewał; oraz, że łańcuch źle zrozumianych okoliczności pracował i jego korzyść. To, że uciekł z Khorshemish wydawało się naturalne w cieniu królewskiego gniewu. Wyprawa do osady wyjętego spod prawa rozstrzygała kwestię podobnie, jak „pogoń”

królewskich jeźdźców.

— Możesz odejść.

Utang pokłonił się i wycofał zamykając drzwi. Shaykhron medytował w milczeniu przez jakiś czas. W końcu uniósł głowę, jakby podejmując decyzję i powiedział:

— Wierzę, że mówisz prawdę. Uciekłeś z Khorshemish do Khrohy, gdzie żaden przyjaciel króla, nie byłby witany serdecznie. Twoja wrogość do Hyperborei jest dobrze znana. Ukryci potrzebują takiego mężczyzny jak ty. Nie mogę cię jednak wprowadzić do Bractwa dopóki Lord Baghera nie wyda opinii. Teraz nie ma go w Shalhizarze, ale powróci tu przed jutrzejszym świtem. Tymczasem chciałbym usłyszeć, jak dowiedziałeś się o naszej społeczności i naszym mieście.

Conan wzruszył ramionami.

— Czy coś się ukryje przede mną pośród tajemnic Wzgórz? Słyszałem sekrety, o których zawodzi wiatr, gdy przenika suche gałęzie tamaryszku. Rozumiem krzyk kani krążącej nad wąwozem Camal. Znam opowieści szeptane przy ogniskach, które ludzie z karawan rozpalają na pustynnych szlakach.

— Zatem znasz nasz cel? Nasze ambicje?

— Wiem, jak się nazywacie. Dawno temu istniało inne miasto zbudowane na górze, rządzone przez władców, którzy zwali się Shaykhron — tak jak ty. Ich zwolenników nazywano Zabójcami. Byli w szponach narkotyku wytwarzanego z pewnej rośliny. Ich obłąkańcze metody spowodowały, że całe dynastie bały się was.

— Tak — ciemny ogień rozbłysł w oczach czarnoksiężnika. — Sam Sauronn drżał przed nimi. Shaykhronowie pobierali daninę od Szacha Iranistanu, królów Shem, królów Koth, Zamory i Turanu. Nie wyprowadzali armii w pole, walczyli trucizną, ogniem i sztyletem uderzającym w ciemnościach. Ich okryci w szkarłatne płaszcze emisariusze śmierci wędrowali z ukrytymi sztyletami wykonując rozkazy. A królowie umierali wszędzie, gdy sprzeciwili się rozkazom Shaykhrona. Na górze Gleg, na granicy Iranistanu, pierwszy Shaykhron, zbudował słynne miasto — zamek z ukrytymi ogrodami, gdzie jego wyznawcom pozwalano zaznać radości raj, gdzie tańczące dziewczęta, piękne jak nimfy, przemękały pomiędzy kwiatami, a marzenia wywołane narkotykiem złościły wszystko uniesieniem.

— Umieszczano człowieka otumanionego narkotykami w ogrodzie — powiedział Conan.

— Myślał, że jest w Valhalli. Później wpędzono go w nałóg i mówiono, że jeśli chce osiągnąć znowu te uniesienia musi słuchać Shaykhrona aż do śmierci. Żaden król, nigdy nie wyzyskiwał tak absolutnego posłuszeństwa. Do czasu, gdy Quanagowie zniszczyli górski zamek w roku raka, to oni zagrażali cywilizacji Zachodu zniszczeniem.

— Tak! A ja jestem w prostej linii potomkiem Sabatona! — promień fanatyzmu rozbłysł w ciemnych oczach. — Przez cały czas mej czarnoksiężskiej nauki, marzyłem o świetności moich przodków. Bogactwo, które nagle spłynęło na mnie po śmierci mego poprzednika, Urzeczywistniło sen. Ja, Twolach Zanco, stałem się Shaykhronem, Władcą ukrytego miasta.

— Sabaton był wyznawcą Sheddona, który nauczał, że wszystkie uczynki i ludzie są jednym dla bogów. Sheddonizm jest rozległy i głęboki jak morze. Wznosi się ponad rasowe i religijne podziały i jednoczy ludzi przeciwnych sekt. Jest to jedyna siła, która może ostatecznie doprowadzić do zjednoczenia świata. Lud moich rodzinnych wzgórz nie zapomniał nauki Sheddona ani wspnianych ogrodów. Spośród nich wywodzili się moi pierwsi wyznawcy. Lecz wkrótce inni zgromadzili się przy mnie w górach Stygii, tam, gdzie miałem pierwszą twierdzę, Ragorsi, Stygijczycy, Aesirowie, Irańczycy, Quanagowie, Turańczycy, ludzie wyjęci spod prawa, radzie bez nadziei, gotowi nawet wyrzec się ojczyzny w imię posmakowania Raju Ziemi. A wiara Ukrytych nie wyrzeka się niczego; ona jednoczy, emisariusze przemierzali cały świat, zdobywali zwolenników. Dobierałem ludzi starannie. Moje bractwo — rosło wolno, ponieważ badano, czy jest zdolny służyć mym celom. Rasa i wiara nie ma znaczenia; wśród moich ludzi są wyznawcy wielu kultów.

— Cztery lata temu przybyłem wraz z moimi zwolennikami do tego miasta — które kiedyś też było siedzibą naszych wyznawców — wtedy rozpadającej się masy ruin, nieznanemu mieszkańcom wzgórz bo przesady trzymały ich z dala od gór. Wieki temu mieszkali tu Zabójcy. Kiedy przybyłem domy były w ruinie, kanały wypełnione kamieniami, roślinność zdziczała. Odbudowa zajęła trzy lata i pochłonęła większość mojej fortuny, potajemne sprowadzanie materiałów było niebezpieczne i trudne. Przywoziliśmy je z całego świata, starymi szlakami karawan i starożytnym szlakiem na zachodniej stronie płaskowyżu, który już zniszczyłem. Ale w końcu spojrzałem na zapomniany Shalhizar identyczny z tym, jaki istniał za starożytnych Shaykhronów.

— Spójrz! — Wstał i skinął na Conana, by szedł za nim. Czarni giganci otoczyli czarnoksiężnika, który wtedy ruszył do alkowy ukrytej za arrasem z tyłu tronu. Jeden z

czarnych odsunął zasłonę i stanęli na okratowanym balkonie, wychodzącym na ogród, otoczony pięciometrowym murem i gęstymi zaroślami. Egzotyczna woń unosiła się z masy drzew, krzewów i kwiatów, a srebrne fontanny dźwięczały harmonijnie. Conan dostrzegł poruszające się pomiędzy drzewami kobiety, skąpo ubrane w przezjrysty jedwab i pokryty biżuterią atlas — giętkie, szczupłe dziewczęta, głównie Stygijki, Shemitki i Zamoranki, ale były i inne. Nagle zrozumiał tajemnicze zniknięcia dziewcząt w Zamorze, które nasiliły się w ostatnich latach, i których ilości nie można było wyjaśnić przypadkowym porwaniem rodzimych księżąt. Mężczyźni, prawdopodobnie otumanieni opium, leżeli pod drzewami na jedwabnych poduszkach. Muzyka zawodziła melodyjnie, grana przez niewidocznych muzyków. Łatwo dało się zrozumieć, jak człowiek o zmysłach otumanionych narkotykiem, może uwierzyć, że znajduje się w Raju, budząc się w tym fantastycznym ogrodzie.

— Skopiowałem i udoskonaliłem ogrody Sabatona — powiedział Shaykhron, następnie zamknął sprytnie zamaskowane okno z kratami i powrócił do pokoju tronowego. — Pokazuję ci to, bo nie chcę abyś „posmakował Raju”, tak, jak inni. Nie jestem takim głupcem, aby wierzyć, że dasz się oszukać tak, jak oni. To nie konieczne. Poznanie tych sekretów nie uczyni ci krzywdy. Jeśli Baghera nie zaakceptuje cię, twoja wiedza umrze wraz z tobą, jeśli zaaprobuje, to już dowiedziałeś się tyle, ile wie każdy z Synów Gór. Możesz wspiąć się wysoko w imperium, które buduję. Stanę się tak potężny, jak mój przodek. Przygotowywałem się trzy lata. Potem zacząłem uderzać. W ciągu ostatniego roku moi ludzie wyruszyli z zatrutymi sztyletami, tak, jak dawniej, nie uznając żadnego prawa z wyjątkiem mojej woli, niesprzedajni, szukający raczej śmierci niż życia.

— A twoje podstawowe ambicje?

— Czy jeszcze nie zgadłeś? — Czarnoksiężnik prawie wyszeptał to pytanie, oczy rozszerzyły mu się i wypełniły dziwnym fanatyzmem.

— Któżby nie zgadł? Ale wolałbym usłyszeć to z twoich ust.

— Będę władał całym światem. Siedząc tu w Shalhizarze będę kontrolował przeznaczenie świata. Królowie na swych tronach będą tylko marionetkami tańczącymi ma moich sznurkach. Ci, którzy ośmielą się okazać nieposłuszeństwo, umrą w sposób nagły. Wkrótce nikt nie ośmieli się protestować. Władza będzie moja. Władza! Bogowie! Cóż jest wspanialszego?

Conan nie odpowiedział. Porównywał wielokrotne wzmianki Shaykhrona o jego władzy absolutnej, z uwagami o tajemniczym Bagherze, który musi zdecydować o statusie Conana. Wskazywało to, że bardzo liczył się z jego zdaniem, a być może dzielił z nim władzę w Shalhizarze. Conan zastanawiał się kim był ten Baghera. Samo słowo prawdopodobnie nie oznaczało nic i było czymś w rodzaju tytułu, podobnie, jak jego własny przydomek, Amra-Lew.

— Gdzie jest Slikh? — zapytał nagle. — Twoi Ragorsi porwali go po zamordowaniu Medasha.

Wyraz zaskoczenia i ignorancji na jego twarzy wydawał się przesadny.

— Nie wiem o kim mówisz. Ragorsi nie przyprowadzili z Wąwozu Demonów żadnego jeńca.

Conan wiedział, że tamten kłamie, ale zdał sobie sprawę, że dalsze naciskanie pytaniami w tym momencie byłoby bezcelowe. Wyobrażał sobie, dlaczego tamten wypierał się wiedzy o Slikhu, który na pewno był w mieście. A drążenie, tej sprawy po oficjalnym zaprzeczeniu mogło być niebezpieczne.

Shaykhron dał znak czarnemu, który uderzył w gong i ponownie wszedł Utang kłaniając się nisko.

— Utang wskaże ci komnatę, gdzie przyniosą ci jedzenie i picie — powiedział. — Nie jesteś oczywiście więźniem. Straż nie będzie cię pilnować, jednak muszę prosić abyś nie opuszczał swojej komnaty do czasu, gdy cię wezwę. Moi ludzie są podejrzliwi w stosunku do obcych i do momentu, kiedy formalnie zostaniesz wprowadzony do społeczności...

Nie dokończył tego zdania.

#### ROZDZIAŁ 4 SZEPCZĄCE MIECZE

Niewzruszony Utang poprowadził Conana przez spiżowe drzwi, pomiędzy szeregami błyszczących strażników i wzdłuż wąskiego, wijącego się korytarza. W pewnej odległości od komnaty audiencyjnej, wprowadził Conana do pokoju sklepionego kością stoniową i drzewem sandałowym. Komnata posiadała tylko jedno, wzmocnione spiżem mahoniowe drzwi. Okien nie było. Powietrze i światło wpadało przez ukryte otwory w sklepieniu. Ściany

## Howard Robert E - Conan władca miasta

obwieszono bogatymi arrasami, a podłogę ukryto pod rozrzuconymi tu i tam dywanami. Atlasowa otomana była jedynym meblem.

Utang bez słowa pokłonił się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Conan rozsiadł się na otomanie! Znalazł się w najdziwniejszej sytuacji w całym, pełnym przygód i krwawych epizodów życiu. Poczuł się nie na miejscu w swoich butach i zabrudzonych szatach, w tym tajemniczym mieście, które obracało zegar czasu o blisko tysiąc lat wstecz. To dziwne wrażenie wypaść z własnego czasu i trafić do zagubionej, i zapomnianej przeszłości, którą kiedyś znał. W błysku pamięci zobaczył siebie: czarnowłosa, niebieskooki wojownik z dalekiej, zachodniej wyspy, ubrany w kolczugę, tysiące lat, pod innym imieniem kroczący przez oplecione intrygami labirynty miasta Zabójców.

Potrząsnął niecierpliwie głową. Prawie uwierzył w reinkarnację, ta sprawa jednak nie była zwykłym odrodzeniem mistycyzmu. Shaykhron mógł niepodzielnie panować w Shalhizarze, gdzie przebudziły się śpiące wieki, ale Conan czuł, że coś jest poza tym — niewyraźny, gigantyczny kształt wyłaniający się zza kotar tajemnicy i iluzji.

Jaka była nagroda, o którą walczyły wielkie narody świata za zamkniętymi drzwiami?

Coś więcej niż szaleńczy kaprys marzyciela leżało za tym fantastycznym spiskiem. Sama odbudowa miasta wymagała niesłychanego wysiłku i ogromnych sum pieniędzy.

Kwestionował zapewnienia Shaykhrona, że przeznaczył na to część własnej fortuny. Wątpił, czy sami Ukryci sfinansowaliby to. Budowa Shalhizaru wskazywała na potężne poparcie i nieograniczone zasoby.

Nagle Conan przestał rozpatrywać różnorakie aspekty przeżywanej przygody i zaniepokoił się losem Slikha. Niewzruszony w rozmyślaniach nad własnym bezpieczeństwem i losem narodów, wstał, i przemierzał komnatę, jak tygrys w klatce, dumając nad tajemniczym zniknięciem Slikha. Dlaczego czarnoksiężnik wyparł się jeńca? To pytanie brzmiało groźnie. Conan usiadł ponownie, gdy usłyszał stukot sandałów na korytarzu. Bezpośrednio potem otworzyły się drzwi i wszedł Utang, a za nim olbrzymi czarnuch niosący żywność na złotych półmiskach i złoty dzban z winem. Utang szybko zamknął drzwi, ale Conan zdążył dostrzec szpic hełmu sterczący zza arrasów, zasłaniających alkwę na korytarzu. Więc Shaykhron kłamał, gdy mówił, że nie wystawi straży. Conan natychmiast uznał się za rozgrzeszonego z przestrzegania umowy o pozostawaniu w komnacie.

— Wino z Shadizaru panie i jedzenie — wskazał zupełnie niepotrzebnie Utang. —

Niebawem dziewczyna piękna jak nimfa zostanie przysłana, by cię zabawić.

Conan otworzył usta, aby odrzucić podarek, gdy zdał sobie sprawę, że przysłał dziewczynę na przeszeptęgi. Kiwnął głową przyzwalająco.

Utang gestem kazał niewolnikowi postawić jedzenie, a sam spróbował każdej potrawy i łyknął szczyrce wina. Potem pokłonił się i wypychając przed sobą czarnego opuścił komnatę. Conan, czujny jak głodny wilk w pułapce, zauważył, że Utang próbował wino na końcu i opuszczając komnatę potknął się lekko. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Conan uniosł dzban i głęboko powąchał jego zawartość. Z zapachem wina mieszała się, tak słaba, że tylko jego czułe nozdrza mogły to odkryć, aromatyczna woń, którą rozpoznał. Nie była to trucizna, tylko nienazwany narkotyk, który powodował głęboki sen w krótkim czasie. Ten, który ostatnio próbował wina z pośpiechem opuścił pokój, aby nie zostać zdemaskowanym. Conan zastanowił się, czy mimo wszystko czarnoksiężnik nie planował przeniesienia go do jakichś lochów.

Dalsze badania poparte doświadczeniem zdobytym przez lata, przekonały go, że jedzenie nie zostało zatrute i zabrał się za nie z zapalem.

Ledwo skończył posiłek, gdy drzwi otwarto ponownie na tyle, aby szczupła, giętka postać wsunęła się do środka; dziewczyna ubrana w przykrywające piersi, złote krążki, pokrytą klejnotami przepaskę i przejrzyste jedwabne spodnie. Mogła pochodzić z haremu Anoda lub Hartona. Conan zerwał się na równe nogi, jak uwolniona, stalowa sprężyna, ponieważ rozpoznał ją, nim jeszcze uniosła swój przeżroczysty woal.

— Laara! Co ty tu robisz?!

Jej ogromne, ciemne oczy wypełniły się strachem i podnieceniem; słowa wydobywały się z ust pomieszane, białe palce drżały w jego dłoni wzruszająco dziecinnie.

— Wykradli mnie pewnej nocy, gdy spacerowałam w ogrodzie mojego ojca. Wieźli mnie z karawaną mężczyzn udających handlarzy koni z Zamory. Przez Góry Kolchijskie do Zambouli dalej przez pustynię, przełęcz Shamla, i w końcu do tego miasta diabłów, z sześcioma innymi dziewczętami porwanymi w Vendhyi. Te karawany niewolników kursują ątałe pod baczynym okiem Turańczyków. Dziewczęta są zmuszane do siedzenia w krytych furgonach, nie ośmielając się wołać o pomoc, ponieważ jakiś nóż jest zawsze blisko nich do czasu minięcia granic Turami. Później nikt już nie zważa na płacz porwanych kobiet. Turan

przejeżdżają jako żony, córki i siostry „handlarzy koni”. W Ghori jest pewien turański urzędnik opłacany przez handlarzy. Przy jego pomocy mnóstwo dziewcząt co roku jest przewożonych przez Turan.

Conan nie użył mocnych słów, ale myśli miał bluźniercze i mordercze. To, że ten obrzydliwy handel odbywał się pod jego nosem, wprawiło go w niebezpieczną wściekłość, a także pokazywało skuteczność i organizację Ukrytych.

— Jak nazywa się ten urzędnik? — zapytał ponuro.

— Unqvis.

— Znam tę świnię! — skurcz na twarzy świadczył o dzikiej satysfakcji, gdy Conan zdał sobie sprawę z okazji wyrównania starych rachunków. Potem wrócił do rzeczywistości. Zdemaskowanie Unqvisa i wepchnięcie noża w jego tłusty brzuch w walce, która na pewno nastąpi, było kwestią przyszłości. Laara opowiadała gubiąc z pośpiechu słowa.

— Przebywam tu od miesiąca! Prawie umarłam ze strachu; Widziałam, jak inne dziewczęta umierały na skutek tortur. Zrobił mnie „niewolnicą” w ich śmierdzących rajskich ogrodach. Moje serce prawie pękło, kiedy zobaczyłam, jak żołnierze Ammada prowadzą cię między sobą. Obserwowałam z przejścia zastoniętego arrasem. Gdy łamałam sobie głowę nad sposobem porozmawiania z tobą, Pan Dziewcząt przybył, aby posłać dziewczynę do obcego wojownika. Miała wydobyć jego sekrety, jeśli jakieś posiada. Nakłoniłam go, aby wysłał mnie. Myśli, że jestem twoim wrogiem. Powiedziałam mu, że zabiłeś mojego brata. Rozmyślała przez chwilę nad potwornością swojego życia: jej brat był jednym z najlepszych przyjaciół Conana.

— Powiedz mi Laara, czy wiesz coś o Slikhu?

— Tak, Conanie! Sprowadzili go, aby zrobić z niego wyznawcę, ponieważ, jak dotąd, żaden Hyrkańczyk nie przyłączył się do kultu, a Shaykhron jest bardzo spragniony pozyskać kogoś, kto ma władzę w Hyrkanii. Slikh jest bardzo potężnym człowiekiem, jak wiesz, Conanie. A poza tym zna wielu władców w Hyrkanii. Po dotarciu do miasta oddali go w ręce strażników. Uwolnił się i gołymi rękoma zabił brata Ammada i ten zażądał jego głowy, a Shaykhron mimo swoich planów co do niego nie odmówił mu.

— Więc dlatego Shaykhron skłamał o Slikhu — mruknął Conan.

— Tak. Slikh leży w lochu pod pałacem i jutro zostanie oddany na tortury i śmierć.

Twarz Conana nie zmieniła wyrazu, ale oczy pociemniały i nabrały złowrogiego blasku.

— Zaprowadzisz mnie dziś w nocy do kwatery Ammada — Jego zmniejszone źrenice zdradzały śmiertelne zamiary.

— Nie, on śpi pomiędzy wojownikami, sprawdzonymi żołnierzami pustyni. Jest ich zbyt dużo, nawet dla takiego wojownika, jak Zaprowadzę cię do Slikha!

— Co ze strażnikiem ukrytym na korytarzu?

— Ten pokój jest połączony tajemnym przejściem z lochami. Nie zobaczy, jak opuszczamy tę komnatę. Do czasu mojego odejścia nic otworzy drzwi, a także nie wpuści nikogo do środka.

Odciągnęła arras na ścianie naprzeciw drzwi i nacisnęła arabski deseń. Fragment ściany obrócił się do środka, odsłaniając wąskie schody wijące się w dół i ginące w nieprzeniknionej otchłani.

— Pan myśli, że niewolnicy nie znają jego sekretów — szepnęła. — Chodź. Podniosła i zapaliła małą lampkę oliwną. Trzymając ją wysoko w szczupłej dłoni, ruszyła w dół, zamykając jednocześnie ścianę za nimi. Schodzili do momentu, kiedy Conan ocenił, że są już głęboko pod pałacem. Natknęli się na poziomy, wąski korytarz odchodzący od stóp schodów.

— Jesteśmy teraz pod jednym z zewnętrznych ogrodów — powiedziała. — Jeden z niewolników, który planował ucieczkę z Shalhizaru pokazał mi to tajne przejście.

Planowałam ucieczkę wraz z nim. Ukryliśmy tu broń i żywność. Został schwytany i poddany torturom. Umarł nie zdradzając mnie. Oto miecz, który tu ukrył.

Przerwała i zaczęła szperać w jakiejś niszy. Wyciągnęła klingę i wręczyła ją Conanowi.

Wziął miecz, wierząc, że będzie potrzebował takiej broni przed ucieczką.

Parę chwil później dotarli do ciężkich, obitych żelazem drzwi. Laara, gestem nakazując ostrożność, przyciągnęła Conana i pokazała mu malusieńką szczelinę do podglądania — Spojrzał na dość szeroki korytarz, którego jedna ściana była zapewne pusta z wyjątkiem pojedynczych hebanowych drzwi, niezwykle ozdobionych, z solidnym rygłem, zaś na drugiej widniał szereg drzwi do cel. Korytarz nie był długi. Widział jego koniec również zakończony ciężkimi drzwiami. Ozdobne, oliwne lampy wisiły w pewnych odstępach i rzucały łagodne światło.

Przed jedną z cel stał strażnik w błyszczącym pancerzu, ozdobionym piórami hełmie i z szablą w ręku. Miał orli nos, czarną brodę i arogancką postawę pewności siebie i siły.

Palce Laary zacisnęły się na ramieniu Conana.

— Slikh jest w celi, przed którą on stoi — wyszeptwała. — Zabij go w ciszy. On nie ma łuku i jest dumny ze swojej umiejętności posługiwania się szablą. Nie krzyknie aż do momentu, kiedy zda sobie sprawę, że jest pokonany. Wyżej nie usłyszą dźwięczenia stali. Conan zważył w dłoni ostrze, które mu dała — długa, turańska atol, lekka, ostra jak brzytwa do cięć i nie zakrzywiona, dobra do pchnięć. Miecz miał tę samą długość co broń strażnika.

Conan otworzył tajne drzwi i wkroczył na korytarz. Spostrzegł zarośniętą twarz Slikha spoglądającą zza krat za Irańczykiem, Conan nie odezwał się wychodząc z ukrycia, ale niewidoczne zawiasy zgrzytnęły i przeciwnik odwrócił się szybko jak kot, warcząc ze zdumienia, rzucając dzikie spojrzenie i natychmiast zaatakował z determinacją pantery. Conan spotkał się z nim w pół drogi. Dzikooki Slikh, trzymający kraty aż do zbieżenia kłykci, i dziewczyna, skulona w otwartych drzwiach, byli świadkami gry mieczy, która zagotowałaaby krew królów.

Jedynymi dźwiękami były szybkie, przyciszone, pewne kroki, zgrzyty i uderzenia stali o stal, i oddechy walczących. Długie, lekkie ostrza migotały iluzorycznie w łagodnym świetle. Wydawały się żywe, jak języki węży, wysuwające się i błyskające, stanowiły jedno z ludźmi, którzy się nimi posługiwali, połączone nie tylko z ręką, ale i z umysłem. Dla dziewczyny było to oszałamiające i niepojęte. Slikh jednak, wychowany z mieczem w dłoni, rozumiał i doceniał wspaniałą zručność, która iskrzyła tu w błyskawicznych zawitościach walki, na przemian zamierał i rozpalał się obserwując oszałamiającą wspaniałość pojedynku. Przed Irańczykiem wiedział, kiedy równowaga wisząca na włosku, załamała się; poczuł nieuniknione nadejście decydującego momentu. Usta Irańczyka otworzyły się w dzikim rozpoznaniu klęski i rozpaczliwym postanowieniu zabrania wroga ze sobą. Koniec nadszedł nim Slikh zdał sobie sprawę z jego bliskości. Głośniejszy dźwięk ostrzy, błysk stali, który zmylił oko próbujące je śledzić — migający miecz Conana wydawał się lekko popieścić szyję wroga w przelocie — i już Irańczyk z głową nie całkowicie odciętą od tułowia leżał w kałuży krwi. Umarł bez słowa.

Conan stał nad nim przez chwilę, z mieczem poplamionym karmazynowymi nitkami. Miał rozdartą koszulę, jego muskularna pierś opadała i podnosiła się swobodnie. Tylko cienka warstwa potu błyszcząca na czole, zdradzała wysiłek niedawnych zmagania.

Pochylając się zerwał pęk kluczy z pasa umarłego. Zgrzyt żelaza w zamku wydawał się wyrwać Slikha z transu.

— Conanie jesteś szalony, jeśli przyszedłeś do tego gniazda żmij! Kto nauczył tego diabła tak władać mieczem! To przeniosło mnie do starych czasów, kiedy współzawodniczyliśmy z najświetniejszymi ostrzami Hyrkani!

— Wychodź. — Conan otworzył drzwi. Slikh wyszedł na korytarz pręźnie i lekko jak pantera, był bez turbanu i na wpół nago, ale ten stan nie wpływał na mężność jego postawy. Conan myślał gwałtownie.

— Nie mamy szans przedrzeć się przed zmrokiem. Laara, kiedy ktoś przyjdzie, żeby zastąpić człowieka, którego zabiłem?

— Zmieniają strażę w lochach co cztery godziny. Jego zmiana właśnie się zaczęła.

— Dobrze! To daje nam cztery godziny wyprzedzenia. Przebywał w Shalhizarze o wiele dłużej niż zamierzał.

— W ciągu najbliższych godzin zajdzie słońce. Gdy tylko dobrze się ściemni spróbujemy się uwolnić. Dopóki nie będziemy gotowi ukryjemy się na schodach.

— A co, jeśli ktoś przyjdzie zastąpić strażnika? — spytał Slikh.

— Wyda się, że uciekłem z celi. Powinieneś być mnie tu pozostawić do czasu bezpiecznej ucieczki.

— Nie śmiałem ryzykować. Mógłbym nie zdołać cię wydostać, gdy nadszedłby czas.

Mamy cztery godziny do chwili, kiedy prawdopodobnie odkryją twoje zniknięcie. Jeśli tak się stanie, może powstałe zamieszanie pomoże nam. Ukryjmy gdzieś to ciało.

Odwrócił się do dziwnie ozdobionych drzwi, ale Laara chwyciła go za ramię i szepnęła:

— Nie tu! Czy otworzyłybyś drzwi do piekła?

— Co masz na myśli? Co jest za tymi drzwiami?

— Nie wiem. Ciało straconych mężczyzn i kobiet są zrzucane z krawędzi płaskowyżu na pożarcie kaniom. Przez te drzwi przeprowadza się nieszczęśników, którzy przeżyli tortury. Co się z nimi dzieje, nie wiem, ale słyszałam ich krzyki, bardziej straszliwe niż przy torturach. Dziewczęta mówią, że prawdziwy demon ma za tymi drzwiami swoją jamę. Odmawia pożerania trupów i przyjmuje tylko ofiary żywe.

— To możliwe — powiedział Slikh sceptycznie. Widziałem, jak parę godzin temu



niewolnik cisnął przez nie coś, co nie było ani mężczyzną ani kobietą. Nie wiem — co to było.

— Bez wątpienia noworodek — zadrzała.

Conan wciągnął już ciało Irańczyka do celi i zaczął je rozbierać. Polecił Slikhowi wejść do celi i zdjąć łachy pozostawione mu przez prześladowców. Ubrał trupa w odzież Slikha i ułożył go w najdalszym kącie plecami do drzwi, tak, że przecięte gardło nie rzucało się w oczy. Irańczyk nie dorównywał wzrostem Slikhowi, ale w zgiętej pozycji, fakt ten nie był tak dostrzegalny. Slikh włożył te części ubioru i ekwipunku zmarłego, które pasowały. Hełm i pancerz, które nie zaliczyły się do tego zestawu zabrał ze sobą, by je ukryć w tunelu. Conan zamknął drzwi celi i oddał klucze Slikhowi.

— Nic nie możemy zrobić z krwią na podłodze. Gdy przyjdzie inny strażnik pomyśli, że to ty, śpisz albo jesteś martwy, i zaczną poszukiwania strażnika, a nie ciebie. Im później odkryją, że uciekłeś tym więcej czasu uzyskamy. Nie mam określonego planu co do ucieczki z miasta; to będzie zależeć od okoliczności. Jeśli przekonam się, że nie mogę uciec, zabiję Shaykhrona, a reszta leży w rękach Croma. W wypadku, gdy wam dwojgu to się uda, a mi nie, spróbujcie wracać szlakiem i spotkać Serotańczyków, którzy tu nadciągają. Wysłałem po nich Yarali Nakha. Wyruszył o świcie. Jeśli bezpiecznie dotarł do koni, powinien dotrzeć do Khroshy wkrótce po zapadnięciu zmroku. Serotańczycy dotrą do kanionu pod płaskowyżem mniej więcej jutro o świcie.

Wrócili do ukrytych drzwi, które po zamknięciu wydawały się dalszym ciągiem kamiennej ściany. Zatrzymali się tylko na tyle, żeby Laara zapaliła ponownie małą lampkę oliwną, później przebyli korytarz i wspięli się na schody.

— Tutaj musisz się ukryć do czasu, aż nadejdzie właściwy moment — powiedział Conan.

— Weź miecze i lampkę. A także to. — Wcisnął mu wielki błękitny sztylet wbrew jego sprzeciwom. — Będziesz go potrzebował nim skończy się noc. Jeśli coś mi się stanie zabierz dziewczynę i spróbujcie uciec w ciemnościach. Jeśli żadne z nas nie przyjdzie po ciebie w przeciągu czterech godzin, otwórz te zamaskowane drzwi i uciekaj sam.

— Jak każesz, Conanie. Wstyd mi, że obezwładniono mnie bez walki, ale Ragorsi przekradli się przez jar, jak koty. Jeden z nich powalił mnie kamieniem wyrzuconym z procy nim uświadomiłem sobie ich, obecność. Stali w takich ciemnościach, że nawet sam diabeł, by ich nie dojrzał. Kiedy doszedłem do siebie zostałem zakneblowany i związano mi ręce za plecami. Powiedzieli, że w podobny sposób podeszli Medasha, ale później podcięli mu gardło, ponieważ nie chcą żadnych kontaktów z ludźmi z zewnątrz, obawiając się, że w rozmowach z krewniakami, czy znajomymi mogą zdradzić tajemnicę Shalhizaru — Ragorsi jak koty skradają się w ciemności. Mimo to bardzo mi wstyd.

To mówiąc usiadł ze skrzyżowanymi nogami na najwyższym stopniu, usadawiając się ze spokojem charakterystycznym dla swojej rasy, przygotowany na długie czuwanie.

Kiedy Conan i Laara wrócili do komnaty, dziewczyna pieczołowicie, rozwiesiła arras nad fałszywą ścianą. — Lepiej już idź — powiedział Conan. Jeśli zostaniesz tu zbyt długo mogą stać się zbyt podejrzliwi. Znajdź sposób, żeby tu wrócić, gdy tylko dobrze się ściemni. Mam przeczucie, że powinienem tu zostać aż wróci ten facet, Baghera. Kiedy wrócisz, powiedz strażnikom na korytarzu, że przysłał cię Shaykhron. Zajmę się nim, kiedy będziemy gotowi do ucieczki. Poza tym, przysłał tu wino z narkotykiem. Powiedz im, że widziałas, jak je piłem. Myślę, że wiem dlaczego je przysłał.

— Tak! Wrócę po zmroku.

Dziewczyna drżała ze strachu i podniecenia, ale kontrolowała swoje zachowanie wspaniale. W niebieskich oczach Conana pokazał się żal, gdy obserwował, jak jej szczupła sylwetka mija drzwi. Ulubiona córka bogatego handlarza w Peshkhauri, nie była przyzwyczajona do taktowania jakiego, doznawała w Shalbizarze. Trzymała się jednak dość dobrze.

Conan podniósł dzban wina i rozmazał sobie na ustach nieco napoju, by wywołać zapach, który mógłby zostać wykryty przez czułe nozdrza. Potem opróżnił zawartość w kącie za arrasem i wyciągnął się na otomanie udając drzemkę. Dzban położył na podłodze blisko głowy.

Po paru minutach drzwi się otworzyły ponownie. Weszła dziewczyna. Nie otworzył oczu, ale z lekkiego szelestu gołych stóp na grubych kobiercach i z zapachu perfum wnioskuje, że to dziewczyna. Z tych samych przesłanek wiedział, że to nie Laara. Najwidoczniej Shaykhron nie pokładał zbyt dużego zaufania w jakiegokolwiek kobiecie. Conan nie uważał, aby przysłała ją w morderczej misji — trucizna w winie wystarczyłaby do tego — więc nie ryzykował podglądania przez przymrużone powieki.

To, że dziewczyna się boi, wynikało jasno z drżenia jej oddechu, gdy pochyliła się nad

## Howard Robert E - Conan władca miasta

nim. Jej nozdrza prawie dotknęły jego warg. Usłyszał westchnienie ulgi, gdy poczuła wino z narkotykiem w jego oddechu. Delikatne ręce myszkowały po jego ciele w poszukiwaniu ukrytej broni, i gdy natrafiły na pustą pochwę pod lewym ramieniem, był zadowolony, że oddał sztylet Slikhowi. By podtrzymać podstęp byłby zmuszony pozwolić jej zabrać broń. Wymknęła się z pokoju, delikatnie zamykając drzwi. On leżał spokojnie dalej. Nie sprawiło mu to kłopotu. Musi minąć cztery godziny nim będzie mógł zrobić jakikolwiek ruch. Dawno temu nauczył się jeść i spać wtedy, gdy mógł. Grał z życiem i śmiercią o główną stawkę. Jego maskarada wisiła na włosku. Jego życie, i życie jego towarzyszy, zależało od znalezienia przez niego sposobu ucieczki z płaskowyżu tej nocy. Jak dotąd nie miał planu; nie wiedział, jak mają opuścić miasto i zejść z urwiska. Spekulował na temat możliwości znalezienia czy wywalczenia drogi, ucieczki, kiedy nadejdzie czas. W międzyczasie spał spokojnie i krzepko, jakby leżał w domu przyjaciela, bezpieczny, jak w rodzinnym kraju.

## ROZDZIAŁ 5 MASKA OPADA

Podobnie, jak większość ludzi, którzy żyją na granicy ryzyka, Conan przyswoił sobie talent spania tyle, ile się chce i budzenia się w wybranej przez siebie chwili. Nie pozwolono mu jednak przespać jego czterech godzin.

Sen miał zdrowy i krzepiący, mimo to obudził się w chwili, gdy czyjaś dłoń dotknęła drzwi. Obudził się i zerwał na równe nogi, gdy wszedł Utang z nieodłącznym pokłonem.

— Shaykhron pragnie cię widzieć, panie. Pan Baghera powrócił.

Więc tajemnicza postać przybyła szybciej niż Shaykhron oczekiwał. Conan poczuł ostrzegawcze napięcie, gdy wychodził za Irańczykiem z komnaty. Rzut oka w bok ujawnił wybrzuszenie na arrasie w miejscu, gdzie dostrzegł hełm; strażnik ciągle tam tkwił.

Utang nie prowadził go z powrotem do komnaty, gdzie Shaykhron przyjął go poprzednio.

Prowadził przez kręty korytarz do złożonych drzwi, przed którymi stał irański strażnik. Człowiek ten otworzył drzwi, a Utang ponaglił Conana do przekroczenia progu. Drzwi — zamknęły się za nimi, a Conan zatrzymał się nagle.

Stał w obszernej komnacie bez okien, ale z kilkoma wejściami. Po drugiej stronie komnaty na otomanie na wpół leżał Shaykhron, otoczony tuzinem uzbrojonych (mężczyzn różnych ras: Brythuńczykami, Stygijczykami, jednym Puntjczykiem i pierwszym Darfarem jakiego Conan zobaczył w Shalhizarze — owłosiony, pokiereszowany, prymitywny łajdak, którego Conan znał jako Vangool, złodziej i morderca. Z tyłu stali czarni niewolnicy Shaykhrona. Cymeryjczyk poświęcił tym ludziom jedynie najkrótsze możliwej spojrzenie. Cała jego uwaga była skupiona na mężczyźnie, który dominował nad całą sceną. Człowiek ten stał pomiędzy nim, a otomaną Shaykhrona, z szeroko rozstawionymi nogami jeźdźca, w ponury, mroczny sposób. Był wyższy od Conana i bardziej muskularny, co podkreślały dobrze dopasowane bryczesy i skórzane buty. Jedną dłonią pieścił rękojeść potężnego miecza, który wisiał mu i przy udzie, drugą muskał swoje gęste, czarne wąsy. Conan zrozumiał, że gra się skończyła ponieważ stał przed nim Ronn, Turańczyk, który znał Conana zbyt dobrze, żeby dać się oszukać, tak, jak Shaykhron.

— To jest ten człowiek — powiedział Shaykhron. — Pragnie się do nas przyłączyć.

Człowiek zwany Baghera, uśmiechnął się słabo.

— On gra jakąś rolę. Conan nigdy, by nie zdradził. Szpieguje tu dla króla.

Oczy skupione na Cymeryjczku nabrały nagle morderczego wyrazu. Słowo Baghery wystarczyło, by przekonać jego ludzi. Conan zaśmiał się głośno i nikt, kto go słyszał nie rozumiał dlaczego. Ronn także. Znał Conana na tyle dobrze, by odsiać prawdę od kłamstwa i rozumieć jego rzeczywisty cel w Shalhizarze. Nie znał go jednak dość dobrze, by zrozumieć ten śmiech, lub zrozumieć ciemny płomień, jaki narastał w jego oczach.

Conan nie śmiał się z siebie i nie wyszydził cynicznie własnej kłębki. Pod tajemniczą powierzchownością kryła się nieposkromiona dusza barbarzyńskiego wojownika. Długo uczył się, że walka sama w sobie nie jest mądra i jest ostatecznością. Teraz jednak, gra się skończyła. Wszystkie maski opadły. Zrobił wszystko co mógł chytryością i intrygą. Za plecami miał ścianę i pozostała mu tylko walka. Mógł zanurzyć się w krwawe szaleństwo bitwy bez wątpliwości, żalu i bez rozważania konsekwencji. Śmiech, który zadziwił jego wrogów, narastał w dzikiej radości z głębin jego żywiołowej duszy. Po chwili wziął się w karby, tylko płomień w jego oczach mógł ostrzec jego wrogów, ale oni nie rozpoznali groźby. Shaykhron wykonał gest rezygnacji.

— W tych sprawach zawsze polegam na twoim sądzie, Baghera. Znasz tego człowieka. Ja nie. Rób co chcesz,. Nie obawiaj się. Nie jest uzbrojony.

Potwierdzeniem bezradności ich ofiary było wilcze okrucieństwo wyostające twarze wojowników, a Vangool na wpół wyciągnął metrowy miecz z wyszywanej pochwy. Wokół było mnóstwo ostrej stali, ale tylko Ronn był naprawdę niebezpieczny.

— To ułatwi sprawę — zaśmiał się Ronn. Później przeszedł na aquiloński, którego Irańczycy oprócz Shaykhrona nie rozumieli. — Conanie, jesteś szalony jeśli tu przybyłeś. Powinieneś być wiedzieć, że spotkasz tu kogoś, kto będzie wiedział kim naprawdę jesteś, nie tak, jak ci głupcy.

— Jesteś; zwycięzcą w tej rozgrywce — przyznał Conan. — Nie wiedziałem, że tubylcy zwą cię Baghera. To mnie zmyliło. Wiedziałem jednak, że jakaś potęga musi stać za tą maskaradą. Twój mocodawca marzą o światowym imperium; prawda? Więc wysłali ciebie byś połączył fanatyzm z siłą; pomógł zbudować miasto, zrobić z niego narzędzie. Dostarczyli pieniądze, rozum i broń. Co mieli nadzieję zrobić? Obalić każdego władcę, nastawionego teraz przyjaźnie do sąsiadów i zastąpić go marionetką posłuszną ich rozkazom? Skłócić wszystkich ze sobą? Zastraszyć wroga nastawionych władców i książąt groźbą śmierci, aby zapewnić korzystne układy i koncesje? I w odpowiedniej chwili przejąć w tych królestwach władzę?

— Częściowo — przyznał Ronn spokojnie. — To tylko jedna nitka w daleko sięgającej pajęczynie imperialnych ambicji. Nie będę cię zanudzał przypomnieniem, że mógłbyś odegrać pewną rolę w powstającym imperium, gdybyś był mądry. Znam twój upór w odmowie robienia czegokolwiek przeciwko interesom króla, dla którego aktualnie służysz, choć nie rozumiem dlaczego. Jesteś Cymeryjczykiem. Twój przodek przez stulecia zwalczał inne narody.

Conan uśmiechnął się ponuro.

— Nie dbam o Koth jako naród. Ale Kothyjczycy lepiej się mają pod panowaniem własnych władców, niż czuliby się pod rządami ludzi, którzy zatrudniają takie kanalie, jak ty. Nawiasem mówiąc, kim są twoi obecni panowie? Muszą być naprawdę bardzo potężni skoro nawet czarnoksiężnik Shaykhron liczy się z twoim zdaniem?

— Co to za różnica, kto wydaje rozkazy, ważne jest, kto cię zabije. Ronn pokazał białe zęby pod sztywnymi ciemnymi wąsami w lekkim uśmiechu. Czarnoksiężnik i jego ludzie poruszali się niespokojnie, gniewni, że nie mogą uczestniczyć w rozmowie. Ronn przerzucił się na irański.

— Ciekawe będzie obserwować twój koniec. Mówią, że jesteś równie wytrzymały, jak góry w twoim kraju. Cieszę się na sprawdzenie twojej reputacji. Straż, związać go. Sięgnął po miecz u biodra gestem bardzo powolnym. Wiedział, że Conan jest niebezpieczny, ale nigdy nie widział czarnowłosego Cymeryjczyka w akcji i nie zdawał sobie sprawy z wścieklej szybkości, która czaiła się w twardych mięśniach Conana. Nim Ronn podniósł ostrze miecza, Conan skoczył i uderzył, jak pantera. Cios zaciśniętej pięści miał siłę młota i Turańczyk padł tryskając z ust krwią, miecz wysunął mu się z dłoni. Nim Conan zdołał chwycić broń, Vangool był już przy nim. Tylko on zdał sobie sprawę ze śmiertelności szybkości i dzikości Conana, ale nawet on nie był dość szybki, by ochronić Turańczyka przed uderzeniem. Utrzymał jednak Conana z dala od miecza, ponieważ Conan musiał odwrócić się i walczyć. Potężny miecz wzniósł już nad nim. Conan chwycił lewą ręką za przegub Vangoola zatrzymując cięcie w powietrzu, żelazne mięśnie wyrwały się z jego nadgarstka w wysiłku. Ruchem ramion skierował ostrze w bok, prawą ręką wyrwał sztylet z pasa Darfara i zatopił go po rękojeść pod jego zebrami, prawie tym samym ruchem. Vangool jęknął i opadł umierając. Conan wyszarpnął długi miecz z ręki padającego przeciwnika. Wszystko to zdarzyło się w nieprawdopodobnym wybuchu szybkości, trwając ułamek sekundy. Ronn leżał na ziemi, a Vangool umierał nim ktokolwiek przystąpił do działania. A kiedy to zrobili, natrafili na miecz o długości metra, w dłoni najsukuteczniejszego szermierza na zachodzie.

Obracając się, by stawić czoło atakowi liczną długim ostrzem i ściał z nóg Irańczyka, kończąc jego życie przecięciem szyi. Inny wrzasnął, łapiąc się za rozcięty brzuch. Następny wyprzedzony przez wściekle uderzenie miecza, zatoczył się w bok, kurczowo trzymając się za tryskający krwią kikut ręki.

Conan nie opierał się plecami o ścianę; skoczył w tłum nieprzyjaciół, morderczo posługując się swym ociekającym krwią mieczem. Wirowali i dreptali wokół niego; był centrum trąby powietrznej utworzonej z ostrzy, które migotały, cięły, zadawały pchnięcia i jakoś ciągle chybiały swojego celu ponieważ zmieniał on swoją pozycję tak szybko, że mylił spojrzenia próbujące go śledzić. Liczba atakujących powodowała, że przeszkadzali sobie nawzajem; cięli w powietrze, ranili się nawzajem, zdezorientowani jego szybkością i zdenerwowani przez wilczą wściekłość jego ataku.

## Howard Robert E - Conan władca miasta

W tak śmiertelnie ciasnym pomieszczeniu długi miecz w dłoniach człowieka, który wie, jak nim władać jest najbardziej morderczą bronią we wszechświecie. Conan dawno temu opanował każdy ruch, czy to straszliwe obrotowe uderzenia rozszechniające czaszki, czy wściekłe cięcia z dołu ku górze wypruwające ludzkie wnętrza. W tej robocie rzeźnika Conan nie wykonał żadnego fałszywego ruchu; nigdy nie miał wątpliwości, czy chwili dezorientacji. W jego ataku nie zaistniał moment niepewności czy wahania. Przebiegał się przez gąszcz napiętych ciał i uderzających ostrzy, jak śmiercionośny tajfun, pozostawiając za sobą czerwony ślad.

Poczucie czasu znika w wirze walki. W rzeczywistości bijatyka trwała zaledwie parę chwil. Ci co przeżyli, cofnęli się ogłuszeni i przerażeni błyskawicznym spustoszeniem dokonanym pośród nich. Conan obrócił się i zlokalizował Shaykhrona, który wycofał się pod przeciwległą ścianę, otoczony przez potężnych, czarnych strażników. Gdy mięśnie nóg Conana tężały przed skokiem, jakiś okrzyk zatrzymał go i kazał mu się odwrócić.

Grupa strażników ukazała się w „otwartych na korytarz drzwiach z wycelowanymi w niego łukami. Ci, którzy przebywali w pokoju beładnie uciekali z linii strzału. Wahanie Conana trwało tylko przelotny ułamek sekundy. W przebłysku świadomości rozważył swoje szansę na dopadnięcie Shaykhrona i zabicia go przed własną śmiercią. Oceniał, że trafi go w powietrzu przynajmniej pół tuzina strzał, ale nie wahał się w postawieniu swojej dzikiej żywotności przeciwko samej śmierci.

Wtedy — wszystko wydawało się dziać jednocześnie — nim Conan mógł skoczyć lub strażnicy oddać salwę, jakieś drzwi po prawej stronie z hukiem otworzyły się do wnętrza pokoju i trzy strzały lecące prawie równocześnie trafiły w szereg strzelców. Slikh! Wraz z pierwszym okrzykiem triumfu wielkiego wojownika, Conan zmienił plan śmierci na plan życia. Zaatakował Irańczyków zamiast Shaykhrona. Zdezorientowani przez nagły ostrzał, który zabił trzech ludzi oraz wywołał krzyki i oszołomienie innych, Irańczycy całkowicie stracili głowę. Niektórzy wystrzelili beładnie w Slikha, niektórzy w atakującego Conana, wszyscy chybili, co jest nieuniknione, kiedy uwaga ludzka jest rozproszona. Gdy tak bezskutecznie strzelali, Conan znalazł się pomiędzy nimi. Ociekające ostrze bryzgało krwią i pozostawiało za sobą skręcające się, krwawiące postacie. Po chwili przedostał się przez splecione tłum i popędził korytarzem, krzyknął do Slikha wpadając w drzwi sąsiedniej komnaty.

Slikh w chwili, gdy zobaczył Conana zanurzającego się w zgraję strażników, zatrzasnął spiżowe drzwi pomiędzy pokojami i uśmiechnął się słysząc, jak groty rozplaszczają się na metalu, potem odwrócił się i popędził do drzwi na korytarz. Gdy dotarł do progu, usłyszał okrzyk Conana. Jakaś dłoń trzymająca pałkę wysunęła się zza arrasu. Slikh jej nie zauważył i unik pełen rozpaczony wykonany po usłyszeniu ostrzegawczego wrzasku Conana nic nie pomógł. Pałka trzasnęła go w nieosłoniętą głowę i Slikh zataczając się do tyłu wpadł do otworu, który pojawił się nagle w podłodze. Pułapka momentalnie zamknęła się nad upadającym ciałem.

Warcząc Conan skoczył do arrasu, ale jego cios rozpruł tylko aksamit i zadźwięczał o kamień. Ktokolwiek tam się czał, wycofał się już do ukrytej wnęki.

Slikh spadł w czeluść — martwy czy żywy — przez ukrytą zapadnię i Conan nie mógł mu teraz pomóc. Pułapka została zamknięta, a mężczyźni wylewali się na korytarz dziko wrzeszcząc. Echo krzyków toczyło się ogłuszająco wzdłuż ścian korytarza.

Strzały uderzały w spiżowe drzwi, które zamknął Slikh. Conan zatrzasnął drzwi na korytarz, obiegł pokój trzymając się blisko ściany, aby uniknąć pułapki na środku i otworzył drzwi naprzeciwko. Wpadł na wąski korytarz, który odchodził pod kątem prostym od głównego holu. Na przeciwnym końcu widniało okratowane złotem okno. Jakiś Stygijczyk wyskoczył z alkowy podnosząc łuk. Conan zaatakował, jak górską burza. Zniechęcony widokiem dzikiego, poplamionego krwią potężnego mężczyzny, Stygijczyk wystrzelił bez celowania, chybił i zrozumiał, że nie starczy mu czasu na sięgnięcie po następną strzałę. Wrzasnął, rzucił łuk szarpnięciem rozpaczliwie za rękojeść miecza, potem podniósł ręce do góry i krzyknął, gdy Conan doprowadzony do szału losem Slikha uderzył z morderczą furją. Głowa Stygijczyka odskoczyła od jego ramion ciągnąc za sobą karmazynowy strumień i uderzyła głucho o podłogę.

Conan dopadł okna, ciał mieczem w kratę, następnie chwycił ją obiema rękoma i napiął mięśnie nóg. Przyptyw żelaznej siły, wściekłe szarpnięcie, trzask kruszącego się muru i krata została mu w rękach.

Zanurkował w okno i skoczył na balkon z drewnianą kratownicą, wychodzący na ogród.

Za nim, mężczyźni szturmowali wąski korytarz. Świsł lecących i dźwięk uderzających wokół niego strzał oraz mordercze okrzyki, zwiastowały bliski koniec. Skoczył na kratownicę głową

naprzód, trzymając miecz przed sobą. Uderzył w kruchy materiał i nie kontrolując swojego lotu spadł miękko jak kot, w ogrodzie poniżej.

Ogród był pusty, jeśli nie liczyć pół tuzina, skapo ubranych kobiet biegnących i krzyczących. Podbiegł do muru naprzeciwko, kryjąc się pomiędzy niskimi drzewami, aby uniknąć strzał, które sypnęły się za nim. Ostre groty przedzierały się przez gałęzie i wbiły się w pnie. Rzut oka do tyłu, pokazał pogruchofaną kratownicę balkonu, wypełnioną rozjuszonymi twarzami i ramionami wywijającymi bronią. Następnym okrzykiem ostrzegł go przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

Jakiś człowiek biegł po krawędzi muru machając zakrzywioną szablą.

Mężczyzna, mięsisty Shemita, dokładnie ocenił punkt, gdzie zbieg dotrze do muru, ale sam dotarł tam kilka sekund za późno. Mur sięgał do wysokości oczu. Conan chwycił dłonią zwieńczenie muru i podciągnął się prawie bez wysiłku. Chwilę później, stojąc na krawędzi uniknął szerokiego ciosu szabli, a sam przeciągnął swój miecz przez olbrzymi brzuch Shemity.

Mężczyzna ryknął, jak zraniony bawół, otoczył ramionami swojego zabójcę w śmiertelnym uścisku i spadli obaj na zewnętrzną stronę muru. Conan miał tylko czas, żeby dostrzec jar o stromych ścianach zięjący pod nimi. Uderzyli w jego krawędź, stoczyli się, spadli, z wysokości pięciu metrów i uderzyli o skaliste dno jaru. Gdy spadali, Conan tak się obrócił w powietrzu, aby Shemita znalazł się pod nim w chwili upadku, a tłuste, miękkie ciało zamortyzowało uderzenie. Mimo to stracił oddech i w połowie świadomość. Ponad murem przelatywały strzały i odłupywały kawałki zwietrzałych skał po przeciwległej stronie.

## ROZDZIAŁ 6

### MIESZKANIEC WĄWOZÓW

Conan wstał oszołomiony, ręce miał puste, patrząc z hipnotyczną fascynacją na błyszczący trójkąt metalu, który był grotem strzał wycelowanym w niego. Zza łuku spoglądała brodata twarz z żółtożółtym uśmiechem mordercy.

Nad murem, w szeregu, pokazały się głowy w hełmach. Później jakaś dłoń przytrzymała cięciwę. Mężczyzna, który powstrzymał łuczniczkę zaśmiał się i wskazał w dół jaru. Człowiek z łukiem zaważał się, a następnie uśmiechnął niechętnie. Conan popatrzył spode łba na szereg uśmiechniętych, brodatych twarzy spoglądających w dół. Niektórzy śmiali się szyderczo, a inni odpowiadali głośno na pytania zadawane przez kogoś niewidocznego.

Conan stał nieruchomo, niezdolny zrozumieć postawy jego wrogów. Kiedy wstał i stanął naprzeciwko wycelowanego łuku nie oczekiwał niczego tylko świstu strzały, jednak żaden żołnierz nie wystrzelił i na pozór, pozostali także nie mieli takiego zamiaru.

Kolejne oblicze ukazało się ponad murem, pokryta krwią twarz, ozdobiona czarnymi wąsami. Ronn był raczej blady mimo ciemnej skóry i złośliwego wyrazu twarzy.

— Z patelni w ogień, jak wy, przekłęci Cymeryjczycy, mówicie — zaśmiał się zjadliwie.

— No cóż, miałem inne plany co do ciebie! — przyłożył kawałek jedwabiu do rozcięcia na podbródku, ale ta sytuacja również mi odpowiada. Zostawię cię tu, pomedytuj sobie. Nie jesteś już na tyle ważny, by zajmować mój czas, ale z pewnością nie mam zamiaru pozwolić byś wydostał się z pułapki, w którą sam wlałeś, dzięki śmierci, dostaniesz to na co zasłużyłeś. Żegnaj, trupie! Ha! Ha!

I mówiąc coś szorstko do swoich ludzi, zniknął. Głowy wyparowały ze zwieńczenia muru, jak kamfora i Conan został sam, jeśli nie liczyć zwłok leżących u jego stóp.

Cymeryjczyk marszcząc brwi, rozejrzał się dokoła podejrzliwie. Wiedział, że południowy koniec płaskowyżu był pocięty przez sieć jarów i najwidoczniej znajdował się w takim, który dochodził do południowej ściany pałacu. Był to prosty, wycięty jak nożem, wąwóz o szerokości dziesięciu metrów, który biegł od labiryntu jarów wprost ku miastu, kończąc się nagle kamiennym urwiskiem poniżej ogrodu. Urwisko miało około pięciu metrów wysokości i było zbyt gładkie, jak na twór natury.

Trzy metry od końcowej ściany jar pogłębiał się ostro, skaliste podłoże opadało o około półtora metra. On stał na czymś w rodzaju naturalnej półki przy końcu kanału. Boczne ściany wznosiły się prostopadle i ujawniały ślady wygładzania przy pomocy narzędzi. Przez boczne ściany na końcu i przez pięć metrów z każdej strony po bokach, biegła żelazna warstwa z krótkimi, cienkimi i ostrymi jak brzytwa ostrzami, skierowanymi w dół. Nie pocięły go, gdy spadał na dół, ale każdy kto spróbowałby wspiąć się w górę, nawet, gdyby jakimś cudem dotarł do warstwy żelaza, zostałyby pocięte na kawałki, próbując się na nie wdrapać. Warstwa na ścianach, bocznych sięgała dalej niż krawędź półki, a za tym punktem, ściany miały ponad sześć metrów wysokości. Conan znalazł się w więzieniu, częściowo naturalnym, częściowo

zrobionym przez człowieka.

Patrząc wzdłuż jaru zobaczył, że ten dalej rozszerza się i dzieli na gęszcz mniejszych parowów oddzielonych krawędziami litej skały, za i ponad którymi dojrzał wyłaniającą się ponurą masę góry. Dalszy koniec parowu nie został zamknięty w żaden sposób, ale przypuszczał, że jego (przeciwnicy nie po to włożyli tyle trudu w zabezpieczenie jednego końca tego więzienia, żeby umożliwić ucieczkę drugim końcem. Jednak w jego naturze nie leżała rezygnacja i nie miał zamiaru poddać się losowi planowanemu dla niego. Tamci w sposób oczywisty uważali, że schwytali go w bezpieczną pułapkę; ale tak kiedyś uważali i inni.

Wyciągnął miecz z martwego ciała, wytarł krew i poszedł w dół jaru.

Sto metrów dalej wszedł w gardziel mniejszego parowu, wybierając go na chybił trafił, i natychmiast znalazł się w labiryncie, jak z koszmarnego snu. Kanały wydrążone w prawie jednolitej skale, wiły się w sposób trudny do wyobrażenia, przez pokłady kruszącego się kamienia. Większość z nich biegła w przybliżeniu z północy południe, ale głównie mieszały się ze sobą, rozszczepiały i zawracały w pogmatwanym chaosie. Kanały zaczynały się bez powodu i kończyły nigdzie. Ciągłe dochodził do ślepych zakończeń. Jeśli je pokonywał to zagłębiał się w kolejną, równie pogmatwaną, gałąź szalonej sieci.

Ześlizgując się z jakiejś krawędzi zaczął obcasem o coś, co pękło z suchym trzaskiem. Spojrzał w dół i zobaczył, że stanął na wysuszonych żebrach bezgłowego szkieletu. Kilka stóp dalej leżała czaszka zmiażdżona i rozłupana. Zaczął potykać się o podobnie przerażające pozostałości z zatrważającą częstotliwością. Każdy szkielet miał połamane kończyny i porozbijane czaszki. Działanie sił przyrody nie wywołałoby tak niszczycielskich skutków. Szedł bardziej ostrożnie, uważnie wpatrując się w każdy kamienny grzbiet, czy ciemny zakątek! Nie odnalazł jednak żadnych śladów w miejscach pokrytych piaskiem! Śladów, które wskazywałyby na obecność w labiryncie wielkiego drapieżnika. W jednym z takich miejsc natknął się na zamazany ślad, nie był to jednak trop leoparda, niedźwiedzia, czy tygrysa. Przypominał raczej odcisk gołej, zniekształconej ludzkiej stopy. Kości nie były ogryzione, jakby miało to miejsce w przypadku ludożercy. Nie ujawniały pozostałości po zębach; wydawały się być po prostu zmiażdżone i połamane, jakby niewiarygodnie silny mężczyzna pastwił się nad swoimi ofiarami. W końcu doszedł do nierównego występu skalnego, do którego przyłgnęły pasemka grubej szarej sierści, która mogła zostać tam po otarciu się o skałę jakiegoś zwierzęcia. Poczul niewyraźny, wstrętny zapach wiszący w przypominającej jaskinię niszy pod skałą, gdzie bestia — człowiek albo demon — być może zwijała się w kłębek i spała.

Zmęczony i pokonany w wysiłkach podążania prosto poprzez kamienny labirynt, wspiał się na zwietrzały grzbiet, który wyglądał na wyższy od innych, kucnął na jego ostrym stoku i spojrzał na koszarne pustkowia. Jego spojrzenie ograniczone tylko z północy natknęło się na strome urwiska wznoszące się ponad skałami na wschodzie, zachodzie i południu. Doszedł do wniosku, że tworzą one ciągłą ścianę zamykającą płataninę wąwozów, w której się znajdował. Na północy ściana ta rozszczepiała się i tworzyła jar biegnący do zewnętrznych ogrodów pałacu.

Teraz natura labiryntu stała się jasna. Kiedyś ta część płaskowyżu, leżąca pomiędzy terenem obecnego miasta, a górą, zapadła się tworząc wielką, przypominającą czarę, depresję. Żywioty oraz upływ czasu pocięły powierzchnię zapadliska siecią parowów i jarów. Nie było sensu tracić czasu na wędrówki pośród skał. Problem polegał na dotarciu do urwiska otaczającego pokarbowaną nieckę, północy skrajem i sprawdzenia, czy nie da się go gdzieś pokonać. Spoglądając na południe wydało mu się, że biegnie tam w miarę ciągły i prosty kanał dochodzący do stóp góry, której prostopadłe zbocze wisało nad niecką. Zobaczył także, że aby dotrzeć do tego parowu szybciej, powinien wrócić do jaru pod miastem i podążać inną drogą prowadzącą na południe, zamiast gramolić się przez dziesiątki ostrych grzbietów leżących pomiędzy nim, a jarem, który pragnął osiągnąć.

Mając wytyczony cel, zsunął się z grzbietu skalnego i zaczął wycofywać po własnych śladach. Słońce wisało nisko, gdy dotarł z powrotem do zewnętrznego kanału i ruszył ku wąwozowi prowadzącemu na południe. Rzucił leniwie okiem w kierunku urwiska, gdzie rozpoczął swoją wędrówkę i zatrzymał się, jak wryty. Ciało wciąż leżało na półce — ale nie w takiej pozycji, w jakiej je zostawił — nie wydawało się już tak tłuste i było inaczej ubrane. W chwilę później biegł wzdłuż jaru, wskoczył na półkę i pochylił się nad nieruchomą postacią. Shemita, którego zabił, zniknął; człowiekiem, który tu leżał był Slihk!

Na tyle głowy miał wielkiego, pokrytego zakrzepłą krwią guza, ale żył. Gdy Conan uniósł jego głowę, zamrugał oszołomiony powiekami, podniósł rękę i dotknął rany, spojrzał pustym wzrokiem na Conana.

— Co się stało? Czy umarliśmy i jesteśmy w piekle?

— W piekle, być może, ale nie martwi. Czy wiesz, jak się tu dostałeś?

Slikh usiadł w dalszym ciągu oszołomiony, trzymając głowę w dłoniach. Rozejrzył się dokoła ze zdumieniem.

— Gdzie my jesteśmy?

— W parowie za pałacem. Czy pamiętasz, jak cię tu wrzacono?

— Nie. Pamiętam walkę w pałacu; później nic. Gdy czekałem w ciemnościach na ukrytych schodach, przybiegła ta dziewczyna, Laara, i powiedziała, że skonfrontowano cię z człowiekiem, który cię zna. Zaprowadziła mnie do komnaty sąsiadującej z tą, gdzie ty walczyłeś. Użyłem łuku z korzystnym skutkiem, jak pamiętam. Biegłem do drugich drzwi, by dołączyć do ciebie, potem coś się stało, wiem. Nic nie pamiętam.

— Wojownik ukryty za arrasem uderzył cię w głowę — mruk Conan. — Niewątpliwie widział, jak wchodzisz do komnaty, żaki, się za tobą i ukrył w alkwie. Pałac wydaje się pełen tajnych kryjówek. Grzmotnął cię i pociągnął za linę otwierającą klapę w podłodze, a ty wpadłeś w pułapkę. Ja spadłem z ogrodowego muru do tego diabelskiego jaru razem z martwym Shemitą. Najwidoczniej, kiedy badałem parowy niżej, zabrali jego ciało, a ciebie tu wrzucili. — Czekaj, pomyśl! Nie wrzucono cię tu. Połamałbyś sobie kości i prawdopodobnie kark. — Mogli tu zejść po drabinie i wciągnąć ją na górę, ale z pewnością nie robiliby sobie kłopotu z łagodnym znośnięciem ciebie na dół. Jest tylko jedno wytłumaczenie. Zepchnęli cię tu z jakiegoś otworu w ścianie jaru.

Parominutowe uważne poszukiwanie ujawniło przejście, którego istnienie podejrzewał. Cienkie szczeliny, które świadczyły o jego obecności mogły umknąć pobieżnemu spojrzeniu. Z zewnątrz drzwi były zbudowane z tego samego materiału co urwisko i pasowały doskonale. Nie ustąpiły ani odrobę pod potężnym naciskiem obu mężczyzn. Conan uporządkował skrawki swojej wiedzy o architekturze pałacu i oczy zwężyły mu się pod wpływem wniosku, do którego doszedł. Nie powiedział jednak Slikhowi nic. Uważał, że patrzą na drugą stronę tych dziwnie ozdobionych drzwi, przed którymi ostrzegęła go Laara. Drzwi do piekła. Zatem on i Slikh byli w „Piekło”, a potrzaskanej kości, które widział, dawały złowieszcze potwierdzenie legendzie demona pożerającego ludzi, chociaż nie wierzył, aby właściciele kości dosłownie zostali pożarci. Ale coś wrogiego człowiekowi nawiedzało ten labirynt parowów. Zaniechał wszelkich myśli o wyłamaniu drzwi, ponieważ przypomniał sobie ich metalowe obramowanie i potężne rygle. Potrzebowały kompanii ludzi z taranem, by tego dokonać.

Odwrócił się i spojrzał wzdłuż jaru ku tajemniczemu labiryntowi zastanawiając się, jaki nieznany koszmar kryją jego zakamarki. Słońce jeszcze nie zaszło, ale nie było już widoczne z dna jaru, był tu cień, choć widoczność nie zmniejszyła się zbytnio.

— Ściany tu są wysokie — mruknął Slikh pocierając rękoma pulsującą głowę.

— Dalej w głąbi są jeszcze wyższe.

— Gdybyś stanął na moich ramionach i skoczył...

— Odciałybym sobie dłonie o te ostrza.

— Och! — oszołomienie ustępowało z umysłu Slikha. — Nie zauważyłem. Co zatem zrobimy?

— Przejdziemy przez ten labirynt kanałów i zobaczymy co leży za nim. Nie wiesz co się stało z Laarą?

— Biegła przede mną aż do wejścia do komnaty, gdzie strzelałem z łuku. Przypuszczam, że szła za mną, kiedy wpadliśmy do komnaty, ale nie widziałem jej.

— Wojownik, który cię uderzył musiał ją chwycić i wepchnąć do jakiegoś ukrytego pomieszczenia — warknął Conan, żyły nabrzmiały mu nieco na szyi. — Niech ich diabli, będą ją torturować i zabijają, musimy wydostać ją stąd. Chodź.

Mistyczny błękitny półmrok unosił się nad parowami, gdy Slikh i Conan Wkraczali do labiryntu. Posuwając się po wijących się kanałach dotarli do nieco szerszego parowu, który, jak się Conanowi zdawało, prowadził, do południowej ściany niecki. Nie przeszli jednak nawet pięćdziesięciu metrów, gdy rozszczepił się on na dwa wąskie wąwozy. Ten podział nie był widoczny ze zbocza, gdzie Conan obserwował nieckę i teraz nie wiedział, które odgałęzienie wybrać. Zdecydował, że oba odgałęzienia po prostu omijają ostry grzbiet skalny i dalej łączą się ponownie. Kiedy powiedział o swoim przypuszczeniu, Slikh odrzekł: — Jeden może okazać się ślepy. Ty idź prawym, ja pójdę lewym i zbadamy je osobno i nim Conan mógł go powstrzymać, na wpół biegnąc natychmiast zniknął w lewym korytarzu, Conan chciał krzyknąć ca nim, żeby wracał, ale nagle zeszywniał widząc przed sobą, w prawej odnodze wejście do jeszcze węższej szczeliny, wypełnione niebieską poświatą. W szczelinie coś się poruszyło. Conan napiął mięśnie, patrząc z niedowierzaniem na

monstrualną, podobną do człowieka istotę, która stała w półmroku przed nim.

Przypominała ucieleśnionego ducha tego koszmarnego kraju, wampiryczne wcielenie straszliwej legendy z ciałem, kośćmi i krwią.

Stworzenie było gigantyczną małpą, wysoką jak goryl mimo wykrzywionych nóg.

Kosmata sierść pokrywająca ją miała popielatą barwę, była dłuższa i gęściejsza niż u, goryla.

Stopy i ręce miało bardziej ludzkie, o wielkich kciukach i paluchach, tak, jak człowiek, a nie antropoid. Nie było to stworzenie drzewne, ale bestia urodzona na wielkich równinach i jałowych górach. Ogólnie wygląd twarzy przypominał małpę, ale linia nosa była bardziej wyraźna, szczęki mniej dzikie, chociaż nie było podbródka. Jej ludzkie cechy podkreślały jedynie okropieństwo wyglądu, a cała inteligencja wyzierająca z małych czerwonych oczu była tylko złośliwością.

Conan wiedział czym to jest: potworem, którego istnieniu odmawiali wiary, bestią

nazywaną w legendach północy Śnieżną Małpą, Człowiekiem Pustyni, Potworem z Bagien.

Słyszał pogłoski o jego istnieniu wiele razy, szalone opowieści napływające z zaginionych, zimnych i niedostępnych krain, gdzie nigdy nie stanęła stopa cywilizowanego człowieka.

Koczownicze plemiona z pokolenia na pokolenie przekazywały sobie historie o człekokształtnej bestii, przystosowanej do głodu i ostrego mrozu pomocnych wyżyn oraz pustynnych upałów. Ale Conan, nigdy nie spotkał człowieka, który mógłby udowodnić, że widział jedno z tych zwierząt.

Oto jednak stał niezbity dowód. Jak nomadzi służący Shaykhronowi poradzili sobie ze sprowadzeniem monstrum do tego labiryntu nie mógł zgadnąć, ale oto stał demon straszący w parowach pod tajemniczym Shalhizarem.

Wszystkie te myśli przemknęły przez umysł Conana w chwili, kiedy oboje stali naprzeciwko siebie, człowiek i bestia w groźnym napięciu. W chwilę później, przez skaliste ściany jaru, przetoczyło się echo głębokiego, ponurego ryku małpy, która ruszyła z nisko opuszczonymi, kołyszącymi się łapami i z ogromnymi, odsłoniętymi, żółtymi kłami.

Conan nie krzyknął do swojego towarzysza. Slikh był nie uzbrojony. Nie próbował również uciekać. Czekał stojąc pewnie na mocnych nogach, przeciwstawiając zwierzęcej sile wielkiej małpy, długi miecz i swój kunszt.

Ofiary potwora dostawały się w jego ręce pobite i zmaltretowane przez tortury, jakie tylko

człowiek jest zdolny zadać. Półczłowiek miał załątki świadomości, co odróżniało go od prawdziwych bestii, ale odnajdywał przerażającą radość w śmiertelnej agonii swoich ofiar.

Ten człowiek był tylko kolejnym słabym stworzeniem, które należało rozedrzeć, skrócić i rozczłonkować, nawet, jeśli stał prosto i trzymał błyszczącą rzecz w swojej dłoni.

Conan, stojąc na drodze napierającej śmierci, widział jedyną szansę w trzymaniu się z dala

od uścisku olbrzymich łap, które mogły go zmiażdżyć w jednej chwili. Potwór był niekształtny mimo to szybko szedł po skalistym podłożu. Ostatnie kilka stóp przebył w gigantycznym, skoku. Conan nie poruszył się, kiedy monstrum pokazało się, nie drgnął, gdy wielkie łapy zamykały się nad nim, ale następny jego ruch zawstydziłby atakującego rysia.

Pazury postrzępiły mu skórzaną kamizelkę, kiedy odskakiwał. Jednocześnie ze skokiem ciął mieczem. Ohydny ryk przeciął ciszę parowów; małpia łapa upadła na ziemię ucięta przy łokciu. Mimo krwi bluzgającej z kikuta, zwierzę zakreśliło się w kółko i zaatakowało ponownie. Tym razem jego rozpaczliwy skok był zbyt błyskawiczny, aby ludzkie mięśnie całkowicie mogły go uniknąć.

Conan uchylił się przed zabójczym ruchem wielkiej zniekształconej łapy, ale masywne ramię uderzyło go i ogłuszyło. Wraz ze zwierzęciem zatoczył się ku ścianie, zdążył jednak wepchnąć miecz w wielki brzuch i rozpaczliwie szarpnąć w górę. Uważał, że jest to ostatnie pchnięcie w jego życiu.

Grzmotnęli razem o ścianę, a wielka łapa małpy uderzała straszliwie dokoła unieruchomionego ciała Conana; ryk bestii ogłuszał go ponieważ spieniony pysk znajdował się ponad jego głową, potem spazmatycznie zakłapał szczękami i zadrzał potężnie. Straszne konwulsje odrzuciły i uwolniły Cymeryjczyka, który podniósł się i patrzył, jak potwór wije się w śmiertelnych bólach u podnóża skały. Rozpaczliwe cięcie w górę rozcięło zwierzę, wnętrzności wały się w piachu. Porozciągane przez śmiertelne drgawki. Ostrze rozorało mięśnie i kości, odnalazło dzikie serce bestii.

Spięte mięśnie Conana drżały po długo trwającym wysiłku. Jego twarde jak stal ciało opierało się straszliwej sile zwierza i pozwoliło utrzymać mu się przy życiu, przetrwać okropną walkę z bestią, która rozdarłaby słabszego na kawałki. Nieludzki wysiłek wstrząsnął nim. Skopana kamizelka została z niego zdarta, a zrogowaciałe pazury pozostawiły głębokie, krwawe bruzdy na plecach. Był pomazany i poplamiony krwią, swoją i małpy.

— Conan! Conan! — to Slikh wołał szaleńczo, po chwili wypadł z parowu po lewej, ze



skąłą w rękach i wściekłą twarzą.

Oczy mu rozbłyły na widok ohydnej bestii leżącej u stóp skały, potem chwycił Conana rozpaczliwym gestem.

— Czy żyjesz? Jesteś cały we krwi! Gdzie są twoje rany?

— W brzuchu bestii — mruknął Conan uwalniając się z uścisku. Okazywanie uczuć krępowało go. — To jej krew, nie moja.

Slikh westchnął z gwałtowną ulgą, odwrócił się i patrzył szeroko] otwartymi oczami na martwego potwora.

— Ale uderzenie! Tak go rozprułeś, że wylały mu się wnętrzności! Na świecie nie ma chyba dziesięciu mężczyzn zdolnych do takiego cięcia. To jest ten demon, przed którym ostrzegała nas dziewczyna! Bestia, którą Meruwiańczycy zwą Człowiekiem Śniegu.

— Tak. Nigdy nie wierzyłem w opowieści o nich.

— Być może są jeszcze inne — zasugerował Slikh rozglądając się bacznie dokoła w narastającym zmierzchu. — Wkrótce będzie ciemno. Nie byłoby dobrze spotkać drugiego takiego diabła w ciemnych parowach po nastaniu nocy.

— Nie wydaje mi się. Jego ryki słyhać było w całym labiryncie. Gdyby była tu jeszcze jedna bestia, przybiegłaby na pomoc lub przynajmniej odpowiedziała rykiem.

— Gdy słyszałem ryk — powiedział Slikh żarliwie — dźwięk ten zmienił moją krew w lód, ponieważ uwierzyłem, że to demon, o którym tyle ostatnio słyszałem. Nie spodziewałem się zastać cię przy życiu.

Conan splunął, chciało mu się pić.

— Dobrze, ruszajmy. Uwolniliśmy parowy od ducha, ale możemy ciągle umrzeć z głodu i pragnienia, jeśli się nie wydostaniemy. Chodź.

Zmierzch ukrył jary i zawisł ponad górami, gdy ruszyli prawym parowem. Po czterdziestu metrach lewe odgałęzienie połączyło się ze swoim bratem, tak, jak Conan przewidywał. W miarę, jak posuwali się naprzód, zwiększała się liczba jaskiniopodobnych jam w ścianach jaru, z których wydobywał się wstrętny zapach. Conan miał nachmurzoną minę, a Slikh rzucał mocne słowa przy każdym napotkanym szkielecie, którymi jar był po prostu usłany. Stanowiły one prawdopodobnie ulubiony sposób oznaczania swojego terenu przez bestię. Większość ofiar, jak się domyślał, stanowiły kobiety. W Conanie, oglądającym te budzące współczucie resztki, narastała nieugięta i bezlitosna wściekłość. Cała gwałtowność jego natury, zwykle trzymana pod żelazną kontrolą, wzniosła się do poziomu dzikiej czujności. Zdawał sobie sprawę z grozy, jaką tę bezradne kobiety musiały przecierpieć. W swej duszy przypieczętował już los Shalhizaru i rządzących nim fanatyków. W jego naturze nie leżało składanie solennych ślubów, czy przysięganie. Nie wypowiedział swych myśli nawet do Slikha, ale zamiar oczyszczenia tego gniazda sępów nabrał posmaku prywatnej krwawej rozprawy. Jego determinacja skupiła się na myśli nie opuszczania płaskowyżu, aż ujrzy martwe ciała Ronna i Shaykhrona.

Nad ich głowami wyłoniła się góra w postaci warstw olbrzymich urwisk, wznoszących się stromo ponad brzegiem niecki i otaczających zapadnięty labirynt. Jar, którym szli, kończył się szczeliną w ścianie tej niecki. Zmienił się w rodzaj groty, ciągnącej się, jak tunel w głąb góry, w prawdziwą studnię ciemności. W głosie Slikha zabrzmiała prawdziwa rozpacz.

— Conanie, z tego więzienia nie ma ucieczki. Nie mamy rady się wspiąć na brzeg tej góry.

A ta jaskinia...

— Czekaj! — żelazne palce Conan zacisnęły się na ramieniu Slikha. Stali w kompletnej ciemności, w jaskini, kilka stóp od wejścia. Conan dojrzał coś w odległym końcu ciemnego tunelu, coś, co płonęło jak światełko. Iskierka była jednak nieruchoma i stabilna, przecinała ciemność jak światło nieruchomej gwiazdy.

— Chodź! — Uwalniając ramię Slikha, Conan pośpieszył w dół jaskini, ryzykując wpadnięcie do jakiegoś dołu, czy napotkanie w ciemności, ponurego mieszkańca podziemi.

Wiedział, że to co widzi jest gwiazdą świecąca przez szczeliny w górskich masywach.

W miarę posuwania się naprzód, słabe światło zaczynało rozpraszać ciemności i w końcu dotarli do jaskini, kończącej się gołą ścianą; w tej ścianie, jakieś trzy metry od podłoża, widniała dziura, przez którą wpadało światło gwiazdy i kawałek aksamitnego nieba. Bez słowa Slikh schylił się i chwycił się za nogi ponad kolanami wzmacniając swoją postawę.

Conan wspiął się na jego ramiona, Slikh się wyprostował, a Conan chwycił palcami za szorstki brzeg okrągłej szczeliny. Otwór miał od metra do półtora metra wysokości i na tyle szerokości, żeby przecisnął się człowiek. Bestia prawdopodobnie sięgnęłaby tak wysoko, ale nie przepchnęłaby swoich szerokich ramion przez szczelinę! Conan nie wierzył, aby panowie Shalhizaru wiedzieli o tym wejściu.

Przeczołgał się do drugiego końca tunelowej szczeliny i spojrzął za krawędź. Patrzył w dół

na zachodnie zbocze góry. Otwór był szparą w urwisku, opadającym w dół na głębokość około dziewięćdziesięciu metrów, usianym skałami i wystęgami. Nie widział płaskowyżu; szereg pogruchootanych szczytów wznosił się posępnie pomiędzy nim, a punktem obserwacji. Cofnął się czołgając i zeskoczył na ziemię jaskini obok rozpalonego Slikha.

Czy to jest droga ucieczki, Conanie?

— Dla ciebie. Musisz iść spotkać się z Yarali Nakhem i Serotańczykami. Liczę na to, że dotarł do Khroshy i wróci do zewnętrznych wrót Shalhizaru przed świtem. Według mojej oceny, w Shalhizarze jest przynajmniej pięciuset wojowników. Trzysta ludzi Akariona nie zdobędzie miasta w bezpośrednim ataku. Może zaskoczą strażnika w szczelinie, tak jak ja, może nawet zdobędą schody. Ale pieszo nie pokonają płaskowyżu bronionego przez pięciuset wojowników pod komendą Ronna, to byłoby samobójstwo. Musisz ich spotkać nim dotrą do płaskowyżu. Myślę, że możesz to zrobić. Kiedy przecisniesz się przez ten otwór i zejdziesz w dół urwiska, znajdziesz się poza: kręgiem turni, które otaczają Shalhizar. Jedyne drogą przez turnie wiedzie szczeliną, którą przedostaliśmy się na płaskowyż. Serotańczycy przejdą tą szczeliną. Musisz ich zatrzymać w kanionie zwanym przez Ukrytych, Wąwozem Królów. Aby tam dojść, musisz iść skrajem pierścienia turni i obejść ich zachodnie stoki. Trafisz wprost do kanionu. Szlak będzie górzysty, możesz także mieć trudności z zejściem z urwiska — które jest ścianą kanionu — kiedy tam dotrzesz. Masz jednak na to całą noc.

— A ty?

— Myślę nad tym. Jeśli dotrzesz do Wąwozu Królów przed Serotańczykami, ukryj się i czekaj na nich. Jeśli już przejdą przez szczelinę — odczytasz to ze śladów — podążaj za nimi tak szybko, jak potrafisz. W każdym razie dopilnuj, aby Akarion wykonał następujący plan: każ mu wziąć pięćdziesięciu ludzi i dokonać ataku na schody. Jeśli zdołają wspiąć się na rampy i przechwycić posterunek przy okrągłakach, tym lepiej. Jeśli nie, niech wdrapią się na okoliczne turnie i zaczną strzelać do wszystkiego w polu widzenia. Pomysł polega na odwróceniu uwagi ludzi w, mieście, i jeśli to możliwe, ściągnięciu ich wszystkich w pobliże schodów. Jeśli ruszą w dół, do kanionu, niech Akarion i jego pięćdziesiątka wycofa się pomiędzy skały.

— W międzyczasie, ty i Yarali Nakh poprowadzicie resztę Serotańczyków drogą, którą ty dotrzesz do Wąwozu Królów. Wdrapcie się na to zbocze, przejdźcie przez otwór i jar biegnący do metalowych drzwi, przez które wrzucano ofiary, i które prowadzą do lochów pod pałacem.

— Ale co z tobą?

— Moją rolą będzie otwarcie drzwi dla was od środka.

— Ale to szaleństwo. Nie możesz wrócić do miasta; jeśli tak zrobisz obedną cię ze skóry żywcem. Nie dasz rady otworzyć tych drzwi.

— Ktoś inny to robi dla mnie. Bestia nie zjadała rzucanych jej nieszczęśników. Nie była mięsożerna. Musiano ją karmić warzywami, orzechami, korzeniami lub czymś innym. Widziałeś człowieka otwierającego drzwi i wrzucającego coś do kanału. Bez wątpienia była to wiązka jakiegoś pokarmu. Karmili ją przez te drzwi i musieli to robić regularnie. Nie wyglądała na wychudzoną. — Liczę, że drzwi zostaną otwarte dziś w nocy. Gdy tak się stanie, przejdę przez nie. Muszę. Trzymają gdzieś w tym piekielnym pałacu Laarę i tytko Crom wie co jej robią. Teraz musisz się śpieszyć. Kiedy wrócisz do niecki z Serotańczykami, ukryj ich pośród parowów, a sam z trzema, , czterema ludźmi podejdź do drzwi. Stuknij parę razy w nie ręką i mieczem. Te drzwi będą otwarte niezależnie od tego, czy będę żył, czy nie, jeśli będę musiał, wrócę z piekła i je otworzę. W pałacu zrobimy jatkę. Slikh uniósł dłoń w proteście i otworzył usta — potem wzruszył ramionami w milczącej zgodzie.

Conan kucnął, a Slikh wspiął się na jego ramiona i wyprostował się opierając wyciągniętymi rękami o ścianę. Conan chwycił go za kostki i bez pomocy ramion powstał. Wykorzystując tylko mięśnie nóg, podniósł siebie i ciężkiego mężczyznę na swoich ramionach — wyczyn niewykonalny dla większości ludzi, poza bardzo silnymi, takimi, jak Conan. W szczelinie Slikh obrócił się i spojrzał w dół na swojego przyjaciela.

— A co, jeśli nikt nie przyjdzie z jedzeniem dla bestii i drzwi nie zostaną dziś otwarte.

— Wtedy obetnę małpie głowę i przerzucę przez mur. Otworzą drzwi, aby zobaczyć, dlaczego jeszcze żyję. Może wezmą mnie do pałacu na tortury, kiedy dowiedzą się, że zabiłem ich zwierza. A, gdy już będę w środku, to nawet w łańcuchach znajdę sposób, aby ich przechytryć.

— Trzymaj! — Conan rzucił w górę długi miecz. — Możesz tego potrzebować.

— Ale, jeśli będziesz chciał odciąć małpie głowę...

— Zrobię to kawałkiem ostrej skały, albo odgryzę własnymi zębami! Ruszaj, niech cię

diabli!

— Bogowie będą cię chronić — mruknął Slikh i zniknął.

Conan usłyszał szamotaninę towarzyszącą gramoleniu się przez szczelinę, później kamyki zaczęły staczać się po zboczu urwiska.

## ROZDZIAŁ 7

### ŚMIERĆ WKRACZA DO PAŁACU

Conan po omacku wracał przez jaskinię, a gdy wyszedł do względnie jasnego parowu, pobiegł szybko i pewnie. Dotarł do zewnętrznego kanału i ujrzał ścianę, urwisko i skalną półkę na jego końcu. Światła Shalhizaru jarzyły się na niebie ponad ścianą. Usłyszał także dziwną melodię rodzimej, jęczącej cytry. Kobieta śpiewała żalostną piosenkę. Uśmiechnął się ponuro w ciemności, do usianych szkieletami parowów. Więc panowie miasta zabawiali się, nie zważając na jeńców krzyczących, cierpiących i umierających w jamach pod ich pałacami — nieświadomi zniszczenia drzemiącego w doprowadzonych do ostateczności rękach tych więźniów.

Przed drzwiami na skalnej półce nie było jedzenia. Nie wiedział, jak często zwierze jest karmione, i czy będzie karmione tej nocy. Widział, że jeszcze to nie nastąpiło i miał nadzieję, że jedzenie zostanie wyrzucone na zewnątrz wkrótce. Upłynęło już wiele godzin od czasu, kiedy Slikh widział drzwi otwarte.

Rzykował, jak zawsze. Myśl o tym, co mogą w tej chwili robić z Laarą spowodowała, że oblał się potem ze strachu o nią. Zniecierpliwienie doprowadzało go do ostateczności. Przyłgnął do skały obok drzwi i czekał. W młodości nauczył się cierpliwości od dzikich zwierząt, które prześcigają w tym nawet ludzi. Przez godzinę stał prawie się nie ruszając. Wytrzymałości mogłaby mu pozazdrościć marmurowa statua.

Jego spokój zaczął się już wyczerpywać, gdy bez ostrzeżenia zachrobotą łańcuchy i w drzwiach pojawiła się szczelina.

Ktoś bacznie obserwował otoczenie, by upewnić się, że przerażającego strażnika wąwozów nie ma w pobliżu i dopiero wtedy całkowicie otworzyć drzwi. Zadźwięczały jeszcze jakieś rygle i na zewnątrz wyszedł Shemita. Dźwigał żelazną tacę pełną warzyw i orzechów. Pochylając się i stawiając ją na ziemi, wydał dziwaczny okrzyk. Conan uderzył go, jak młotem w tył głowy. Shemita padł bez słowa i znieruchomiał z wykręconą głową i złamanym karkiem.

Uderzenie zaciśniętą pięścią zostało zadane bez ostrzeżenia, litość nie istniała w łajdackim Shalhizarze. Conan zajrzał przez otwarte drzwi i upewnił się, że korytarz oświetlany przez lampy dziwnie jest pusty. Okratowane cele stały puste. Pośpiesznie pociągnął Shemitę w dół kanału i ukrył ciało pomiędzy potrzaskanymi skałami, przywłaszczając sobie sztylet mężczyzny.

Następnie wrócił i wszedł na korytarz. Zatrzasnął drzwi i zawahał się przed zasunięciem rygli. W końcu postanowił zrobić to, ponieważ musiał mieć pewność, że Slikh przejdzie przez te drzwi przed świtem. Otwarte rygle wzbudziłyby podejrzania, a drzwi i tak zostałyby i wtedy zamknięte. Ze sztyletem w dłoni ruszył w kierunku ukrytego przejścia do tunelu i ukrytych schodów. W głowie rysował mu się jasny plan. Miał zamiar odszukać Laarę, jeśli jeszcze żyła, zabrać ją, ze sobą do tunelu i ukryć ją tu do czasu aż Slikh sprowadzi parowem wojowników. Wtedy otworzy drzwi i poprowadzi ich przeciwko ludziom Shalhizaru, a wynik będzie taki, jak zechce Crom i postanowi stać.

Albo, jeśli ukrycie się w tunelu okaże się niewykonalne, zabarykadują się w korytarzu i dotrą do przybycia Serotańczyków. Działał i planował, jakby ich nadejście było pewne. Oczywiście, zawsze istniała szansa, że tak się nie stanie; że Yarali Nakh nie przedostał się do Khroshy. Conan był jednak ryzykantem, a w tej grze postawił swoje życie. Ukryte drzwi znajdowały się w lewej ścianie, blisko końca korytarza, obok innych drzwi, niezamaskowanych. Nim dotarł do swojego celu te właśnie drzwi zostały nagle otwarte i jakiś człowiek wkroczył na korytarz. Irańczyk, gdy zobaczył Conana gwizdnął przez zęby i sięgnął po ciężki łuk, który wisiał mu na ramieniu.

Conan błyskawicznie cofnął rękę ze sztyletem i znieruchomiał przygotowany do rzutu. Irańczyk zamarł, bladość pokryła mu skórę pod ciemną brodą. Nie miał złudzeń co do sytuacji, z którą przyszło mu się zmierzyć. Jego dłoń trzymała drzewce łuku, ale wiedział, że nim zdoła go naciągnąć i strzelić, sztylet pomknie przez powietrze i wbije się w niego, rzucony przez ramię słynne z siły i dokładności. Ostrożnie rozprostował szeroko palce, odłożył łuk i uniósł ramiona w geście poddania. Jednym skokiem Conan dopadł go, wyrwał nóż Irańczyka z pochwy i pchnął lekko ostrzem w brzuch.

— Gdzie jest vendhyańska dziewczyna?

— W lochu za drzwiami, którymi właśnie wszedłem.

— Czy są tam inni strażnicy?

— Nie, na Croma. Ja jestem jedynym.

— W porządku. Odwróć się i idź z powrotem. Nie próbuj żadnych sztuczek.

— Niech Crom broni.

Człowiek pchnął drzwi stopą i ruszył, poruszając się tak ostrożnie jakby stąpał po nagim ostrzu brzytwy. Weszli do kolejnego korytarza, który za ostrym zakrętem ujawnił kolejne szeregi cel po obu swoich stronach. Cele wydawały się puste.

— Ona siedzi w ostatniej celi po prawej — wymamrotał Irańczyk i zajęczał spazmatycznie, kiedy w chwilę później zatrzymali się przed okratowanymi drzwiami. Cella była pusta. Miała drugie drzwi, po przeciwnej stronie, teraz otwarte.

— Okłamałeś mnie — powiedział łagodnie Conan, przyciskając ostrze noża do pleców Irańczyka. — Zabiję cię?

— Bogowie mi świadkami! — wysapał mężczyzna, trzęsąc się ze strachu. — Była tu.

— Zabrali ją — powiedział nieoczekiwany głos.

Conan obrócił się, szarpnął Irańczyka tak, że znalazł się pomiędzy nim, a miejscem, z którego dobiegł głos.

Brodzące twarze wypęniały zakratowaną celę naprzeciwko. Szczupłe dłonie oplatały kraty.

Conan rozpoznał więźniów. Patrzyli w milczeniu z jadowitą nienawiścią płonąca w oczach.

Conan zbliżył się do nich, ciągnąc swojego jeńca.

— Byliście wiernymi wojownikami — stwierdził. — Dlaczego jesteście zamknięci?

Voltar splunął ku niemu.

— Z twojego powodu, psie z Cymerii! Ty zaskoczyłeś nas na schodach, a Shaykhron skazał nas na śmierć, nie wiedząc nawet, że jesteś szpiegiem. Powiedział, że jesteśmy, albo kanalami, albo głupcami, jeśli daliśmy się tak podejść na posterunku. Umrzemy więc od noży oprawców Ammada, niech bogowie przeklną i jego, i ciebie!

— Jednak traficie do Raju — przypomniał im — ponieważ wiernie służyliście Shaykhronowi.

— Niech psy ogryzą kości Shaykhrona — odpowiedzieli jadowicie i z całego serca. —

Niech bogowie zwiążą was w piekle jednym łańcuchem!

Conana zastanowiło, że Shaykhron odszedł daleko od uwielbienia, jakie otrzymywali jego przodkowie, których wyznawcy potrafili popełnić samobójstwo na rozkaz.

Zerwał pęk kluczy z pasa strażnika i zważył go z namysłem w rękę. Stygijczycy skupili wzrok na kluczach, z minami — ludzi, w piekle patrzących na otwarte drzwi.

— Voltarze — powiedział nagle — twoje ręce są splamione wieloma zbrodniami, ale nie ma wśród nich złamania przysięgi. Shaykhron opuścił cię, wyrzucił cię ze służby. Nie jesteście już jego ludźmi. Nie jesteście już winni mu posłuszeństwa.

Oczy Voltara przypominały ślepią wilka.

— Czy mógłbym wysłać go do piekła przede mną? — mruknął. — Umarłbym szczęśliwy. Wszyscy patrzyli intensywnie na Conana wyczuwając propozycję pomiędzy jego słowami.

— Czy przysięgniecie, każdy na honor swojego klanu, podążać za mną i służyć mi póki zemsta nie zostanie dokonana, chyba że śmierć uwolni was od tego ślubu? — zapytał chowając klucze za sobą, aby nie wyglądało, że pyszni się nimi zbyt jawnie, przed bezradnymi mężczyznami. — Shaykhron nie dał wam nic, z wyjątkiem psiej śmierci. Ja proponuję wam sposobność odwetu i okazję do honorowej śmierci.

Oczy Voltara rozświetliły w przypływie nadziei, a jego muskularne dłonie trzęsły się, gdy chwycił za kraty.

— Zaufaj nam! — tylko to powiedział, ale mówiło to wiele.

— Tak, przysięgamy! — krzyknęli mężczyźni za nim. — Wysłuchaj nas, Conanie przysięgamy, każdy z nas na honor swojego klanu!

Nim skończyli, już obracał klucz w zamku; dzicy, okrutni, burzliwi, zdradzieccy według cywilizowanych standardów. Mieli, zawzięci górale, swój kodeks honoru, przypominający kodeks jego własnych, góralskich przodków, którego w ogóle nie rozumiał.

Wybiegli z celi i natychmiast rzucili się na Irańczyka krzycząc: — Zabić go! To jeden z psów Ammada!

Conan wydarł im mężczyznę obchodząc się z napastnikami bezwzględnie; wymierzył najbardziej natarczywemu cios, który rozciągnął go na podłodze, ale nie wywołał szczególnej urazy w jego dzikim sercu.

— Dosyć! Jesteście ludźmi, czy wilkami?

Popchnął kulącego się Irańczyka przed sobą, w głąb korytarza, z powrotem do przejścia

mającego połączenie z jarem. Z tyłu szli Stygijczycy, którzy po przysiędze wierności byli posłuszni i nie zadawali żadnych pytań. Po powrocie do drugiego korytarza, Conan kazał Irańczykowi się rozebrać. Mężczyzna trzęsąc się ze strachu przed torturami i śmiercią zrobił to.

— Zamień się z nim ubraniem — brzmiała następna komenda Conana skierowana do Voltara. Dzik Stygijczyk usłuchał bez słowa. Później pod kierownictwem Conana pozostali związali i zakneblowali Irańczyka, i wepchnęli go do tunelu za ukrytymi drzwiami. Voltar wyprostował się, mając na sobie podłużny hełm, pasiastą szatę, jedwabne, workowate spodnie Irańczyka. Rysy miał wystarczająco irańskie, aby oszukać każdego, kto spodziewa się zobaczyć Irańczyka w tym stroju.

— Daję ci zadanie o wielkiej odpowiedzialności i ufam, że je wypełnisz — powiedział nagłe Conan. — Jest to zadanie dla dzielnego mężczyzny. Za jakiś czas, może o świcie, a może następnego wieczoru, lub nawet o świcie dnia następnego, Jarem Demona nadejdą mężczyźni i zastukają w te zaryglowane drzwi. Będą to Serotańczycy prowadzeni przez Slikha i Yarali Nakha. Twoja rola jest taka: ukryć się w tym tunelu i otworzyć drzwi, kiedy przyjdą. Masz szablę strażnika, gdy przyjdzie inny strażnik, by zastąpić tego, który leży tu związany, zabij go i ukryj ciało. Jeśli jeszcze ktoś przyjdzie przed Slikhem zabij go także. Nie rozpoznają cię aż do momentu, kiedy zaatakujesz.

Z błysku w oczach Stygijczyka, Conan poznał, że nie zawiedzie przynajmniej w tej części intrygi.

— Zabijanie może okazać się zbędne — powiedział łagodnie. — Kiedy następny strażnik przyjdzie, zobaczy, że więźniowie uciekli i w ogóle nie wejdzie do tego korytarza. Jeśli nadejdzie więcej niż jeden człowiek, ukryj się w tunelu. Możliwe jest, że my wrócimy, wcześniej. Zabiorę ze sobą pięciu ludzi na poszukiwanie Laary. Jeśli będzie to możliwe wrócę tu z nią, zaryglujemy drzwi i utrzymamy korytarz aż Slikh przybędzie. Jeśli jednak nie wrócę, ufam, że pozostaniesz tu w ukryciu lub broniąc korytarza i otworzysz drzwi moim wojownikom, gdy nadejdą.

— Serotańczycy zabiją mnie, kiedy otworzę im drzwi!

— Przed ich otwarciem zawołaj Slikha i powiedz: „Conan każe ci przypomnieć sobie wilki z Thangi.” Przez te słowa pozna, że może ci zaufać. Gdzie zabrali dziewczynę?

— Wkrótce, gdy irański pies ruszył na obchód cel, jacyś ludzie otworzyli drzwi w drugim końcu jej lochu. Powiedzieli, że zabierają ją do Shaykhrona na przesłuchanie. Miał z nią rozmawiać w pokoju, w którym po raz pierwszy przyjął cię. Ale sześciu ludzi nie przebije się przez dwudziestu Irańczyków, którzy pilnują wejścia.

— Czy znacie przejście do ogrodów Raju?

— Tak! — ogólne kiwniecie głowami pokazało mu, że tajemnice czarnoksiężnika, z pewnością nie były taką zagadką, jak za czasów jego przodków, kiedy to położenie mistycznych ogrodów, nie było znane nawet dla najbardziej zaufanych wojowników.

— Vice zaprowadźcie mnie tam. Conan odwrócił się. Jego sukces i samo życie, zależało od prostego słowa barbarzyńców, którzy urodzili się i wzrosli w przeświadczeniu, że rzeź, grabież i zdrada są naturalnymi i odpowiednimi atrybutami życia mężczyzny. Nic nie powstrzymało Voltara przed pośpieszeniem do Shaykhrona, gdy Conan się odwrócił. Kupienia sobie życia przez zdradzenie Cymeryczyka, i późniejszego zorganizowania pułapki na Slikha i Serotańczyków, nic, tylko honor prymitywnego człowieka, któremu zaufał inny człowiek honoru.

Conan i Stygijczycy przeszli po omacku przez tunel i weszli na schody. Komnata, w której spał była pusta. Na schodach, tuż przed zamaskowanym ruchomym fragmentem ściany, natknął się na dwa miecze zostawione tam przez Slikha, kiedy ruszył z łukiem w dłoni na pomoc przyjacielowi, zapominając w pośpiechu o stali. Cymeryczyk uzbroił nimi dwóch swoich ludzi. Sztylet Shemity powędrował do trzeciego.

Korytarz przed komnatą także był pusty. Tam poprowadzili go Stygijczycy. Wraz z zapadnięciem zmroku, atmosfera milczenia i tajemnicy w pałacu Shaykhrona wzmogła się. Światła przygasły, cienie snuły się niewyraźnie, żaden podmuch nie poruszał posępnymi arrasami. Buty Conana nie wywoływały większego hałasu na grubych kilimach niż gołe stopy Stygijczyków.

Znali drogę dość dobrze. Podle wyglądająca, stąpająca cicho grupa, z błyszczącymi oczyma przemykała się cicho przez przyćmione korytarze. Przypominali bandę nocnych złodziei. Wybierali przejścia mało uczęszczane o tej porze i nie napotkali nikogo po drodze, do pomysłowo zamaskowanych drzwi. Nagle zbliżyli się do kolejnych, złożonych i okratowanych drzwi, przed którymi stało dwóch gigantycznych, czarnych strażników, trzymających zakrzywione szable. Conan pomyślał, że to jest najślabszy punkt w królestwie

Shaykhrona; wejście do Raju było zbyt dostępne; jego tajemnice nie wywierały dostatecznego wrażenia.

Jednak strażnicy zorientowali się, że nadchodzący ludzie są nieupoważnionymi intruzami. Nie krzyknęli ostrzegawczo, gdy podnosili szable; byli niemi. Conan nie ośmieliłby się zdawać na Stygijczyków, ale jego chęć walki okazała się niepotrzebna. Stygijczycy żądni rozpoczęcia zemsty stłoczyli się przy czarnych, dwóch mężczyzn z mieczami podjęło z nimi walkę, podczas gdy inni chwycili ich gołymi rękoma i powalili na ziemię — zakłuto ich na śmierć. Conan widział na ziemi tylko spocony, przeklinający, napięty i drgający węzeł, wysiłku i agonii. To była praca rzeźnika i jednocześnie ponura konieczność, współczucie dla tych niemych morderców stanowiłoby emocjonalne marnotrawstwo.

— Stań na straży przy drzwiach — rozkazał Conan jednemu ze Stygijczyków, a następnie otworzył drzwi i wszedł do ogrodu, teraz pustego w świetle gwiazd. Kwiaty biało odcinały się w ciemności, gęste drzewa i zarośla wypełniały mroczne tajemnice. Stygijczycy, teraz uzbrojeni również w szable czarnych, rozgrzani i pobudzeni walką, szli za nim śmiało i nawet pyszniąc się, jakby spacerowali przez ogród publiczny, a nie miejsce, które do tej pory uważali, jeśli nie za sam Raj to jego bliski ziemski odpowiednik. Wydawali się właśnie dostrzegać — ich postrzeżenie wyostrzyła przelana krew — że idą za Conanem, którego sława miała już w sobie coś mitycznego w tym kraju krwi i tajemnicy.

Conan skierował się wprost do balkonu, o którym wiedział, że tam jest, mimo sprytnego zamaskowania, gałęziami drzew rosnących poniżej. Trzech Stygijczyków pochyliło się, aby Conan mógł wejść na ich plecy i po chwili odnalazł okno, przez które on i czarnoksiężnik kiedyś patrzyli. Otworzył je czubkiem noża i po chwili przedostał się do środka robiąc nie więcej hałasu niż pantera dokonująca podobnego wejścia.

Zza kotary zakrywającej alkowę z balkonem, docierały dźwięki — szloch kobiety cierpiącej lub przerażonej, a także głos czarnoksiężnika. Zerkając przez szparę w kotarach, ujrzał Shaykhrona rozwalone go na tronie pod wyszywaniem perłami baldachimem. Strażnicy nie stali już, jak hebanowe figury po jego bokach. Mieli zajęcie przed podium, na środku komnaty, ostrzyli sztylety i rozgrzewali żelazo, w małym koszu pełnym ognia. Laara była rozciągnięta pomiędzy nimi, naga, z nadgarstkami i kostkami nóg przywiązanych do żelaznych obręczy przytwierdzonych do podłogi. Poza nimi w pokoju nie było nikogo, spiżowe drzwi zamknięto i zaryglowano.

— Powiedz mi, jak Slikh uciekł z celi — rozkazał czarnoksiężnik.

— Nie! Nie! — wysapała dziewczyna, zbyt przerażona, by zachować milczenie. — Conan mógłby uciepać, gdybym powiedziała!

— Głupia! Conan jest...

— Tutaj! — Conan krzyknął i wyszedł z alkowy. Shaykhron obejrzał się szybko, zbladł, krzyknął piskliwie, spadł z tronu i upadł jak długi na krawędź podium. Oprawcy zesztynieli, warcząc jak bestie, błyskawicznie wyjęli szable. Conan wystrzelił — używając łuku strażnika — do jednego i czarny zakręcił się na pięcie, i padł. Drugi ruszył ku dziewczynie, uniósł szablę mając zamiar zabić ofiarę przed własną śmiercią. Strzała Conana dosięgła go w połowie skoku, przebijając skroń. Osunął się prawie na dziewczynę. Na zewnątrz mężczyźni wrzeszczeli i dobijali się do drzwi.

Shaykhron zerwał się na równe nogi, paplając chaotycznie. Oczy prawie wyszły mu z orbit, gdy patrzył na srogiego, poplamionego krwią Conana z ciężkim łukiem w dłoni.

— Ty jesteś zjawą! — wrzasnął wyciągając rękę, chcąc, jakby odpędzić straszliwe widmo przy pomocy jakiegoś zaklęcia. — Jesteś halucynacją. Nie, nie! Na podłodze jest krew! Zostałeś zabity. Powiedziano mi, że dano cię bestii! Wróciłeś jednak, by mnie zabić! Jesteś diabłem! Szatanem, tak, jak ludzie mówią! Silniejszym ode mnie! Pomocy! Pomocy! Straż! Do mnie! Szatan, Conan powrócił, by mnie zabić i zabrać ze sobą w otchłań!

Wrzeszcząc, jak szalony, czarnoksiężnik zeskokczył z podium i pobiegł do drzwi. Conan poczekał, aż jego palce chwyciły rygiel, wtedy zimno, bezlitośnie przeszła jego ciało strzała. Shaykhron zatoczył się, obrócił twarzą do swojego nieprzyjaciela i przewrócił do tyłu na drzwi. Krzykiem wyrażał swój strach aż zamilkł na zawsze, kiedy następna strzała wybiła mu zęby, przebiła kark i utkwiała w drzwiach.

## ROZDZIAŁ 8 WILKI OSACZONE

Conan patrzył na swoją ofiarę wzrokiem bezlitosnym, jak zimna stal. Za drzwiami narastał krzyk, a w ogrodzie Stygijczycy także głośno dopytywali się, czy jest bezpieczny i krzykliwie żądali pozwolenia na wejście do pałacu. Wrzasnął do nich, aby byli cierpliwi i pośpiesznie

uwolnił dziewczynę. Oddał kawałek jedwabiu z otomany, aby ją nim owinąć. Szlochała histerycznie, otaczając ramionami jego szyję w szaleńczym pomieszaniu przerażenia i przytłaczającej ulgi. — Och, Conanie, wiedziałam, że przyjdiesz! Wiedziałam, że nie pozwolisz na torturowanie mnie! Powiedzieli, że nie żyjesz, ale wiedziałam, że nie mogli cię zabić ...

Niosąc ją na rękach podszedł do balkonu i podał ją na dół Stygijczykom. Krzyknęła ujrzawszy ich dzikie, brodate twarze, ale jedno słowo Conana uspokoiło ją, kiedy zsunął się na ziemię obok niej. — Co teraz wodzu — zapytali wojownicy, palący się do bardziej zacieklej pracy, teraz, gdy walka naprawdę się rozpoczęła. Mnóstwo z tego zapału było wynikiem wzrastającego podziwu dla ich przywódcy. Ludzie podobni do Conana, prowadzili stracone armie, ze śpiewem na ustach, od jednego niemożliwego zwycięstwa do drugiego mimo groźących klęsk.

— Z powrotem do tunelu, gdzie czeka Voltar.

Ruszyli biegiem przez ogród, Conan niósł dziewczynę, jakby była dzieckiem. Nie przebiegli nawet dziesięciu metrów, gdy dźwięk ich kroków zaczął współzawodniczyć z hałasem w pałacu. Pełne wigoru przekleństwa, zmieszały się z odgłosem otwieranych drzwi, które trzasnęły, jak uderzenie pioruna i jakaś postać zaczęła przedzierać się na oślep przez zarośla. Był to Stygijczyk, którego zostawili na straży połączonych drzwi. Przeklinał, jak pirat, a krew ściekała mu z rany na przedramieniu.

— Dwudziestu irańskich psów czeka przy drzwiach! — krzyknął. — Ktoś zobaczył, jak zabijamy czarnych strażników i wezwał Ammada! Pchnąłem jednego w brzuch i zatrzasnąłem drzwi przed ich przekłętymi twarzami, ale przebiją się przez nie w ciągu paru minut!

— Czy jest wyjście z ogrodu, które nie prowadzi przez pałac, Laara? — zapytał Conan.

— Tak! — krzyknęła.

Postawił ją na ziemię, a ona wskazała ręką i popędziła ku pomocnej ścianie, ukrytej prawie całkowicie w masie listowia. Słyszeli, jak połączone drzwi trzeszczą pod gwałtownymi atakami ludzi pustyni. Laara drgała konwulsyjnie przy każdym uderzeniu, jakby odgłosy te wpływały na jej delikatne ciało. Dysząc ze strachu, i podniecenia darła liście, ciągnąc i odsuwając je na bok aż odnalazła chytrze zamaskowane w ścianie wyjście. Conanowi w kołzenie zostały jeszcze dwie strzały. Użył jednej do otworzenia rygla starego zamku. Przedostali się do innego, mniejszego ogrodu, oświetlonego wiszącymi lampami, w chwili, kiedy połączone drzwi ustąpiły i strumień dzikich postaci wymachujących szablami wlał się do Ogrodu Niewolnic. W środku ogrodu, w którym znaleźli się zbiedzy, stała smukła wieża. Conan widział ją już, gdy po raz pierwszy wchodził do pałacu.

— Do wieży! — warknął zatrzasnąwszy za nimi drzwi i blokując je sztyletem, to zatrzyma ich przynajmniej na parę sekund. — Jeśli damy radę tam się dostać...

— Shaykhron często przesiadywał w komnacie na górze, gdy obserwował góry i miasto.

— Nie pozwalał nikomu z wyjątkiem Baghery wchodzić do górnej komnaty, ludzie jednak mówią, „że zmagazynowane tam są wielkie ilości różnorodnej broni. Strażnik śpi w dolnej komnacie...”

Nie mieli jednak czasu na dalsze rozważania. Irańczycy prawie dotarli do drzwi za nimi. Hałasy dochodzące ze wszystkich kierunków mówiły, że za kilka minut atakujący wkroczą do Ogrodu Wieży, jedynym wejściem prowadzącym do niego. Conan biegiem poprowadził swoich ludzi do wieży, z której wypadło pięćiu oszołomionych strażników, szukających przyczyny niezwykłego zamieszania. Zaskowyczelili ze zdumienia, gdy ujrzeli grupkę mężczyzn biegnących ku nim. Ujrzeli odsłonięte zęby, oczy błyszczące w świetle wiszących lamp i połyskujące ostrza. Strażnicy strząsający pajęczynę snu z umysłów, przystąpili do akcji — tylko o sekundę za późno.

Conan zastrzelił jednego w biegu, ostatnią strzałą jaka mu została, ogłuszył drugiego w chwilę po tym, jak strażnik przebił serce jednego ze Stygijczyków. Pozostali Stygijczycy stłoczyli się przy trzech pozostałych strażnikach, sycąc się starożytną plemienną nienawiścią, która wybuchła w cięciach, strumieniach krwi, rąbaniu i pchnięciach, aż pstrokato ubrane figury znieruchomiały w karmazynowej kałuży.

Mściwe wrzaski za ich plecami osiągnęły szczyt i zablokowane sztyletem drzwi rozprysły się do środka. Otwór wypełnił się dzikimi twarzami i ciałami. Ludzie Ammada stłoczyli się tam w szalonej żądzy dopadnięcia zdobyczy. Conan podniósł łuk upuszczony przez Irańczyka i postął z odległości dziesięciu metrów kilka strzał, w tę ciasno upakowaną masę.

Musiła tam być jatka. W jednej chwili wrota wypełniały wściekłe, napięte ciała, a w następnej skrawione, skrecające się, skowyczące postacie. Pozostali przy życiu cofnęli się oślepiali.

Stygijczycy ryknęli z radości i ruszyli biegiem do wieży. Musieli się jednak odwrócić, by

stawić czoła szarzy wściekłych Shemitów, którzy zakradli się niezauważeni do ogrodu przez inne wejście i zaatakowali wieżę nim wrota zostały zamknięte. Przez kilka sekund wejście stało się piekłem wirującej stali i tryskającej krwi. Conan brał w tym udział z wielkim nożem w ręku. Po chwili Shemici wycofali się ogluszeni, zostawiając trzech towarzyszy, leżących we krwi przed drzwiami. Czwarty odczołgał się przy pomocy łokcia, tryskając wkóło krwią z przeciętych tętnic. Nic już nie mogło go uratować. Wykrwawił się na śmierć, głośno przeklinając swych wrogów.

Conan zatrzasnął spiżowe drzwi i przesunął rygiel, który wytrzymałby szarżę słonia.

— W górę! Szybko! Brać broń!

Popędzili po schodach, błyskając oczyma i zębami, wszyscy z wyjątkiem jednego, który upadł w połowie drogi, osłabiony utratą krwi. Conan resztę drogi trochę go ciągnął, trochę niósł, położył go na podłodze i kazał Laarze zabandażować okropne cięcie zadane przez szablę Shemity. Potem obrócił się, by zbadac tocznienie. Znajdowali się w górnej komnacie wieży. Okien nie było, ściany miały za to strzelnice różnych rozmiarów, ustawione pod różnymi kątami. Niektóre biegnące w dół, a wszystkie wyposażone w ruchome żelazne pokrywy. Stygijczycy wesoło pokrzykiwali na widok potężnych mieczy i toporów wiszących wzdłuż ścian, z których zwisały również łuki i pełne strzał kołczany. Czarnoksiężnik przygotował swoje orle gniazdo do obrony i do obserwacji.

Wszyscy byli mniej lub bardziej ranni, mimo to tłoczyli się przy strzelnicach i zaczęli strzelać wesoło w dum, który falował przy drzwiach. Mężczyźni nadbiegali zewsząd, dołączając do oblegających wejście. Ammad nie był widoczny, ale około setki jego Irańczyków wymieszanych z tuzinem innych ras, kłębiło się poniżej. Tłoczyli się w ogrodzie, wrzeszcząc, jak szaleni. Lampy, kołyszące się dziko pod wpływem przypadkowych uderzeń ciał o pnie drzew, oświetlały mnóstwo wykrzywionych twarzy, toczących szaleńczo oczami w górę. Ostrza migotały, jak małe błyskawice w całym ogrodzie, a łuki strzelały na ślepo. Krzewy i zarośla zostały stratowane przez drepczący i wirujący tłum.. Zdobyli gdzieś belkę i użyli jej, jako taran przeciwko drzwom.

Conan był zaskoczony szybkością, z jaką on i jego ludzie byli ścigani i schwytani w pułapkę do chwili, gdy usłyszał głos Ronna wznoszący się, jak cięcie szablą nad wrzawą. Turańczyk musiał dowiedzieć się o śmierci czarnoksiężnika w przeciągu kilku minut po zdarzeniu i podjął natychmiastowe działania. Jego błyskawiczne zrozumienie sytuacji, połączone z przypadkowym zablokowaniem drogi ich ucieczki, zgubiło zbiegów.

Byli w pułapce, ale nie bezradni. Pokrzykując wesoło, Stygijczycy posyłałi strzały przez strzelnice. Nawet ranny, którego krwawienie powstrzymał prymitywny bandaż, doczołgał się do strzelnicy i zaczął strzelać do swoich niedawnych towarzyszy. Z takiej odległości nie można było chybić, świszczące strzały zbierały krwawe żniwo w zbitym tłumie. Nawet tacy fanatycy, jak Ukryci, nie mogli znieść takiej rzezi. Impet natarcia załamał się w różnych miejscach, tłum rozproszył się w poszukiwaniu ukrycia, Stygijczycy krzyknęli z szaleńczą radością i dobijali uciekających.

W ciągu paru chwil ogród był pusty z wyjątkiem martwych i umierających, a gwałtowna burza strzał, nadbiegła świszcząc ze ścian i okien pałacu górującego nad Ogrodem Wieży oraz dachów domów stojących w pobliżu pałacowego muru.

Groty rozpląszczały się na ścianach z miękkim odgłosem, jak ćma uderzająca w oświetlone okno. Wieżę zbudowano z kamienia, a wzmocniono spiżem i żelazem. Strzały z zewnątrz rzadko trafiały w otwarte strzelnice. Conan nie wierzył, aby wieżę można było zdobyć szturmem, tak długo, jak mieli strzały, a było ich w górnej komnacie tysiące. Nie mieli jednak ani jedzenia ani wody. Człowiek z raną cierpiał męki pragnienia, choć stoicyzm jego rasy kazał mu się nie skarżyć i leżał w milczeniu żując rzemień, by pobudzić wydzielanie śliny. Conan ocenił ich położenie, spoglądając w dół przez strzelnicę. Pałac, jak wiedział, stał w otoczeniu ogrodów, z wyjątkiem frontu, gdzie rozciągał się szeroki dziedziniec. Całość otaczał zewnętrzny mur, a wewnątrz niższe murki oddzielały ogrody, w przybliżeniu przypominając szprychy koła, w którym wyższa zewnętrzna ściana grała rolę obręczy. Ogród, w którym zostali uwięzieni leżał na północny zachód od pałacu, w sąsiedztwie dziedzińca. Na zachód rozciągał się kolejny oddzielony murem ogród, który wraz z Ogrodem Wieży otaczał od zewnątrz Ogród Niewolnic. Ogród ten z kolei przylegał do samego pałacu, gdzie ściana dziedzińca łączyła się z murem Ogrodu Niewolnic, tak więc Ogród Wieży był otoczony całkowicie.

Pomocna ściana stanowiła ogrodzenie całości terenów pałacowych, za którą Conan dostrzegł oświetlone dachy miasta. Najbliższy dom stał nie dalej niż trzydzieści metrów. W nim i okolicznych domach, światła zostały wygaszone. Mężczyźni kucali za balustradami i strzelali w złudnej nadziei trafienia czegoś za kamieniem. W pałacowych oknach światła



płonęły, ale dziedzińiec i sąsiadujące ogrody zaciemniono.

Tylko w obleganym ogrodzie wciąż wisiły płonące, lampy. Wydawało to się dziwne i nierealne, oświetlony ogród z wieżą pośrodku, opuszczony z wyjątkiem leżących ciał zabitych, podczas gdy wokół czaił się niewidoczny, ale mściwy tłum.

Strzały lecące ze wszystkich stron, świadczyły o panice wśród przeciwników. Stygijczycy przeklinali jadłowicie, bo nie widzieli żadnych celów dla siebie. Nagle przyszło uspokojenie w ostrzale. Ludzie wewnątrz wieży, podobnie zaprzestali strzałów, bez rozkazu. W napiętej ciszy, która nastąpiła, zza muru dziedzińca rozległ się głos Ronna.

— Jesteś gotowy do poddania się, Conanie?

Conan roześmiał się.

— Chodź i weź nas!

— To właśnie mam zamiar zrobić, o świecie! — zapewnił go Turańczyk. — Nie jesteś teraz lepszy od trupa!

— Tak powiedziałeś zostawiając mnie w Wąwozie Demona — odpowiedział Conan. —

Jednak ja wciąż żyję, a bestia nie!

Powiedział to po irańsku i zewsząd podniósł się krzyk złości i niewiary. Stygijczycy, którzy nie zadali Conanowi jednego pytania, od czasu ucieczki z labiryntu, nawet kiwnęli do siebie głowami, mówiąc do siebie bez słów, że zabicie demona było tym, czego można się spodziewać po Conanie.

— Czy Ukryci wiedzą, że Shaykhron nie żyje, Ronn? — zawołał Conan ironicznie.

— Wiedzą, że Ronn rządzi Shalhizarem, jak zawsze! — brzmiała gniewna odpowiedź. —

Nie wiem, jak zabiłeś potwora, ani jak uwolniłeś te stygijskie psy z celi, ale wiem na pewno, że w godzinę po wschodzie słońca powieszę twoją skórę na tym, murze!

— Stygijskie psy? — zamruczeli górscy wojownicy, pieszcząc mściwie swoje łuki.

Jednak Conan uśmiechnął się na myśl, że gdyby Voltar został schwytany, Ronn nie omieszkałby złośliwie ich o tym poinformować. Conan nie wierzył, by podjęto jakieś szerokie badania lochów. Cała uwaga Ukrytych była skupiona na wieży, nie mieli teraz czasu na przeszukiwanie cel. Conan uznał, że jest całkowicie usprawiedliwiony, wierząc w bezpieczeństwo Voltara w tunelu pod pałacem, czekającego, by wypuścić Slikha i Serotańczyków.

Po pewnym czasie, z drugiej strony dziedzińca zaczęły dochodzić jakieś uderzenia i łoskot.

Z wieży, przyczyna hałasu była niewidoczna i Ronn powiedział mściwie: — Słyszysz to, cymmeryjska świnię? Czy kiedykolwiek słyszałeś nacierający taran? No cóż, to właśnie budują moi ludzie, osłonę na kołach, która obroni przed strzałami pięćdziesięciu mężczyzn. Gdy tylko wejdą pierwsze promienie słońca, popchniemy ją pod wieżę i rozwalimy drzwi. To będzie twój koniec, psie!

— I twój — odpowiedział Conan. — Nie możesz zdobyć tej wieży bez pokazania się choć trochę, a to wszystko czego będzie mi trzeba, ty turański psie!

Odpowiedzią Turańczyka był wrzaskliwy, nieprzekonywujący, szyderczy śmiech pełen furii. Następnie pertraktacje się skończyły i ponownie zaczęto strzelać zza ogrodowych murów, i okolicznych dachów, bez nadziei na trafienie kogokolwiek, ale najwidoczniej z zamiarem zniechęcenia do prób ucieczki z wieży. Conan rozważał taką możliwość, mogli zestrzelić lampy oświetlające ogród i spróbować ucieczki w ciemności, zrezygnował jednak z tego pomysłu. Za każdą otaczającą ogród ścianą roito się od mężczyzn. Taka próba byłaby samobójstwem. Forteca stała się więzieniem.

Conan szczerze przyznał, że znajdował się w przykłej sytuacji, z której nie wydobydzie się własnym wysiłkiem. Jeśli Serotańczycy nie pokażą się zgodnie z planem, on i jego grupa byli skończeni. Pomyślał z bólem o Voltarze czekającym przez wiele dni w korytarzach pod pałacem, aż głód odda go w ręce jego wrogów, albo zmusi do ucieczki parowem. Wtedy przypomniał sobie, że nie powiedział Stygijczykowi, jak dojść do wyjścia w drugim końcu labiryntu.

Uderzenia i łoskoty dochodziły stale z niewidocznego końca dziedzińca. Nawet, jeśli Serotańczycy nadejdą o świecie, może być za późno. Spostrzegł, że Ukryci będą musieli zburzyć większą część ściany, aby wprowadzić do ogrodu maszynę, opisywaną przez Ronna. To jednak nie potrwa długo.

Stygijczycy nie podzielali obaw swojego wodza. Wykonali znakomitą jatkę; ich pozycja była mocna; służyli człowiekowi, równemu królom; mieli dobrą broń i mnóstwo strzał. Czego więcej pragnie górski wojownik? Nie odkładali broni i chętni się każdym oddanym strzałem, do czegokolwiek ruchomego, pozwalając przyszłości zająć się sobą. Tak więc, przez długie godziny trwała dziwna walka, przerywana uderzeniami młotów, dochodzącymi ze słabo oświetlonego pochodniami dziedzińca.

## Howard Robert E - Conan władca miasta

Ranny Stygijczyk zmarł, gdy świt przyćmił światło lamp w ogrodzie poniżej. Conan przykrył zmarłego dywanem i spojrzął ze smutkiem na swoją żalosną bandę. Trzech Stygijczyków klęczało przy strzelnicach wyglądając, jak okrwawione duchy w upiornym szarym świetle. Laara spała na podłodze, kompletnie wyczerpana, trzymając pod głową swoje miękkie, dziecięce, okrągłe ramię.

Uderzenia młotem Ucichły i w ciszy usłyszał skrzypienie masywnych kół. Wiedział, że wóz zbudowany przez Ukrytych w ciągu nocy, jest przetaczany przez dziedziniec, ale nie widział go jeszcze. Rozpoznawał czarne kształty mężczyzn, stłoczonych na dachach domów, stojących blisko zewnętrznego muru. Spojrzął dalej, ponad dachy i grupy drzew, ku pomocnej krawędzi płaskowyżu. Nie spostrzegł żadnych oznak życia, w rozjaśniającym się mroku, pośród okrągłych głazów leżących na krawędzi urwiska. Najwidoczniej straż nie zniechęcona losem Voltara i jego ludzi, opuściła posterunek i dołączyła do walczących w pałacu. Żaden władca nie mógł liczyć na absolutne posłuszeństwo wszystkich swoich ludzi. Jednak, patrząc dalej, Conan dostrzegł grupę około dwunastu mężczyzn, z trudem posuwających się drogą prowadzącą do schodów. Ronn nie pozostawił tego punktu długo bez straży. Conan domyślał się losu ludzi, którzy go opuścili.

Odwrócił się do Stygijczyków patrzących na niego w milczeniu. Wyglądał, jak najdziksz barbarzyńca, który kiedykolwiek stanął na polu walki, nagi do pasa, buty i bryczesy poplamione krwią, brązowa pierś, ramiona podrapane i poplamione.

— Serotańczycy nie nadeszli — powiedział nagle. — Teraz Ronn wyśle przeciwko nam, swoich morderców pod osłoną wielkiej tarczy na kołach. Rozwalą drzwi taranem. Zabijemy niektórych na schodach. Potem „umrzemy.

— Bogowie tego żądają! — odpowiedzieli akceptując i zgadzając się na swój los. — Zabijemy wielu przed śmiercią! Uśmiechnęli się, przypominając głodne wilki o świcie, i dotknęli broni.

Na zewnątrz, z każdego okna i ściany rozległy się okrzyki i strzały uderzyły gęsto w otwory strzelnicze. Ludzie w wieży widzieli teraz maszynę oblężniczą, dudniącą ciężko na dziedzińcu. Była to masywna konstrukcja z belek i żelaza, na kołach, mająca sterczący ze środka zakończony żelazem taran. Co najmniej pięćdziesięciu ludzi mogło schronić się bezpiecznie pod nią i z tyłu.

Pojazd dotoczył się do muru i zatrzymał. Młoty kowalskie zaczęły burzyć ścianę.

Cały ten hałas obudził Laarę, która usiadła trąc oczy i rozglądając się oszołomiona dokoła. Potem krzyknęła, podbiegła do Conana i przytuliła się do niego w poszukiwaniu pocieszenia. Nie mógł ofiarować jej dużej pociechy, mimo ogromu współczucia, jaki dla niej odczuwał. Nic nie mógł zrobić, z wyjątkiem osłonięcia jej własnym, ciałem przed wrogami i zostawienia litościwie dla niej ostatniego ciosu mieczem.

Czując beznadziejność ich położenia, zastygła w jego ramionach, jak dziecko, wtulając twarz w jego szeroką pierś i pojękując słabo. Conan siedział cicho, czekając na ostatnią walkę z cierpliwością dzikich, wśród których spędził tak wiele swego życia i od których tak wiele się nauczył. Spokojny, choć oczy błyszczały mu niezmiennie.

— Mur rozpada się — mruknął rysiooki Stygijczyk kucający przy strzelnicy. — Widzę pył wzniecany uderzeniami młotów. Wkrótce zobaczymy wojowników, wtedy...

— Słuchajcie!

Wszyscy w wieży to usłyszeli, ale tylko Laara zerwała się i krzyknęła, gdy nowy dźwięk przeciął hałas, do którego już się przyzwyczaili. Były to krzyki rozlegające się na północy. Shalhizar nagle zamarł.

## ROZDZIAŁ 9 CZERWONY SAD

Conan skoczył do otworu strzelniczego po pomocnej stronie wieży. Spojrzął ponad dachami Shalhizaru na drogę, dobrze już widoczną w spokojnym, białym świetle. Pół tuzina mężczyzn biegło drogą, posyłając strzały do tyłu. Za nimi inne postacie, poruszały się wśród skał na krawędzi urwiska.

Postacie te, miniaturowe z powodu odległości, ale wyraźnie widoczne w porannym świetle, strzelały z łuków. Strzały wywoływały panikę. Uciekający potykali się i wywracali. Dzikie, głębokie wrzaski, dotarty do uszu słuchających, w nagle uciszonym mieście.

— Akarion! — wykrzyknął Conan. Ponownie zaniedbanie straży schodów pomogło mu. Serotańczycy wspięli się na niestrzeżone schody na czas, aby zmasakrować nadchodzącą właśnie nową zmianę straży. Był jednak zdumiony ilością ludzi rojących się na płaskowyżu. Kiedy strumień mężczyzn urwał się, na drodze do Shalhizaru znajdowało się przynajmniej

## Howard Robert E - Conan władca miasta

trzystu wojowników. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: Slikh nie spotkał ich i nie przekazał planu ataku. Conan mógł sobie wyobrazić scenę, gdy dotarli na miejsce umówionego spotkania i nie zastali tam Conana; wściekłość Yarali Nakha i mściwą furię, która kazała członkom plemienia lekkomyślnie zdobyć schody i podjąć bezpośredni atak na miasto, o którym nie wiedzieli nic, poza tym, że są w nim mordercy ich przyjaciela. Co się stało ze Slikhem, nie mógł nawet zgadnąć.

W Shalhizarze zamarte zdumienie zmieniało się w pośpieszne działanie. Mężczyźni krzyczeli na dachach, biegali po ulicach. Z jednego dachu na drugi wieść o inwazji rozprzestrzeniła się z szybkością wiatru i po kilku minutach ludzie krzyczeli już o tym na pałacowym dziedzińcu. Conan wiedział, że Ronn wejdzie na jakieś dogodne miejsce obserwacji, by obejrzeć to samemu i nie zdziwił go po pewnym czasie głos Turańczyka wydającego ostro rozkazy. Zaprzeszono rozwalania młotami muru. Mężczyźni beładnie uciekali spod ochronnej tarczy.

Po chwili ludzie zaczęli wychodzić z ogrodów, dziedzińca i okolicznych domów, i gromadzić się na rynku. Stygijczycy w wieży strzelali dzielnie do nich i zaliczyli parę trafień, ale zostało to zignorowane. Conan wypatrywał Ronna, ale doszedł do wniosku, że Turańczyk opuścił pałac wyjściem nie widocznym z wieży. W końcu spostrzegł go, daleko, w dolę ulicy, wśród błyszczących, opancerzonych Irańczyków, na których czele migotał pyszny hełm Ammada. Za nim tłoczyły się setki zwykłych, szarych wojowników, dobrze uzbrojonych w dobrym, jak na nomadów, porządku. Widocznie Ronn nauczył ich przynajmniej podstaw cywilizowanych działań wojennych.

Szli mając, jakby zamiar wyjść na równinę i zmierzyć się z nadciągającą hordą w otwartej bitwie, ale przy końcu ulicy, rozproszyli się zajmując ogrody i domy po obu stronach ulicy. Kothyjczycy byli wciąż zbyt daleko, aby widzieć co się dzieje w mieście. Kiedy zbliżyli się na tyle, by spojrzeć wzdłuż ulicy, wydawała się ona pusta i opuszczona. Conan jednak z wysokości wieży widział ogrody na pomocnym krańcu miasta, wypełnione groźnymi postaciami, dachy obciążone ludźmi trzymającymi błyszczące w porannym świetle miecze i topory. Kothyjczycy maszerowali w pułapkę, a on stał tu bezradny. Conan czuł, jakby ktoś trzymał go za gardło.

Jeden ze Stygijczyków podszedł i stanął przy Conanie, zawiązując prymitywny bandaż na zranionym nadgarstku. Mówił przez zęby, ciągnąc nimi jednocześnie gałgan.

— Czy to twoi przyjaciele? To głupcy. Idą wprost w paszczę śmierci.

— Wiem! — na zaciśniętych pięściach Conana bieleły kłykcie.

— Wiem dokładnie co się stanie — powiedział Stygijczyk. — Kiedy byłem strażnikiem pałacowym, słyszałem, jak Baghera tłumaczył oficerom plan obrony w razie ataku wroga na miasto: — Czy widzisz sad na końcu ulicy, po stronie wschodniej? Ukryło się w nim pięćdziesięciu mężczyzn z łukami. Możesz dostrzec poruszenie wśród drzew brzoskwiniowych. Po drugiej stronie drogi jest ogród, zwany Ogrodem Lemurii. Tam czai się następnych pięćdziesięciu łuczniczków. Dom przy nim jest pełen wojowników, podobnie jest w trzech pierwszych domach po przeciwnej stronie ulicy.

— Dlaczego mi to mówisz? — szczechnął Conan, jego spokój zaczynał się wyczerpywać.

— Czy nie widzę tych psów kryjących się za balustradami na dachach?

— Tak! Ludzie w sadzie i ogrodzie nie zaatakują dopóki Kothyjczycy nie miną ich i nie znajdą się dalej pomiędzy domami. Wtedy łucznicy na dachach zaczną ostrzelać z obu stron, a mężczyźni w sadzie i ogrodzie ostrzelają ich tylne flanki. Nikt nie ucieknie.

— Gdybym tylko mógł ich ostrzec! — mruknął Conan.

Stygijczyk machnął ręką w kierunku pałacu i dachu najbliższego domu, z których nawet teraz, od czasu do czasu odzywały się okrzyki.

— Baghera nie zostawił nas bez straży. Przynajmniej dwudziestu ludzi wciąż obserwuje wieżę. Podziurawiliby cię, jak sito, nim dobiegłbyś do połowy ogrodu.

— Na Croma! Czy muszę stać tu bezradny i patrzeć, jak masakrują moich przyjaciół?

Na karku Conana zarysowały się żyły, a jego błękitne oczy nabrały czerwonego zabarwienia. Nagle kucnął, jak pantera szykująca się do skoku, ponieważ na drugim końcu miasta wybuchła wrzawa. Krzyknął dziko, głęboko i radośnie.

— Patrzcie! Kothyjczycy rozpraszają się i ukrywają. Akarion to stary, przebiegły wilk.

Yarali Nakh może popędziłby wprost do miasta, o którym nic nie wie; ale nie Akarion!

Była to prawda. Akarion, podejrzliwy jak ponury, stary wilk, nie ufał pozorowi niewinnie wyglądającej ulicy. Może jego ostrożność wynikała z ciszy, zdziwił go brak odgłosów życia w mieście, które słyszał wchodząc po schodach. Może jego sokole oczy chwyciły błysk wschodzącego słońca, odbitego od ostrza miecza na dachu. W każdym razie jego trzystu wojowników rozciągnęło się w długą linię i zaczęło strzelać zza kamieni i naturalnych

zagłębień pokrywających skalistą równinę.

Pojedyncze strzały nadleciały z dachu najbliższego domu, ale ogród i sad pozostały milczące. Strzały były słabe i nieskuteczne.

— Patrzcie!

Grupa mężczyzn, Ukrytych, mniej więcej setka, wyłoniła się spomiędzy domów, szła hałasując i strzelając wzdłuż drogi. Conan zaklął siarczyście ponieważ domyślił się na czym polega podstęp. Stygińczycy wyglądający mu nad ramieniem, poruszyli głowami potwierdzająco.

— Chcą zmusić Kothyńczyków do zaatakowania. Wkrótce zaczną się chaotycznie wycofywać. Nie ma człowieka, który oparłby się pościgowi za uciekającym wrogiem. Serotańczycy wpadną w pułapkę mimo wszystko.

Najbliższy punkt linii Kothyńczyków znajdował się kilkaset metrów od sadu. Ledwo Ukryci minęli sad, natknęli się na miażdżący ostrzał z całej długości nieregularnej, kothyjskiej tyraliery. Nierówne szeregi zafalowały, gdy około tuzina mężczyzn upadło na ziemię. Pozostali wydali okrzyk pełen grozy i rozpoczęli odwrót. Ciała leżące na równinie, świadczyły o gotowości Ukrytych do zapłacenia wysokiej ceny za ostateczne zwycięstwo. Wilcze wycie Kothyńczyków dotarło nawet do wieży, gdy szeregi Ukrytych załamały się, a wojownicy zaczęli uciekać w kierunku domów. Tak, jak Stygińczyk przewidział, a czego Conan się obawiał, Serotańczycy poderwali się i popędzili za nimi strzelając w biegu i wyjąc, jak oszalone demony.

Zbiegli się ze wszystkich stron na drogę i choć Akarion nie mógł kontrolować ich pędu naprzód, to przynajmniej biciem i przekleństwami wami zbudował z nich bardziej zwarty oddział. Biegący górale nie byli za ostatnimi uciekającymi, dalej niż pięćdziesiąt metrów, kiedy ci drudzy opuszczali przestrzeń pomiędzy ogrodem i sadem pędząc ulicą. Conan zacisnął ręce aż paznokcie przebiły skórę i wywołały krwawienie. Najbardziej wysunięci Kothyńczycy mijali właśnie pierwsze fragmenty ogrodu, jeszcze kilka chwil i znajdą się w pułapce.

Coś jednak poszło źle. Później Conan dowiedział się, że to głowa w zawoju wystawiona, nieostrożnie nad ogrodowy mur, popsuła Ronnowi pułapkę. Akarion, którego oczom nic nie umykało, wyszedł tę głowę i posłał natychmiast w jej kierunku strzałę. Właściciel głowy przed śmiercią wydał straszliwy okrzyk. Na odgłos krzyku, koledzy trafionego, napięci do ostatnich granic, wypuścili strzały mechanicznie i mimowolnie. Mężczyźni w sadzie po drugiej stronie, reagując bezmyślnie, oddali beładną salwę w napierającą hordę. Oczywiście, ludzie na dachach również zaczęli strzelać spontanicznie i bez rozkazów. Kiedy pułapka zależąca od doskonałej precyzji zatrząskuje się przedwcześnie, rezultatem jest zawsze demoralizacja i zamieszanie.

Okolo dwudziestu Kothyńczyków zginęło przy pierwszej salwie, ale Akarion natychmiast zrozumiał na czym polega pułapka i wybrał jedyną możliwą drogę ucieczki. Nieoczekiwany ostrzał był, jak kubeł zimnej wody na głowę jego ludzi, otrzeźwiający ich z zaślepienia żądzą krwi. Nim wpadli w panikę, Akarion wysokim, dzikim wrzaskiem przyciągnął ich przytępioną uwagę i poprowadził ich wprost na mur sadu. Byli przyzwyczajeni od kołyski ślepo iść za nim. Biegli za nim i teraz, pod ostrzałem ze wszystkich stron.

Chmura strzał, która wyleciała zza muru, wprost w ich twarze, pozostawiła na drodze linię poskręcanych ciał, ale nie powstrzymała ataku. Przeskakowali przez mur, jak fala pędzona tajfunem, wpadali pod strzały i stal. Zasyпали pięćdziesięciu kryjących się tam mężczyzn swoją liczbą, strzałami, pchnięciami i uderzeniami, a później sami zza muru odpowiedzieli dzikim ostrzałem w kierunku ogrodu i domów.

Natychmiast bitwa zmieniła swój obraz. Droga była pełna martwych ciał, ale Akarion tracąc około czterdziestu wojowników wyśliznął się z pułapki nim się ona zamknęła. Serotańczycy byli dobrze ukryci za murem i drzewami sadu, do którego, zza drogi padał deszcz strzał, nie wywołujący żadnego efektu. W sadzie znajdowały się fontanny z wodą, na niektórych drzewach wisiły owoce. Nie usunięci bezpośrednim atakiem, mogli tam się trzymać przez wiele dni.

Z drugiej strony, znaleźli się w potrzasku. Nie mogli zdobyć miasta strzelając z ukrycia, a po wyjściu z ukrycia powystrzelano by ich. Nie mogli zaatakować domów i nie mogli wycofać się na równinę ani uciec schodami. Podążono by za nimi i zmasakrowano. Ciągły ostrzał stopniowo zmniejszałby ich liczbę, a bezpośredni atak zmiażdżyłby ich tak, jak oni zmiażdżyli pięćdziesięciu łuczników, przedtem ukrywających się w sadzie.

W międzyczasie Conan myślał wściekle, że jest otoczony w tej przeklętej wieży, podczas gdy mężczyźni przybyli, by go ratować, walczą o własne życie przeciwko przebiegłemu i bezlitosnemu wrogowi. Kroczył po pokoju, jak tygrys, oczy mu płonęły, ręce drżały żądzą chwycenia za łuk lub rękojeść miecza. Laara klęczała blisko ściany.

Strzały uderzające w zewnętrzną ścianę wieży doprowadzały go do szaleństwa. Nie strzelano w nic konkretnego; ostrzegano go po prostu, by trzymał się w ukryciu; miał być otoczony do czasu, aż Ronn wymorduje jego przyjaciół i wróci, by zniszczyć go bez pośpiechu. Czerwona mgła przesłaniała wzrok Conana, widział wszystko w wirze czerwonej krwi.

Z trudem dotarło do niego, że jeden ze Stygijczyków poszedł na dół, do dolnej komnaty. Jednak jego powrotu był w pełni świadom, ponieważ wracał pokonując trzy stopnie na raz, oczy mu płonęły.

— Panie! Chodź i zobacz! Ściągnąłem dywan z podłogi w dolnej komnacie szukając łupu, który często można znaleźć pod podłogą i odkryłem pierścień z brązu przymocowany w szczelinie podłogi. Pociągnąłem za niego i podniosłem klapę zapadni; w dół prowadzą schody!

Conan wydobył się z labiryntu beznadziejnej wściekłości, jak budząca się pantera i popędził w dół schodów za wojownikiem. W chwilę później kucnął przy otwartej klapie z zapaloną pochodnią znaną w górnej komnacie. Stopnie prowadziły w dół około dwóch metrów i zmieniały się w wąski tunel. Conan klęczał zamyślony.

— Tunel prowadzi w kierunku pałacu — powiedział w końcu. — Gdyby Ronn wiedział o nim, przeprowadziłby nim swoich ludzi i zaatakował nas. Saykhron musiał używać go przechodząc potajemnie tam i z powrotem. Naturalnie miał sekrety nawet przed Ronnem. Prawdopodobnie tylko on i czarni niewolnicy znali to przejście, co oznacza, że z żyjących — wiemy o tym tylko my.

— Nie wiemy do jakiego miejsca w pałacu on prowadzi — przypomniał Stygijczyk.

— Nie, ale warto wykorzystać tę szansę. Sprowadź pozostałych. Gdy pojawili się trzej Stygijczycy wraz z dziewczyną, trzymającą wokół siebie prowizoryczną jedwabną odzież, powiedział: — Przypuszczam, że tunel zaprowadzi nas do jakiejś nie wypełnionej Ukrytymi, części pałacu. Nie może tam być wielu ludzi, wszyscy są raczej zgromadzeni w przedniej części budynku, sądząc z odgłosów walki. W każdym razie lepiej podjąć to ryzyko, niż czekać tu na zarżnięcie.

— Jeśli żywi dostaniemy się do pałacu, dotrzemy do Voltara. Nie ma sensu, aby tam czekał, ale prawdopodobnie on o tym nie wie. Jeśli tam dotrzemy wydostaniecie się stąd wraz z dziewczyną parowami.

W paru słowach opisał im, jak dojść do jaskini i otworu w urwisku.

— Nie chcemy cię opuścić, Conanie!

Zmęczenie i rany wywarły skutek na Stygijczykach; ich brodate twarze były wydłużone i wynędzniałe. Mówili jednak szczerze.

— Będziecie słuchać moich rozkazów tak, jak przysięgaliście, podobnie Laara.

Dziewczyna także pokazywała oznaki buntu. — Znacie drogę do Khroshy. Idźcie tam i podajcie to samo hasło, które przekazałem Voltarowi. Nie obawiajcie się iść przez parowy, demon nie żyje i nigdy nie był niczym innym tylko wielką małpą. Jeśli dojdziecie do Khroshy skontaktujcie się z rodziną Laary w Vendhyi. Dobrze wam zapłacą za jej powrót.

— Niech psy zeżrą ich vendhyańskie pieniądze. Twój rozkaz wystarczy. Ale co z tobą?

— Gdy wejdziecie bezpieczni do parowu, mam zamiar wymknąć się z pałacu i spróbować dotrzeć do sadu, gdzie są uwięzieni Kothyjczycy. Przybyli, aby mnie ratować. Nie mogę ich opuścić. To sprawa hann.

Nieświadomie powiedział to po aquilońsku, ale Stygijczycy zrozumieli; oni także mieli swój kodeks honoru.

— Mówię wam to teraz, bo jeśli zginę nim dotrzemy do Voltara, musicie wiedzieć co robić. Ruszajcie do Khroshy. Teraz idziemy.

Weszli do tunelu oświetlając sobie drogę pochodnią. Korytarz był ozdobiony, wymurowany fryzowanym marmurem, sklepiony i wyłożony płytami. Przez kilkanaście metrów biegł prosto. Conan uznał, że są już głęboko pod pałacem. Zastanawiał się, czy przejście nie ma połączenia z lochami, gdy dotarli do wąskich schodków, prowadzących w górę do drzwi z brązu. Uważne nasłuchiwanie nie ujawniło żadnych dźwięków za drzwiami, i Conan ostrożnie je otworzył z bronią gotową do walki. Wkroczyli do pustej komnaty, w której ukrytą drzwi tworzyły dekoracyjną płaszczyznę na ścianie. Gdy Conan pchnął je z powrotem, trzasnęła ukryta zasawa i ten kierunek ucieczki mieli odcięty.

Przekradli się przez komnatę i zerknęli przez kotarę wiszącą w drzwiach na mroczny korytarz. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy w pałacu z wyjątkiem okrzyków dochodzących z — pewnej odległości. To łucznicy strzelali przed budynkiem do wieży. Conan uśmiechnął się słabo, na myśl o zaangażowaniu łuczników, gdy ludzie, których ostrzeliwali w tym momencie, wtargnęli do pałacu i byli za ich plecami. — Czy wiesz dokładnie, gdzie teraz

jesteśmy, Laara?

— Tak, Conanie.

— Więc zaprowadź nas do pokoju, w którym są ukryte schody. Nie chcę przypominać, aby wszyscy zachowywali się cicho.

— Myślę, że nas nie odkryją. Niewolnicy na pewno są w drugim końcu miasta i obserwują walkę. Kobiety, niewolnice kryją się przerażone w górnych komnatach, prawdopodobnie zamknięte przez swych panów — odpowiedziała Laara, prowadząc ich szybko wzdłuż krętego korytarza.

Nie myliła się w swoich przypuszczeniach, ponieważ dotarli do drzwi komnaty, którą Conan zajmował wczoraj, bez napotkania kogokolwiek. Nagle serca skoczyły im do gardeł, gdy usłyszeli przyciszone głosy i delikatne kroki w środku. Było to tak nieoczekiwane jak strzała wypuszczona w zasadzce. Nim mogli się wycofać, drzwi otwarto, a Conan przystawił ostrze miecza do brzucha mężczyzny, który je otworzył.

Przez chwilę obaj stali nieruchomo.

— Conan!

— Slikh!

Stygijczycy za plecami Conana, gapili się dziko na wielkiego Slikha, biorącego z radosną ulgą w ramiona ich wodza. Za Slikhem, Voltar w irańskim przebraniu uśmiechał się, jak górski, rogaty diabeł. Komnatę wypełniało pięćdziesięciu dzikich mężczyzn z toporami i szablami.

— Bałem się, że nie żyjesz — powiedział Conan trochę niepewnie.

— Zasłużyłem na to, bo nie wypełniłem swojej misji — powiedział Slikh skruszony. —

Powinienem być dotrzeć do Wąwozu Królów przed Serotańczykami. U zachodnich podnóży turni otaczających płaskowyż, natknąłem się na stary szlak karawan, który kiedyś biegi przez ten kraj z Ophiru. Skręca on na północ, biegnąc podnóżem góry i wpada do Wąwozu Królów, mniej więcej pięćset metrów na zachód od szczeliny, gdzie zabiłeś Quanga. Po tym, jak wszedłem na drogę, wyprawa stała się łatwa, ale gdy po niej schodziłem pośliznąłem się, upadłem i uderzyłem głową o skałę. Musiałem leżeć bez czucia przez godziny. Kiedy doszedłem do siebie popędziłem dalej. Dotarłem do Wąwozu Królów o świcie. Serotańczycy, którzy prawie zajędzili na śmierć swoje konie, w czasie całonocnego wyścigu z czasem, przeszli już przez szczelinę. Podeszedłem do koni pilnowanych przez paru chłopców.

Powiedzieli, że Yarali Nakh wykorzystał twoją linę, aby dostać się na występ kryjący wejście do szczeliny, wszedł do niej i poderżnął gardło strażnika nim tamten zorientował się, że Kothyczyk jest przy nim. Tak długie utrzymanie w sekrecie tajemnicy Ukrytych spowodowało, że ci głupcy stali się beztroscy. Nawet twoje wejście do miasta nie nauczyło ich rozumu. Nie wpadli na to, że ktoś mógł za tobą podążać.

— No cóż, gdy ruszyłem za Serotańczykami przez szczelinę, usłyszałem odgłosy walki, jak mi się wydawało, z krawędzi urwiska. Wiedziałem, że są już na górze ponieważ okrzyki przesuwwały się w głąb płaskowyżu. Gdy wahałem się nie wiedząc co robić i przeklinając siebie za niepowodzenie w dotarciu na czas, tych pięćdziesięciu ludzi wjechało do wąwozu, goniąc Serotańczyków. Tej Wargazi, którym Akarion pozwolił zbudować wioskę parę kilometrów od Khroshy. Słyszając, że Serotańczycy wyruszyli na wojnę, ruszyli, by pomóc w walce... i podziale łupów. Nie widząc lepszego rozwiązania sprowadziłem ich zgodnie z twoim poleceniem. Konie były zmęczone, ale mimo to uzyskaliśmy niezły czas, ponieważ jechaliśmy starym szlakiem, prawie do samego otworu w urwisku, mieliśmy może pięćset metrów wspinaczki. Teraz czekamy na twoje rozkazy!

— Świetnie! — wykrzyknął Conan. — Na zewnątrz jest dosyć męskiej roboty dla nas wszystkich.

— Co się stało, Conanie? — spytał Slikh z entuzjazmem. Wargazi, którzy podążali za Slikhem, bo wiedzieli, że jest towarzyszem Conana tłoczyli się równie gorliwie wokół. — Słyszeliśmy cały czas odgłosy walki, ale oczywiście niczego nie widzieliśmy. A Stygijczyk, który otworzył nam drzwi, wie nie więcej niż my.

— Serotańczycy bronią się w sadzie na drugim końcu miasta — odpowiedział Conan. — Później opowiem ci o bitwie, teraz trzeba coś szybko zrobić. Odwrócić się do trzech Stygijczyków. — Wy róbcie to, co wam kazałem. Slikh, opowiedz im, gdzie są konie Wargazów. Kiedy im to Slikh wytłumaczył Conan dodał: — Jedźcie do Khroshy i czekajcie na nas. Jeśli bitwa skończy się nie po naszej myśli, powierzam wam los Laary. Chcę, aby dotarła bezpiecznie do domu.

Pokłonili się w milczeniu; dziewczyna przyłgnęła do niego płacząc, nie mieli jednak czasu na kobiece łzy. Na rozkaz Stygijczycy oderwali ją od niego z niezgrabną delikatnością i wynieśli ją; cały czas płaczącą, przez ukryte drzwi.

## Howard Robert E - Conan władca miasta

— Teraz wynosimy się stąd — powiedział Conan. — Włączmy się do bitwy, ale nie pomożemy Akarionowi dając się otoczyć wraz z nim w sadzie. Spróbujemy przejąć ogród po drugiej stronie drogi, znasz rozkład miasta Slikh. Stamtąd możemy zaatakować domy naprzeciwko i zająć pozycję dogodną do odpierania każdego ataku ulicą. Chodźmy! Conan ruszył korytarzem, którym Utang dzień wcześniej prowadził go na konfrontację z Ronnem. Pięćdziesięciu członków płomienia podążało za nim. Ze swoimi dzikimi twarzami i zniszczonym ubraniem wyglądali niestosownie w otoczeniu bogatych arrasów i błyszczących marmurów.

Rozglądali się podejrzliwie, słysząc ochryple krzyki przed pałacem. Kilka chwil później Conan wprowadził ich do przejścia, z którego uciekł wczoraj. Okno ciągle miało kraty pogięte i wyłamane, a balkon rozłupaną kratownicę. Zatrzymał się chwilę na balkonie, tłumacząc swój plan Slikhowi i wojownikom, którzy nadstawiali uszu na każde słowo wypowiedziane przez Conana, jakby były to klejnoty upuszczane przez prawie mitycznego bohatera.

— Widzicie, że ogrody leżą ciąglymi szeregami po zachodniej stronie domów. Są oddzielone tylko niskimi murkami. Drzewa rosną gęsto. Jeśli pójdziemy skrajem, przy zachodniej ścianie, szansa na zobaczenie nas przez kogoś z domów będzie nieznaczną. Wydaje mi się, że możemy przekraść się do Ogrodu Lemurii, bez ujawnienia naszej obecności; wszyscy Ukryci będą patrzeć w przeciwnym kierunku. Nie wiem ilu ludzi znajduje się w Ogrodzie Lemurii, ale atak z zaskoczenia od tyłu powinien wyrównać szansę. Teraz ruszajmy, przez połamaną kratownicę i nad murem. Nikt nie obserwuje tej strony pałacu. Mężczyźni jeden po drugim zeskakiwali z balkonu, pędzili przez ogród i przeskakiwali przez mur. Znaleźli się na nagiej, skalistej równinie rozciągającej się ze wszystkich stron. Ruszyli wzdłuż ściany, dalej popędzili przez przestrzeń dzielącą ich od pierwszego z miejskich ogrodów.

Ciągłe krzyki na końcu ulicy wskazywały, że walka trwała zawzięcie i wściekle. Setki ludzi odzywających się razem wytwarzało ogłuszający hałas i Conan skrzywił się na myśl o burzy świszczących strzał, jaka musi przetaczać się przez sad. Śmierć zbiera pewnie krwawe żniwo wśród broniących się Serotańczyków, mimo że byli mistrzami w korzystaniu z czegokolwiek jako osłony. Ale hałas przynajmniej ukrywał ich kroki. Przy takiej wrzawie na północy miasta, nie jest prawdopodobne, by ktoś patrzył w innym kierunku.

Tak musiało być, bo nie podniesiono alarmu, gdy banda szybko i ukradkiem sunęła zachodnim krańcem ogrodów; trzymając głowy, poniżej krawędzi muru.

Gdy zbliżali się do północnego końca ulicy, możliwość odkrycia wzrastała, ale w tym samym czasie uwaga wrogów była coraz bardziej skupiona na innym kierunku. I choć Conan oraz jego ludzie o tym nie wiedzieli, tajfun wydarzeń osiągał punkt kulminacyjny.

## ROZDZIAŁ 10 KRWAWY KONIEC

Ronn, który kierował bitwą z dachu trzeciego domu po wschodniej stronie ulicy, zdał sobie sprawę, że będzie musiał podjąć bezpośredni atak, by odzyskać sad. Trawiła go niepewność i wątpliwości. Obawiał się wzmocnienia sił kothyjskimi posiłkami. Aby bronić schodów musiałby podzielić swoje siły. Nie opuszczała go myśl, że Conan mimo uwięzienia, może przechytryć ludzi stacjonujących pod wieżą. Turańczyk nie bał się osobiście Conana, ale pocił się na myśl o poleganiu na innej ręce niż jego własna, w utrzymaniu Cymeryjczyka z dala od walki. Bał się, że jeśli bitwa przeciągnie się do zmierzchu, to Kothyjczycy mogą zrobić wypad pod osłoną ciemności i dopaść najbliższego domu, z którego nie można by ich już wyprzeć. Bał się demoralizującego wpływu długotrwałej bitwy na jego ludzi, którym już dawał narkotyki, by rozpalić ich zapał.

Choć czekał raczej na zdziśiatkowanie kothyjskich sił przez ukrytych łuczników, to postanowił zakończyć wojnę w blasku chwały i krwi. Zdobycie sadu przez Kothyjczyków pokazało, że mała siła nie jest zdolna utrzymać stosunkowo niskiego muru, przy zdecydowanym ataku większej liczby przeciwników.

Pozostawiając kilkunastu łuczników na dachach, by zająć czymś ludzi w sadzie, Ronn ściągnął większość swoich ludzi, około czterystu mężczyzn, na teren pomiędzy trzecim i czwartym domem po wschodniej stronie ulicy, poza zasięgiem wzroku obleganych Kothyjczyków. Odkomenderował stu ludzi, by ukryli się w ogrodach po wschodniej stronie miasta i zaatakowali sad w momencie, gdy on poprowadzi trzystu oszalałych pod wpływem narkotyku fanatyków, bezpośrednio ulicą na południowo-zachodni róg sadu.

Ronn wiedział, że aż do ostatnich kilkudziesięciu metrów będą pod osłoną domów. Dalej

będzie już tylko goła przestrzeń, dzieląca ostatni dom od sadu i Ronn zdawał sobie sprawę, że wielu tam zginie. Miał jednak nadzieję, że mimo strzał obrońców, wystarczająca liczba mężczyzn przetrwa, by przeskoczyć przez mur. Martwych wojowników zawsze można zastąpić; ludzkie życie było na Wzgórzach najtańszym towarem. Ronn był gotów poświęcić trzy czwarte swojej armii, jeśli okaże się to potrzebne, by zmiażdżyć najeźdźców.

Atak był sygnalizowany przez ogłuszający tyk z tuzina długich, brązowych trąb, trzymany w rękach Quanagów Ronna. Ten szaleńczy dźwięk uderzył w uszy Conana i jego ludzi w chwili, gdy przeskakiwali przez niestrzeżoną, zachodnią ścianę Ogrodu Lemurii. Unosili właśnie łuki i celowali do dwudziestu bezbronnych Ukrytych kucających przy wschodniej ścianie, strzelających w kierunku sadu po drugiej stronie drogi i nie pamiętających o zabezpieczeniu tyłów. Przerazający, spiżowy dźwięk na chwilę ich oszołomił i sparaliżował. Potem ogłuszający krzyk, prosto z piekła, dołączył do głosu trąb i masa szalonych wywijających bronią ludzi wyłoniła się spomiędzy domów i zalała ulicę, jak spieniony potok.

Mężczyźni na dachach i w ogrodzie zalali mur sadu deszczem strzał i zaczęło się piekło. Była to chwila, kiedy wszystko zależało od szybkiej decyzji. Conan wykorzystał tę okazję, tak, jak Akarion zrobił to wcześniej tego dnia. Jego rozgorączkowni i oszołomieni Wargazi nie usłyszeli rozkazu, który wykrzyczał, ale zrozumieli go, kiedy naciągnął swój łuk i wypuścił strzałę. We wściekłym huraganie, dźwięków, salwa, która ścięła dwudziestu łuczniczków wzdłuż ogrodowego muru, przeminęła niezauważona. Ukryci umarli patrząc w drugim kierunku, nie wiedząc co ich trafiło. Kilka sekund później ich mordercy klęczeli pomiędzy ciałami wyglądając zza krawędzi muru. Mężczyźni na dachach, strzelający ponad głowami ich atakujących towarzyszy, nigdy nie dowiedzieli się co zaszło w Ogrodzie Lemurii.

Wargazi nie dotarli nawet do wschodniego murku, kiedy wrzeszcząca horda minęła ostatni dom i ruszyła na sad. Natknęli się na śmiertelną salwę, cały mur trysnął strzałami, świat kłębił się prawie nierealnie. Cały pierwszy szereg upadł. W jednej chwili droga usłana była trupami. Ronn liczył na pęd, który przeniesie atakujących przez otwartą przestrzeń, ale nawet jego fanatycy stracili odwagę przez ten wyrwijający zęby podmuch. Szeregi zachwiały się i załamały.

W tym momencie setka Ukrytych, która krążyła ogrodami dotarła do sadu od wschodniej strony. Odkryli, że nie ma tu straży, bo Serotańczycy byli zmuszeni skoncentrować swoje siły na południowo-zachodnim rogu chcąc odeprzeć atak. Ronn liczył także na to, ale przeliczył się co do gęstości drzew, przez które setka ludzi miała strzelać. Tak więc, salwa w plecy mężczyzn przy południowo-zachodniej ścianie, choć mordercza, nie była tak pustosząca, jak Ronn miał nadzieję, że będzie.

Pomimo tego, przeredziła ona nieco szeregi Serotańczyków i w tym momencie ich ogień załamał się. Doprowadzeni do szału Ukryci na drodze, podnieśli wrzask, który ogłuszył wszystkich uczestników bitwy i napłynęli nieodpartą falą na ogrodzenie. W tej chwili Conan i Wargazi wypuścili strzały. Cała linia mężczyzn trafionych w plecy upadła, ale nie powstrzymało to ataku w najmniejszym stopniu. Podobni do ryczącej fali wojownicy skoczyli na mur i zwarli się z broniącymi. Łuki wystawione nad murem wystrzeliły prosto w wykrzywione wściekłością twarze. Szable pchnięto w górę i w dół. Mężczyźni spadali z muru na drogę, gramolili się na górę i byli strącani do sadu. Ukryci deptali po swoich zmarłych i umierających, leżących w stertach przy ogrodzeniu, ci z przodu byli miażdżeni przez tych z tyłu. Wdrapywali się na ścianę walcząc, jak w furii, spadali, ale szybko byli zastępowani przez innych.

Wargazi strzelali ciągle, a ich strzały rozpruwały tylne flanki tłumu, zbierając przerażające żniwo. Oszałała horda była, jak człowiek opętany żądzą zabicia nieprzyjaciela przed sobą i nieświadomego, że nóż dźga go w plecy.

Setka ludzi w sadzie, przedzierała się przez drzewa i krzewy chcąc zaatakować Kothyczyków nożami i szablami od tyłu. Wargazi Conana, w końcu wyszli z siebie, przeskoczyli przez mur i rzucik się na tyły wrogów, przed sadem, bijąc i dżgając. Łucznicy na dachach porzucili swoje posterunki i popędzili na drogę, by dodać swoją furję do ogólnego szaleństwa.

W tej właśnie chwili, mur runął pod naciskiem ton ludzkich ciał. Spienione, czerwone fale napierające na ogrodzenie z dwóch stron, zwały się razem i wymieszały w straszliwym zamęciu.

Po tym wydarzeniu prysnęły pozory porządku lub planu, nie było szans na wydawanie i słuchanie rozkazów. Walka stała się ślepa, dysząca, pocącą się rzezią, ręka w rękę, krew bryzgała na kwiaty, silne nogi wdeptywały trawę w ziemię i rwały ją na strzępy. Wymieszana



## Howard Robert E - Conan władca miasta

kompletnie, falująca masa walczących przemieszczała się i wirowała po całym sadzie, zalewała drogę. Wkoło rozlegał się dźwięk zderzających się mieczy, prujących ciało i odzież ostrzy. Nie było już większej różnicy w liczbie rywalizujących hord, ponieważ straty Ukrytych stawały się przerażające. Wynik wisiał na włosku i nikt nie wiedział, jak potoczą się losy bitwy. Każdy był zajęty problemem obronienia własnej skóry i zabicia mężczyzny stojącego obok.

Nawet Conan, którego umysł na ogół funkcjonował kryształowo przejrzysto w krwawych i wściekłych zmaganiach, nie mógł ogarnąć wyraźnego obrazu całej bitwy, będącej najbardziej okrutną z niezliczonego mnóstwa, nie notowanych i nie nazwanych potyczek w tajemniczej historii Wzgórz.

Nie tracił oddechu na próby rozkazywania chaosowi. Strategia i przebiegłość poszły za burtę; bitwa zależała od zwykłej, męskiej siły i indywidualnego okrucieństwa. Otoczony przez skowyczących szaleńców, bez możliwości wydawania słyszalnych rozkazów, bez chwili oddechu, nie pozostawało mu nic, tylko ściąć tyle głów, ile się da i pozwałać bogom przypadku, zadecydować o ostatecznym wyniku.

Conan przypomniał sobie o swoim ostatnim strzale wprost w dziką twarz. Później wyciągnął obusieczny miecz i uderzał, uderzał, uderzał, aż świat stał się dziwny, czerwony i zamglony. Stracił, w tłumie wokół siebie wlaśną indywidualność.

Wiedział — nie uświadamił sobie tego — że Slikh walczy po jego jednej stronie, a Voltar po drugiej; za nimi wszyscy żyjący Wargazi deptali im zawzięcie po piętach, kręcąc ociekającymi szablami.

Wtedy nagle, podobnie jak mgła rozwiewająca się wraz z podmuchem wiatru, bitwa zaczęła się kończyć, splątana masa rozdzieliła się na grupy i pojedynczych wojowników.

Conan zdał sobie sprawę, że jedna ze stron przegrywa, ludzie dawali nogę z jatki.

Wycofywali się Ukryci, szaleństwo wywołane narkotykami zażyтыми na początku ustępowało. Bez narkotyku ich furia była mniejsza niż desperacja ludzi ze Wzgórz, którzy wiedzieli, że muszą zwyciężyć, aby przeżyć. Poza tym Ukryci nie czuli rasowej jedności, tak, jak Kothyjczycy.

Jednak przełom nie nastąpił natychmiast. Brzegi bitwy rozsypywały się, ale w środku sadu toczyła się najbardziej zacięta walka tego dnia. Wszystko wirowało wśród grup drzew, gdzie najdzikszy wojownicy Shalhizaru zajęli pozycję plecami do pni drzew.

Conan poprowadził tam swoich ludzi, wyrabując sobie drogę przez cienkie już linie obrony. Dojrzał błyszczące pancerze pomiędzy dziesiątkami okryć z baraniej skóry. Voltar krzyknął coś i skoczył w kierunku hełmu ozdobionego piórami, które powiewały ponad walczącymi.

Wtedy Conan zobaczył Ronna. Turańczyk rozebrał się do pasa, jego podobne do splątanych powrozów mięśnie drżały i napinały się zgodnie z błyskawiczną grą szabli w jego dłoni. Ciemne oczy błyszczały, a na cienkich wargach błąkał się niewyraźny uśmiech. U jego stóp leżało trzech martwych Serotańczyków, on sam stawił czoło sześciu ostrzom na raz. Po prawej i lewej stronie Irańczycy w pancerzach i przysadziści Quanagowie w lakierowanych skórach uderzali i walczyli pierś w pierś z dzikimi serotańskimi wojownikami. I w taką rzeź Wargazi Conana skoczyli wyjąc jak wilki.

Conan po raz pierwszy zobaczył Yarali Nakha wynurzającego się ponad dum, sycącego swą szaleńczą furię w zdumiewających uderzeniach. Zobaczył również Akariona, wirującego w tłumie, pokrytego krwią. Conan zaczął wyrabować sobie drogę do Ronna.

Ronn zaśmiał się z dzikim płomieniem w ciemnych oczach, gdy zobaczył, że Cymeryjczyk idzie ku niemu. Krew płynęła drobnymi strumyczkami z muskularnej piersi i ciemnych ramion Conana. Ostrze miecza po rękojeść pokrywała krew i resztki mózgu.

— Chodź i umrzyj barbarzyńco — zaśmiał się Ronn, a Cymeryjczyk sprężył się do ataku, kręcąc mieczem nad głową.

— Conanie, weź to! — Slikh wepchnął mu w dłoń znaną gdzieś tarczę.

Conan wyprostował się, potrząsnął głową rozjaśniając swoje myśli i ruszył na Turańczyka w płonącym wirze działania. Ronn skoczył mu na spotkanie. Walczyli po barbarzyńsku, obaj atakując jednocześnie, uderzając deszczem pchnięć zbyt szybkich, aby oko mogło to zarejestrować. Czas, jakby się cofnął o tysiące lat, do pojedynku pomiędzy żołnierzami Kulla, na równinach Valuzji.

Wokół nich, dyszący, pokrwawieni wojownicy zaprzestali własnej, rzeźnickiej pracy, aby obserwować dwóch wojowników rozstrzygających wynik bitwy pomiędzy sobą!

— Aie! — To krzyknęło trzymając gardę, gdy Conan stracił kontakt z ostrzem Turańczyka i pchnął.

Ronn krzyknął, głośno, zakręcił w górę swoją szablą i poczuł ostrze Conana w sercu nim

zdał sobie sprawę, że Cymeryjczyk go przechytrzył. Upadł ciężko, wyszarpując z dłoni Conana miecz, który zaklinował się między zębami. Był martwy przed dotknięciem ziemi. Na ustach miał uśmiech gorzkiej ironii.

Conan pochylił się, by odzyskać swój miecz, gdy spośród drzew nadleciała strzała. Pochylił się jeszcze bardziej, jakby chciał klęknąć przy zmarłym, i upadł nagle w poprzek zwłok. Krew sączyła się mu z głowy. Nie usłyszał już szalonej wrzawy, jaka podniosła się ku błękitnemu niebu, ani nie zobaczył, jak Serotańczycy atakując na oślep, skoczyli do gardeł swoim wrogom.

Pierwszym doznaniem powracającego do świadomości Conana, był brak doznań i odrętwienie, które czyniło go bezradnym. Wydawało mu — się, że leży e delikatnej ciemności. Potem usłyszał głosy, mrużące i chaotyczne z początku, bardziej wyraźne w miarę, jak życie wracało do jego ciała. Jeden należał do Yarali Nakha i zaskoczyło go, że gigant płacze, becząc głośno i bez wstydu.

— Aaa! Aaa! Oooo! Nie żyje! Jego mózg wypływa przez tę dziurę w głowie! Och, mój bracie! O, księżę zabójców! O, księżę złodziei! O, Conan! Martwy, zabity, przez bandę, szmatławych bękartów! On, którego paznokiec u najmniejszego palca jest więcej wart niż wszyscy serotańscy złodzieje koni w Koth!

— On nie jest martwy, niech bogowie dc przeklną! I jak możesz winić Serotańczyków? Moi wojownicy leżą martwi dziesiątkami! — to mówił Akarion.

— Oooo! Niech wszyscy zginą, a ty wraz z nimi, tak, i ty także, byleby Conan mógł przeżyć.

— Och, ucisz te bawole ryki i podaj mi bandaż — powiedział Shkh. — Mówię ci, że jego rana nie jest śmiertelna. Grot tylko musnął czaszkę, pozbawiając go przytomności, niech będzie przeklęty ten tchorzliwy pies, który wystrzelił.

— Rozwaliłem już mu czaszkę — becząc Yarali Nakh. — Ale to nie przywróci życia Conanowi. Masz bandaż. Nie masz serca. Urodziłeś się bez wewnętrznego współczucia. Twój przyjaciel leży tu umierając, a ty nie uronisz nawet jednej łzy! Nie, ty drwisz sobie z mojego nieszczęścia! Na Croma, gdyby to nieszczęście nie odebrało mi odwagi, dałbym ci powód do rozpacz!

Budząc się Conan poczuł w głowie pulsowanie, łagodzone nieco manipulacją silnych, delikatnych i zręcznych palców, które przykładają do rany coś mokrego i zimnego. Ciemność w mózgu rozjaśniła się, otworzył oczy i spojrzał w niespokojne twarze swoich przyjaciół.

— Conan! — krzyknął Slikh radośnie. — Spójrz, otworzył oczy! Yarali, jeśli nie oślepieś od tych idiotycznych łez, to zobacz, że Conan żyje i odzyskał świadomość!

— Cud! — wrzasnął owłosiony zbój i natychmiast przeszedł od płaczu do radości.

Conan podniósł obandażowaną głowę i zacisnął zęby, bo ruch wywołał ponownie bolesne pulsowanie. Leżał w rogu sadu, przy ścianie, pod zwieszającymi się gałęziami brzoskwiniowego drzewa. Zielone liście pięknie kontrastowały na tle błękitnego nieba, a z kwiatów sypał się na niego łagodny deszcz płatków. Powietrze cuchnęło jednak świeżą krwią, która była na trawie i martwym mężczyźnie, leżącym twarzą w dół, dwa metry dalej. Sad wypełniała dziwna cisza po hałasie bitewnym, ale wydawało mu się, że słyszy krzyk mężczyzny, dochodzący z pewnej odległości. Nie był jednak pewny, czy krzyk ten nie dochodzi z jego głowy.

— Co się stało? — wymamrotał. — Czy Ronn nie żyje?

— Jest martwy, tak, jak może być martwy człowiek z przebitym sercem, Conanie — opowiedział Slikh. — Sam diabeł dałby się nabrać na sztuczkę, którą wymyśliłeś na Turańczyka. Sam miałem serce w gardle, gdy wydawało się, że masz zamiar pchnąć, Irańczyk ukrywający się wśród drzew wystrzelił w chwilę później. Ukryci stracili serce do wałki, a nasi Kothycjczycy wpadli w czyste szaleństwo, gdy zobaczyli, że upadłeś. Naparli na nich z furją, której nie można było się przeciwstawić. W końcu te psy poddały się i rozpierzchły we wszystkie strony, ale tylko ci, którzy przeżyli, by uciec. Jeszcze teraz Serotańczycy ganiają za nimi po ulicach. Słuchaj!

Conan spojrzał na Akariona.

— Bałem się, że zostałeś zabity.

Wódz uśmiechnął się krzywo. Brodę miał pełną skrzepów krwi płynącej z cięcia na policzku, siedząc oparty o mur trzymał też sztywno przed sobą nogę.

— Mam grot strzały w udzie. To nic. Baliśmy się, że ty nie żyjesz.

— Ha! — Yarali Nakh wygładził brodę i spojrzał pogardliwie na przyjaciół. — Stare baby! Conanie, powinieneś być słyszeć ich lamenty nad tobą! Czyż nie kazałem wam zaprzestać tych niemęskich szlochów? Czyż nie mówiłem wam, że głowa Conana jest za twarda, by grot

mógł ją przebić? Jak się zachowujecie? Może Conan ma rozkazy!

Conan z trudem podniósł się do pozycji siedzącej i rozejrzał się po sadzie. To co zobaczył, wstrząsnęło nawet jego stalowymi nerwami. Był to ogród trupów. Zmarli leżeli, jak powalone drzewa, które huragan łamie, powala i układa w sterty lub rozrzuca. W krwawym rogu i na drodze, ciała leżały w stosach. Wielu zabitych leżało wzdłuż ruin ogrodzenia.

— Na Croma! — Przez chwilę Conan zaniemówił, jego dusza buntowała się. — Akarionie wyślij kogoś za swoimi wojownikami. Niech Usud pójdzie. Powiedz im, aby zaprzestali rzezi. Już dosyć umarło. Powiedz im, by oszczędzili każdego, kto wpadnie im w ręce i podda się. I jeszcze jedno, w Shalhizarze jest dużo zniewolonych kobiet, których nie wolno skrzywdzić. Mam zamiar odesłać je do domów.

Yarali Nakh szykował się, by wykonać rozkazy, gdy zbliżył się kolejny uczestnik bitwy.

Voltar podszedł do Conana, trzymając złamany miecz. Z trudem mówił, bo cięto go przez twarz i kapiąca krew dławiła go.

— Conanie, mój miecz złamał się przy ostatnim uderzeniu, ale więcej go nie potrzebuję.

Ammad leży tam, wśród trupów swoich opancerzonych psów. Nigdy już nie znieważy Stygijczyka z gór. Czy nie dotrzymałem słowa, Conanie?

— Dotrzymałeś słowa. Ale dlaczego zadajesz mi to pytanie? Nigdy nie myślałem, że mógłbyś nie dotrzymać przysięgi.

Voltar odetchnął głęboko i usiadł ze skrzyżowanymi nogami pod drzewem, kładąc złamany miecz na kolanach. Ponad sadem zaczęły się rozlegać ciche pojękiwania, ranni wołali o wodę. Conan chwycił Slikha za ramię i podniósł się sztywno.

— Akarionie, musimy przenieść rannych pod dach i zrobić dla nich co można. Kobiety pomogą. Dam sobie radę sam, Slikhu, za kilka minut będę mógł przyjść wam z pomocą. Ty i Voltar idźcie do najbliższego kanału i przynieście wody.

Po odesłaniu, ludzi, Conan pomagał sobie trzymając się konarów drzewa; nie ocknął się jeszcze całkowicie z paraliżującego szoku po ranie głowy. Nogi ciągle miał sztywne.

— Siedząc tu i trzymając się za zranioną nogę rozmyślałem, Conanie — powiedział Akarion. — To miasto łatwiej bronić niż Khroszę z Serotańczykami pilnującymi zewnętrznej szczeliny i schodów, nawet piechota króla nie zdobędzie Shalhizaru. Poślę po kobiety i dzieci, i zajmiemy płaskowyż. Zostań z nami, Conanie i rządz przy moim boku! Zbudujemy tu królestwo!

— Czy dotknęło cię szaleństwo, które doprowadziło do wymordowania dzisiaj setek ludzi?

— odpowiedział Conan. — Widzisz do czego doprowadziła ambicja władców Shalhizaru.

Oni też planowali zbudowanie królestwa w tych górach.

— Ale w przeciwnym razie król mnie zniszczy!

— Teraz nie musisz już obawiać się jego gniewu! Każdy, kto uwolnił go od strachu przed Szytylem Węża, może być pewien przebaczenia, niezależnie od jego przeszłych wykroczeń.

Dak za to głowę! Jak myślisz, dlaczego wezwałem cię, by zdobyć to miasto? By pomóc swoim interesom? Znasz mnie przecież. Wiedziałem, że jeśli razem zniszczymy to gniazdo żmij, zdobędziesz łaskę króla.

Akarion westchnął gwałtownie.

— Miecz odsuwa się od mojej szyi dzięki tobie, Conanie. Nie Kocham życia wyjętego spod prawa, ale wpadłem w pajęczynę kłamstw.

— Porwaliśmy tę sieć. Gorzka jednak jest cena. Żałuję, że nie mogło to się stać mniejszym kosztem dzielnych mężczyzn.

— Wszyscy zginęlibyśmy, ja także; gdyby król wyruszył przeciwko nam, jak planował — mruknął Akarion. — Ci, którzy umarli, zginęli upragnioną śmiercią Serotanczyków. A dla żywych zostaną łupy i kobiety zmarłych.

— Nie śpieszmy się z plądrowaniem. Musimy przekazać miasto urzędnikom króla, ale myślę, że przekonam go, by zrobił cię naczelnikiem miasta. Po zastąpieniu tych bandytów i złodziei przez przyzwoitych obywateli z innych części królestwa, miasto stanie się dumą każdego króla. Król będzie chciał mnie nagrodzić za udział w tej wyprawie. Poproś go, aby ciebie postawił na czele tego miasta. Naczelnik Shalhizaru, jak to brzmi Akarionie?

— Twoja hojność zawstydza mnie — powiedział kothyjski wódz, szarpiąc się za brodę z emocji. — Ale co ty zrobisz, Conanie? Zaspokajasz potrzeby wszystkich tylko nie swoje.

— No cóż, w tej chwili dam wody tym biednym diabłom i opatrzę im rany, jak najlepiej potrafię. Widzę Slikha i Voltara niosących wodę, a moje nogi znowu żyją.

— Moi ludzie wracają do sadu. Pozwól im to zrobić. Jesteś zmęczony i ranny; walczyłeś cały dzień i całą ostatnią noc!

— Dam sobie radę. Nic mi nie jest. Kilka godzin snu dzisiejszej nocy postawi mnie na nogi. O świcie muszę być w drodze.

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Dokąd, w imię Croma? — wykrzyknął Akarion.  
— Najpierw do Khroshy, by zabrać Laarę. Później do Khorshemish, by opowiedzieć królowi co się zdarzyło i zdobyć dla ciebie łaskę i stanowisko Naczelnika Shalhizaru.  
— Wrócisz wtedy do Shalhizaru?  
— Przyślę Slikha wraz z eskortą króla. Mam interes w Vendhyi.  
— Na Croma! Czy kiedykolwiek odpoczywasz? Jesteś, jak jastrząb wędrujący z wiatrem. Co będziesz tam robił?  
— Muszę zawieźć Laarę do ojca i wyrównać rachunki w Ghori z pewną tłustą świnia o nazwisku Unqvis. Trzy lata temu zabił mojego przyjaciela. Nigdy nie mogłem tego udowodnić, a inny przyjaciel, urzędnik, wyblagał abym nie brał prawa we własne ręce. Czekalem trzy lata, żeby temu psu powinęła się noga. Teraz tak się stało i mogę to udowodnić. Postawił się poza prawem, a ja mam zamiar wyrównać ten stary rachunek.  
— O bogowie! — zdziwił się Akarion. — A mówią, że to my rodzimy się nieugięci!  
Ciagle potrzasał głową zdumiony, gdy Conan utykając podszedł do Slikha i Voltara, i wyciągnął rękę po dzban pełen wody.

BOHATEROWIE Z BEAR CREEK

Robert E. Howard

(fragmenty)

ELKINS NIGDY SIĘ NIE PODAJE

Tato kłął tak głośno, że słyszałem go już od Sandy Crossing, gdy wracałem do chaty z Chawed Bar. Leżał na niedźwiedziej skórze, pośrodku podłogi, z dzbankiem wódki koło łokcia i listem w dłoni, który moja siostra Quachita musiała mu już przeczytać. Rzucił okiem na list, pociągnął łyk wódki, a potem kłął straszliwie.

— I właśnie tera ta wojna — powiedział zawzięcie. — Nie mogli se poczekać, aż ranie wykończy ten rematyz. Nie oni! Te moje krewniaki że swoim samolubstwem to istna zaraza. Biećcafidge, leć na ranczo do wuja Joela, ale już.

— Znaczy się, do wuja Joela Garfielda z Arizony? — spytałem.

— A do kogo, ty durnia? — ryknął tato. — Garfieldy majom kłopoty, i chociaż nie proszom o pomoc, to ja nie bende sie przygotondać, jak ktoś gnembi moje rodzinę. Wuj Joel zawsze był zbyt cholernie spokojny, gdy chodziło o jego dobro. Pojedziesz do ty Arizony i weźmiesz wszystko w swoje rence. I nie słuchaj żadnego głendzenia o układach czy kompromisach. Wojna z Elkinsami, to wojna na śmierć i życie! Ruszaj! — rzekł tato i podniósł dzbanek.

Zostawiłem Kapitana Kidda w zagrodzie, którą postawiłem specjalnie dla niego, nic innego by go nie otrzymało, a potem poszedłem do Perdition, żeby złapać dylizans.

Przystanek był przerobiony na saloon i zaraz paru chłopaków zaczęło się ze mną zakładać, że nie obalę litra wódki, bez przerwy na oddech i bez odrywania ust od butelki. Za każdym razem, gdy obalałem litra, wygrywałem dolca, a przegrany płacił za whisky.

Miałem już pełno kasy w kieszeni, gdy ktoś wrzasnął: „Dylizans zara rusza!”. Wlazłem do środka wśród krzyków i strzelaniny. Woźnica trzasnął batem i już jechałem do Arizony bronić rodzinnego honoru.

Nie wiedzieć czemu, byłem dziwnie śpiący, może dlatego, że to jeżdżenie dylizansami mi jakoś nie podchodzi i dość kiepsko pamiętam podróż. Zatrzymaliśmy się parę razy, żeby zmienić konie, a raz jacyś ludzie gadali. Słyszałem, jak jeden rzekł: „O Boże, to ma być człowiek? Jak tak, to jest to największy facio jakiego widziałem”.

Było już późne popołudnie, gdy się przecknąłem na dobre, kraj, przez który jechaliśmy był mi zupełnie nieznanym. W życiu wcześniej nie byłem w Arizonie. Woźnica wetknął głowę przez okno i spytał:

— Gdzie pan jedziesz?

— Do Arizony — mówię, a on na to: — Jesteśmy w Arizonie już od wschodu słońca.

Gdzie pan chcesz w tej Arizonie?

No i myślałem, i myślałem, i nie mogłem sobie przypomnieć, więc w końcu mu mówię:

— A jakie tu macie miasta?

— Na jakiś czas temu, minęliśmy Rifle River — odparł.

— No dobra — mówię — chcę wysiąść w mieście, gdzie mieszkają Garfieldy. Powinieneś pan wiedzieć, gdzie to jest. Ich tam jest duża rodzina.

— Aha — on na to — to będzie następne miasto, Sawtooth. Mieszkają na ranczo, jakąś milę za miastem.

— A co to za jedni ci, co to ich napastują? — spytałem.

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Clantonowie. Stary Clanton pozwał do sądu starego Garfielda o jakąś ziemię, wygrał sprawę i zagarnął kupę forsy.

— Sędzia był lewy — rzuciłem szybko.

— No, ja tam nie wiem... — zaczął tamten.

Z tego co mówił, od razu się połapałem, że wszyscy tu są przeciwko Garfieldom i na samą myśl o tym aż się we mnie zagotowało.

— Mówię, że sędzia był lewy! — Ryknąłem i przesunąłem się trochę do przodu.

Woźnica zbladł i powiedział.

— T—tak, taki Masz pan rację. Tak, po prostu gadałem bez zastanowienia.

Wkrótce wjechaliśmy do Sawtooth i woźnica pokazując batem rzekł z dumą:

— To tam, to jest nowy sąd.

— A co to za żelazna rura na kołach obok niego? — pytam, a on na to:

— To działo, co to ludziska pożyczili z Fortu Polk, w razie, jakby Apacze napadli na miasto.

Właśnie, gdy podjeżdżaliśmy do przystanku, wskazał jakiegoś starszego gościa z bokobrodami, opartego o belkę do wiązania koni. — To stary Garfield, zawsze wychodzi na dylizans.

Nie wyglądał tak staro, jak się spodziewałem, i nie był tak wielki jak tato. Nigdy się nie widzieliśmy, ale podszedłem do niego i uściśnąłem mu dłoń. Był zaskoczony i wydał parę dziwnych mruknięć.— Jestem Breckinridge Elkins, wasz bratanek, wujku Joel — objaśniłem go, a ludziska na całej ulicy przystanęli, żeby popatrzeć, jako że mam donośny głos. — Przyjechałem, żeby dopilnować sprawiedliwości.

— Cie.... cieszę się, że cię widzę, Breckinridge — powiedział trochę drżącym głosem. Od razu się skapowałem, że tato miał rację. Wuj Joel nie był taki, jak my z Bear Creek.

— Nie ma strachu, wujku Joel — rzekłem klepiąc go po plecach — biorę sprawy w swoje ręce.

— Bierzesz sprawy? — zagulgotał prostując się.

— No pewnie, powiedzcie no, wujku — powiedziałem przechodząc do rzeczy, bo my, Ehrinsowie, nie lubimy zwlekać. — Gdzie są ci cholerni Clantonowie?

— Gdzie? — rzekł wskazując jakiegoś faceta, siedzącego na brzegu koryta,, po drugiej stronie ulicy. — Tam jest jeden.

No więc, z natury jestem spokojny i łagodny, jak mało kto, i niełatwo mnie wkurzyć. Ale waśń rodowa to co innego, i jak tato mówi, jest to powód do wojny na śmierć i życie. Mimo to, trzymam nerwy na wodzy i idę do tego faceta, co tam siedzi.

Widział jak nadchodzę i podniósł się szybko.

— Ty jesteś Clanton? — pytam.

— Ta — odparł wojowniczo — a bo co?

— Jestem Breckinridge Elkins i przyjechałem tu, żeby bronić swojej rodziny — zacząłem w całkiem cywilizowany sposób, pomimo krzywdy wyrządzonej moim.

— A ja jestem John Clanton i nigdy o tobie nie słyszałem — powiedział zdenerwowany. Bez dalszej dyskusji walnął mnie w ucho i kopnął w kolano, ale nie dałem się ponieść i rąbałem go tylko raz w szczękę, tak, że przeleciał przez koryto i wylądował w rynsztoku z nogami na belce do wiązania koni.

Wuj Joel krzyknął, a ja obróciłem się i zobaczyłem, jak nadbiega jakiś facet.

— Jestem szeryfem — wrzasnął, błyskając gwiazdą — i aresztuję cię za zakłócenie spokoju!

Już miałem się poddać, bo tato zawsze mi mówił, żeby do władzy z szacunkiem, ale przypomniałem sobie, że tu chodzi o honor rodziny i szeryf trzyma z Clantonami. Zabrałem mu więc broń, żeby sobie nie zrobił krzywdy i wepchnąłem ścierwo do koryta.

— Jako, że jesteś — sługusem Clantonów — orzekłem — zrobię z tobą to, co z każdym nędznym kojotem.

Ostatnie słowa były rykiem, od którego zadrżały wszystkie okna na ulicy, bo zaczynało mnie już nosić. Aby podkreślić swoje słowa, wyciągnąłem rewolwery, i strzeliłem w parę tablic i okien. Wszyscy wiali, oprócz wuja Joela, który schował się za korytem.

Pomyślałem, że nie znają mnie tutaj, więc ogłosiłem na całe gardło:

— Jestem Breckinridge Elkins z Bear Creek w Nevadzie i biorę w swoje ręce sprawy klanu Garfieldów. Nikt nie odpowiedział, więc rzekłem: — Wyłażcie, hultaje i przedstawcie się! Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. — Gdzie zastępca szeryfa?

Dalej nikt nie odpowiadał, więc wpadłem do saloonu i zobaczyłem za barem faceta, który próbował schować odznakę. Sięgnąłem przez kontuar, porwałem go za frak i rzuciłem na

podłogę.

— To tak?! — ryknąłem mu prosto w ucho. — Chcesz zniszczyć dowód i zrobić ze mnie idiotę? Oskalpuję cię, ty... Ale facet zemdłał, więc wnerwiony rzuciłem go w kąt i wyszedłem. Wszyscy ciekawscy wyglądający zza rogów zniknęli...

Wuj Joel właśnie wsiadał na wóz, więc podbiegłem i wskoczyłem na miejsce koło niego, aż bryka się gibnęła, konie zarżały i ruszyliśmy.

— Gdzie mieszkacie, wujku? — krzyknąłem.

— O, tam — powiedział oblizując wargi i pokazał ponad pastwiskami i polami lucerny na dach odległego o kilometr domu.

— Eee... wlecemy się jak te ślimaki — powiedziałem. — Dajcie mi te lejce, wujku.

Porwałem za lejce i wrzasnąłem, aż koniska podskoczyły, a potem poszły jak burza.

Nie wyglądało na to, że wujkowi Joelowi podoba się ta jazda. Trzymał się kurczowo siedzenia i krzyczał za każdym razem, jak przelatywaliśmy przez zakręt na jednym kole, a ludziska odskakiwali w pole i też krzyczeli.

— Co jest, kurna, grane? — spytałem i zestrzeliłem kilku facetom kapelusze, żeby poprawić humor wujkowi, ale jemu się to nie podobało.

Gdy zbliżyliśmy się do rancza, nie miałem zamiaru się zatrzymać i otwierać brame, bo i tak gnaliśmy na tyle szybko, żeby ją rozwalić. Tak też się stało, ale jakiś kawałek trafił wuja Joela w głowę, a ten wrzasnął coś okropnego. Jak już wpadliśmy na podwórze, stało się jasne, że te bestie poniosły, więc ściągnąłem je mocno, ale jedno koło odpadło od wozu.

Zatrzymałbym je tak, czy siak, ale uprząż trzasnęła, koniska poleciały i zatrzymały się dopiero, gdy lejce zaczepiły się na drzewie. Z domu wybiegła jakaś starsza kobita, cztery panienki i trzech chłopaków i ta stara mówi:

— Rany boskie, co się dzieje?

Potem wszyscy zaczęli się drzeć, bo wuj Joeł leżał sztywny, a ta paniusia zaczęła wrzeszczeć:

— Zabity! Dawać wody! Dawać wody!

Nie wiem na ile zdałaby mu się ta woda, jakby był rzeczywiście zabity, ale zobaczyłem pełne koryto na jakieś sto — sto czterdzieści litrów. Wziąłem je i przyniosłem, a oni wszyscy patrzyli, jakby nigdy nie widzieli kogoś noszącego koryto. Wylałem je na wuja Joela, a on usiadł trzęsąc się, parsknął i rzekł:

— Co, do cholery, chcesz mnie utopić?

— Ojciec, co to za jeden? — spytała niepewnie ta starsza facetka, a młodziaki patrzyli na mnie, jakby ktoś tak duży jak ja był czymś niezwykłym.

— Mówi, że jest moim bratankiem — powiedział wuj Jod, wycierając twarz drżącą ręką

— i przyjechał tu pomóc nam z tymi Clantonami.

— Myślałam, że sprawa już jest załatwiona — powiedziała ta kobieta. — Wygrali proces i...

— Sprawa nigdy nie jest załatwiona, póki Elkinsowie i ich krewni nie wygrają — powiedziałem zapalczywie. — Wojna się dopiero zaczęła. Jak się nazywają te młodziaki? Byłem nimi rozczarowany tak samo, jak wujem Joelem. Ta gałąź rodziny nie była tak rosta jak my z Bear Creek. Te chłopaki byli już mężczyznami, ale mieli nie wiele więcej niż metr osiemdziesiąt.

— To Bill, Jim i Joe — powiedział wuj, wskazując ich po kolei. — A dziewczyny...

— Dziewczyny nie ważne — powiedziałem. — Wszystkie kobiety trzeba zabrać w bezpieczne miejsce. Joe, weź odczep te mustangi i wypuść je na pastwisko. Bill, zaprzęż do tego wozu jakieś spokojne konie i zawieź mamę, i siostry do Sawtooth. Będą tam siedzieć, aż się wojna nie skończy.

Starsza facetka popatrzyła oszołomiona na wuja Joela, a ten tylko skinął bezsilnie głową i rzekł:

— Lepiej róbcie, jak mówi. Wygląda na to, że wziął sprawy w swoje ręce, a ja za cholere nie mam zamiaru się z nim kłócić.

— Jim — mówię — siadaj na konia, przyczep jakąś białą szmatę do wyciora i jedź powiedzieć tym Clantonom, żeby odesłali swoje kobiety do Sawtooth. Nie będziemy ryzykować, że skrzywdzimy jakieś baby.

— Ja tam nie mam żadnej białej szmaty — powiedział, jakby oszołomiony, więc ściągnąłem płótno ze sznura na bieliznę, oderwałem kawałek, a ta starsza kobieta, jak nie wrzaśnie:

— Moje najlepsze prześcieradło! — Baby nigdy nie wiedzą o co im chodzi.

Jakiś kilometr na południe, za niskimi, falistymi pagórkami widać było dach piętrowego domu Clantonów. Wuj Joel powiedział, że jest ich tam siedmiu facetów.

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Bill — powiedziałem, szperając po kieszeniach — wykup całą amunicję w Sawtooth. Ta wojna może trochę potrwać, a poza tym nie chcemy chyba zostawić nic Clantonom.

— W życiu czegoś takiego nie widziałam — powiedziała stara, ale weszła z córkami na wóz i Bill ruszył z nimi do miasta. Jim pojechał wymachując białą flagą, a ja zagoniłem wuja Joela i Joe'go do pomocy w przygotowaniach do oblężenia.

Nalaliśmy wody w co tylko się dało. Potem kazałem im zrobić okiennice, sam zabrałem się za czyszczenie i oliwienie broni. Niektóre sztuki wyglądały, jakby z nich nie strzelano od Wojny Secesyjnej.

Wkrótce wrócił Jim i powiedział, że Clantonowie są mocno poruszeni. Johna, najstarszego z chłopaków, przywieźli z miasta ze zwichniętą szczęką, a baby posłuchały ostrzeżenia i zwały do Sawtooth.

— Dobra! — mówię. — To teraz możemy wyróżnić resztę rodziny ze spokojnym sumieniem. Nie ma co ukrywać wrogości. Jim, pojedź do Clantonów i zastrzel ich starego, niech wiedzą, że zabawa się zaczęła.

Jim wyglądał, jakby miał rzygnąć. Popatrzył tępo na wuja Joela, który zbladł pod tymi swoimi bokobrodami, ale nic nie powiedział, więc Jim wsiał na konia i pojechał.

— Rozczarowałem się tymi waszymi chłopakami, wujku Joel — powiedziałem, sięgając znowu po bańkę z olejem. — Nie mają ambicji, żeby ciąć i rznąć. A powinni. W życiu nie myślałem, że spotkam jakichś krewnych Elkinsów, którzy nie rwaliby się do mordobicia dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wydawało mi się, że wy, Garfieldy z Arizony, to jesteście prawdziwe niedźwiedzie. Jestem absolutnie rozczarowany. A to co?

— To meksykańska escopeta — powiedział wuj Joel słabo. — Nie baw się tym, może wypalić zniecka.

Spluwa ładowana była od przodu, miała szeroki wylot lufy i nabita była kilkoma garściami śrutu. Pokraśniałem, na jej widok i właśnie zaczynałem doprowadzać ją do porządku, gdy wrócił Joel. Wyglądał na zniechęconego, a w spodniach brakowało mu siedzenia.

— Zrobiłem, jak żeście kazali — powiedział. — Zaczaiłem się za zagrodą i strzeliłem do starego Clantona, ale spudłowałem, a oni poszczuli mnie buldogiem.

— Co?! — ryknąłem. — A więc nie chcą walczyć, jak na cywilizowanych mężczyzn przystało, tylko zniżają się do podłych, niskich chwytów. A my mamy psa? — spytałem tknięty nagłą myślą.

— Nie — odparli.

— No dobra, ty i Jim jedźcie, i przywieźcie tu tego, buldoga. Potrzebny nam będzie pies, żeby szczekał, jak ktoś się będzie skradał w nocy.

— Ale nas zastrzelą! — zaprotestowali.

— Nie, jak to dobrze załatwicie, to nie — powiedziałem. — Odciągnijcie psa od domu nie pokazując się.

No i pojechali z kością wołową i siecią. Ledwie zniknęli, jak przyjechał Bill i powiedział, że w Sawtooth straszne zamieszanie i ludziska gadają, żeby przyjść tu kupą i mnie zlinczować. Wuj Joel stwierdził sarkastycznie, że w tej awanturze z Clantonami to tylko tej kupy nam tu brakuje, ale ja to olałem, bo obcy w swej niewiedzy zawsze chcą mnie linczować.

Wyładowałem amunicję, którą przywiózł Bill i wśród naboju znalazłem kilka paczek prochu. Popatrzyłem na nie, potem na escopetę i nagle przyszła mi do głowy myśl. Zawyłem tak, że wuj Joel wyskoczył przez najbliższe okno.

Wkrótce Jim i Joe wrócili z psem w sieci. Większa część ich ubrań była poszarpana.

Powiedzieli, że Clantonowie zabarykadowali się w domu na ranczo i strzelali do nich z dużej odległości, gdy szamotali się z psem. Musieli pomyśleć, że to fortel, aby ich wywabić z domu i zostali na ranczo.

To było to, o co mi chodziło.

Zaczynało się już zmierzchać i jak tylko zrobiło się ciemno, uwiązałem buldoga na podwórzu i kazałem wujowi Jeolowi, i Jimowi zamknąć wszystkie drzwi, położyć się na dachu ze strzelbami i pilnować domu. Billowi i Joe'mu kazałem pojechać, i przyciąć się na grzbiecie wzgórza nad domem Clantonów, i czekać na mnie. Zaprzęgnęłem do wozu parę najsilniejszych mułów i pojechałem do Sawtooth. Oprócz tych, którzy się zebrali w salonie, wszyscy już spali. Nie spotkałem nikogo, póki nie dotarłem do sądu.

Zatrzymałem się koło armaty, wysiadłem i zacząłem się przymierzać do załadowania jej na wóz, gdy z cienia ktoś wychynął. Później dowiedziałem się, że to był sędzia. Nic nie zrobił, tylko spytał:

— A ty co tu robisz?

— Pożyczam se tę armatę — powiedziałem, po czym schyliłem się, zarzuciłem ją na plecy

i ruszyłem do wozu. Sędzia złapał się za głowę, cofnął się i rzekł:

— O Boże, to ta gorzała mnie tak trafiła! Halucynacje mnie biorą!

Wpakowałem działo na wóz i odjechałem myśląc, że ludzie w tym Sawtooth są jednak dziwni.

Nie pojechałem na ranczo wuja Joela. Skierowałem się w stronę domu Clantonów. Zanim zjechałem z drogi na ich ziemię, załadowałem armatę amunicją; którą wziąłem ze sobą w koszu. To było duże, fajne działo i wpakowałem w nie kilka kilogramów prochu, kilogram kul karabinowych, cztery kilogramy śrutu, parę lemiesz, trochę drobnego żelastwa, dziesięć gwoździ, trochę pinesek, skobli, fajerek, klamek i krowi łańcuch.

Zwaliłem parę płotów i zatrzymałem konie niedaleko domu za wzgórzem, na którym czuwali Bill i Joe.

— Wychodził któryś z tych łajdaków? — spytałem.

Zaprzeczyli. Wszystkie światła były pogaszone i wyglądało na to, że wszyscy spali, no może oprócz kogoś na warcie.

— Dobra! — rzekłem. — Chcę ich wszystkich mieć w kupie. Wy, chłopaki zjeżdżajcie do domu i czekajcie tam na mnie.

— Co chcecie zrobić? — pytali.

— Chcę załatwić ten konflikt jednym strzałem — powiedziałem wyciągając działo z wozu.

— Mam zamiar wystrzelić cały klan Clantonów do nieba.

Zbledli, kolana im zadrżały i odjechali w pośpiechu. Zarzuciłem działo na plecy, zszedłem ze wzgórza obok zagrody, przelałem przez płot i ustawiłem armatę jakieś sto metrów od domu.

Nic się nie ruszało. Nawet, jeżeli ktoś był na straży, to musiał zasnąć. Nie wiedziałem, gdzie są sypialnie, ale wyliczyłem, że ładunek wymiecie cały dół domu tak, czy inaczej.

Ustawiłem armatę, wycelowałem, zapaliłem zapalnik i przytknąłem do zapłonu.

Bam!

Noc rozdarł oślepiający płomień. Wybuch zatrzęsł ziemią, a ładunek przeleciał przez dom jak tornado. Poprzez kłęby dymu zobaczyłem, że podmuch wywalił w domu na wylot dziurę, przez którą możnaby przegonić stado wołów. Budynek zaczął się chwiać i zapadać.

Ale w tej samej chwili wybuchł ogłuszający harmider i przez okna piętra zaczęli wyskakiwać mężczyźni w koszulach nocnych, niczym szczury z worka. Rozbiegli się we wszystkich kierunkach drąc się przeraźliwie, a ja zdałem sobie sprawę, że wszystkie te obłeśne Clantony spały na górze. Nawet jednego nie utłukłem! A poza tym to zapomniałem o odrzucie i tak mnie kopnęło, że przeleciałem przez belkę ogrodzenia. Zanim się wygramoliłem, zniknęli już wszyscy w krzakach, tak że nie mogłem nawet żadnego zastrzelić, jak wiali. Byłem tak cholernie rozczarowany, że usiadłem na miejscu i zacząłem żałośnie rozpaczać na całe gardło.

Potem się wściekłem i popędziłem szukać wrogów w zaroślach, ale nikogo nie znalazłem.

Najwyraźniej cały czas wiali, a ja nie znałem na tyle dobrze okolicy, żeby zapolować na nich w ciemnościach. Wróciłem w końcu bardzo zde gustowany.

Lufa armaty pękła w trzech czy czterech miejscach i widząc, że na nic już mi się nie przyda, postanowiłem odstawić ją do Sawtooth.

Muły zerwały się i uciekły, więc musiałem całą drogę taszczyć ją na grzbiecie i już witało, kiedy postawiłem ją z powrotem koło sądu.

Poszedłem potem do saloonu niezadowolony i spragniony. Nie cierpię, jak moje świetne pomysły sypią się, tylko dlatego, że jacyś frajerzy nie mają na tyle rozumu, żeby siedzieć tam, gdzie powinni. Chociaż było wcześniej, wszyscy łazili po ulicy i gadali o wybuchu. Któryś z Clantonów przegalopował przez miasto bez zatrzymania i wrzaskiem zawiadomił wszystkich o eksplozji, ale sam nie wiedział, co się stało. Jedni mówili, że to piorun, inni, że trzęsienie ziemi, a jeszcze inni, że tornado.

Nie zauważyli mnie, jak wszedłem do saloonu. Hałas działa mi na nerwy, więc ryknąłem:

— Cicho! Jak chcecie wiedzieć, co rozwaliło chatę Clantonów — to ja!

Wszyscy rzucili się do drzwi wrzeszcząc: „Ratuj się kto może! Wróć!” Po pewnym czasie wróciłem na ranczo wuja Joela na piechotę. Kiedy tam dotarłem, wujek trzymał w jednej ręce worek z koziej skóry, a w drugiej list który właśnie czytał i oznajmił mi:

— No, Breckinridge, wojna skończona. Stary Clanton odesłał mi tę forszę, co to ją ode mnie wygrał i chce pokoju. Mówi, że jak zwałamy na niego trzęsienie ziemi i tornada, to on ma dosyć.

— A! Więc on sobie myśli, że nas można kupić? — zgrzytnąłem zębami, czując, że pogwałcono mój honor. — Wyślijcie im tę forszę z powrotem i powiedzcie, że klanu Elkinsów nie można przekupić.



— Za diabła tego nie zrobię! — Zawył wuj Joel, pokazując po raz pierwszy pazury i przyciągnął do piersi nędzną mamonę.

— A właśnie, że zrobisz! — ryknąłem. — Żaden Elkins nigdy nie przehandlował honoru. Tylko krew może zmyć krzywdę wyrządzoną Elkinsowi! Wydzieriałem się, chodząc tam i z powrotem wymachując pistoletami, jak to mam w zwyczaju, gdy się wnerwie. — Jak Elkins wypowiada wojnę, to jest to wojna na śmierć i życie! A broń odkładamy dopiero wtedy, gdy wróg zalegnie unurzany w swojej jusze!

Chłopczy pochowali się wszyscy pod domem, a wuj Joel myślał głęboko. W końcu rzekł:

— Chyba masz rację, Breckinridge. Napiszę zaraz list z wyzwaniem i wyślę starymu Clantonowi razem z tą forszą.

— No, teraz mówisz jak Elkins! — pochwaliłem go, po czym przestrzeliłem parę okien, żeby się uspokoić. — Idźcie to pisać, a ja pokażę chłopakom, jak się rzuca siekierą. Wkrótce wuj Joel przyszedł z forszą i pismem, i zbladł, jak zobaczył, że na cel zużyliśmy jego najlepszy kapelus, ale nic nie powiedział. Dał Billowi kasę i list, a ja wziąłem jedną z wujkowych białych koszul, przyczepiłem ją do tyczki od fasoli, jako flagę pokoju i Bill pojechał. Szybko zacząłem się niecierpliwić, bo siedzenie na tyłku i czekanie na atak nie leży w naturze Elkinsa. To my zawsze atakujemy. Ale Clantonowie się rozproszyli, a ja nie wiedziałem, gdzie ich szukać, więc pozostało tylko czekać, aż sami przyjdą.

Nie podobały mi się okiennice i kazałem chłopakom je zdjąć i przerobić. Łaziłem z buldogiem po całym ranczo i szukałem dla niego najbardziej strategicznego miejsca. Za każdym razem, gdy wuj Joel wpadał na niego niespodziewanie, pies go gryzł, a wujek kłął obrzydliwie. Aż strach było go słuchać.

Billa nie było bardzo długo. Doszedłem do wniosku, że Clantonowie pogwałcili białą flagę i już miałem jechać go szukać, gdy przyjechał blade i podniecony. Powiedział, że dał Clantonom forszę i list, i odkrył ich kryjówkę. Według niego, rozbili się w kanionie, kilka kilometrów na południe i planowali napaść na nas tuż przed świtem. Bill powiedział, że moglibyśmy podkraść się zaraz po zmroku i wyróżnić ich wszystkich.

Bardzo się uradowałem i ucieszyłem, że zaczął w końcu pokazywać prawdziwego ducha Garfieldów i zaczęliśmy układać plany.

Ja z wujem Joelem mieliśmy się zakraść w dół kanionu i zaatakować ich od tyłu, a chłopaki mieli ich dopaść z flanki. Bili powiedział, że poniżej obozowiska Clantonów, kanion się zwężył i on z braćmi mogliby wdrapać się na skały, nad tym przewężeniem, a gdy Clantonowie zaczną wiać, zrzucą na dół pochodnie i w ich świetle wystrzelają drani. Strasznie mi to się podobało i jeszcze bardziej się ucieszyłem, gdy wuj Joel zaofiarował się, że wyczyści mi spluwy. Dałem mu je i posłałem chłopaków, żeby pilnowali dróg, na wypadek gdyby Clantonom się coś, odwidziało i zaatakowali za dnia. Dałem buldogowi kawał surowej wołowiny nasączonej whisky i prochem, żeby nie stracił bojowego ducha. Po tym, jak złamał ząb próbując mnie ugryźć, zostaliśmy dobrymi kumplami.

Potem załadowałem escopetę dużą ilością prochu, śrutem, gwoździami i kawałami soli. Daleko by nie doniosło, ale na krótki dystans narobiłoby dużo szkód.

Strasznie się niecierpliwiłem i nie mogłem się doczekać nocy, kiedy będziemy mogli wytłuc tych wszystkich Clantonów. W końcu zapadł zmrok i ruszyliśmy. Byłem gotów długo przed innymi. Przytroczyłem escopetę do siodła, nie mówiąc o tym nikomu, bo wujek Joel trząsał się na sam jej widok.

Gdy dotarliśmy do kanionu powyżej obozowiska Clantonów, rozdzielił się.

Uwiązaliśmy konie w krzakach i chłopcy poszli wzdłuż brzegu kanionu, żeby dostać się nad przewężenie poniżej obozu. Zeszliśmy z wujem Jodem do kanionu. Było tak ciemno, że nie widzieliśmy nic, oprócz zarysu krawędzi na tle gwiazd. Wuj Joel nie widział nawet, że na plecach miałem escopetę. Daliśmy chłopakom dużo czasu i ruszyliśmy w dół kanionu macając drogę w ciemności.

Wuj Joel robił tyle hałasu, że mógłby obudzić całą armię. W końcu zmusiłem go, żeby zdjął buciory, ale co włożył na ostry kamień; to jęczał i kłął. Uciszył się, gdy powiedziałem mu, że przez niego wszystkich nas tu wymordują.

Wkrótce trafiliśmy na gładką ścieżkę i powiedział, że podkradnie się i zobaczy, czy Clantonowie śpią, a jak śpią, to zawyje jak kojot. Nie chciałem go puścić, ale się upierał; więc dałem mu spokój i zniknął w ciemnościach. Po chwili usłyszałem ujadanie kojota.

Po omacku przelałem przez jakieś przewężenie i wyszedłem na obszerny plac. Nagle, ktoś zdarł koc z lampy i mnie oślepił, a na moje ramiona opadło łąso i unieruchomiło mi ręce. W tej samej chwili podniósł się straszny wrzask i opadła mnie chmara ciemnych postaci. Ryknąłem, zerwałem łąso, jakby to była bawełniana nitka, ściągnąłem z pleców escopetę i wypaliłem w ciemno. Podmuchał łąso całą bandę. Ludzie padali jak kręgle, wrzeszcząc i

klnąc. Ktoś jęknął:

— Ty stary durniu! Mówiłeś, że jego spluwa jest pusta!

A ktoś inny zawył:

— Znowu ma tą cholerną armatę! Łapać go, zanim znów załaduje!

A potem zakotłowałem się w śmiertelnej walce z tą hołotą, a przynajmniej z tymi, którzy się do tego nadawali.

Słyszałem, jak wuj Joel klnie gdzieś okrutnie. Nie wyciągnąłem pistoletów, bo bałem się, że go trafię. Latarnia została rozbita i walczyliśmy po ciemku. Tarzałem się w tej ciżbie, jednym ciosem kładłem trzech albo czterech, porwałem w ramiona tylu ilu zdołałem i ścisnąłem, aż zatrzeszczały im żebra. Rzuciłem kilku twarzami na ostre skały, a kilkoma innymi wymiotłem dno kanionu.

Było ich grubo więcej niż siedmiu. Ścierwo wałało się pod nogami i ciągle się potykałem, a cały kanion był pełen ludzi rwących mi się do gardła. Pomyślałem, że cała okolica przyszła pomóc Clantonom przeciwko mym krewniakom i ta stronnictwość tak mnie zdenerwowała, że podwoiłem wysiłki, a wrzaski trafianych wzniosły się pod rozgwieżdżone niebo Arizony. Ludzie strzelali do mnie w ciemności i trafiali się nawzajem. Niektórzy próbowali podciąć mi nogi i tych rozdeptywałem. Inni cięli się nożami na ślepo sądząc, że tną mnie. W końcu dopadłem, sądząc po wadze, największego faceta w tym tłumie, porwałem go za kostki i zakręciłem nim młynką nad głową kładąc pokotem tych idiotów.

Zaczęli wrzeszczeć: „Ratunku! Mordują!”, a potem popędził wszyscy w dół kanionu, a przynajmniej ci, którzy mogli pędzić. Rzuciłem za nimi moją ludzką maczugą i zapaliłem zapałkę, żeby policzyć trupy. Całe dno kanionu było zaśmiecone jęczącymi osobnikami. Najwidoczniej dałem za mało prochu, a za duży ładunek, bo ten wszystek śrut i gwoździe nie zabiły nikogo, chociaż ich nieźle poharatały.

Odnalazłem wuja Joela nasłuchując jego kłątów. Leżał na brzuchu i wymyślał straszliwie.

Wyglądało na to, że zatrzymał siedzeniem większość soli.

— Czegoś mi nie powiedział, że, taszczysz ten garłacz? — zaczął gniewnie. — Zostaw mnie! Umieram i chcę umrzeć w spokoju.

Bałem się, że Clantonowie powrócą, więc podniosłem go i wsadziłem na konia.

Zawołałem chłopaków, ale nie odpowiedzieli. Domyśliłem się, że Clantonowie ich zabili i nie zostało nam już nic innego, jak wrócić na ranczo i bronić się do końca. Wuj Joel jechał przewieszony przez siodło, jęczał i łkał, a potem zaczął kłać, aż strach było słuchać.

— Jesteście ostatnim z Garfieldów, wujku Joelu — rzekłem poruszony, — Ale nie martwcie się. Wasi synowie będą pomszczeni. Zostanę z wami aż do końca.

Gdy dojechaliśmy do domu, nie było widać śladu pościgu. Zostawiłem wuja Joela próbującego wydłubać trochę soli ze swego boku. Przybiłem okiennice i ściągnąłem buldoga, i wszystkie beczki z wodą, jakie tylko mogłem znaleźć.

— Jak nadejdą, to ja będę walczył, wujku Joelu — powiedziałem. — a Wy będziecie gasić, jak podłożą ogień.

Nic nie odpowiedział. Wyglądał na oszołomionego. No, ale każdy byłby oszołomiony po stracie wszystkich synów. Cóż, takie już są te waśnie rodowe. .

Właśnie wstawał świt, gdy wyrzesałem przez okno na piętrze i zawołałem:

— Idą! O rany, ciągną ze sobą armatę!

Zobaczyłem Clantonów na czele, obok szeryfa, zastępcę i jakichś czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi. Sądząc po ich siniakach i poobijanych obliczach, musieli to być ci, którym tak dołożyłem w kanionie. Razem z nimi nadciągała kompania żołnierzy z fortu i trzystu może czterystu gapiów.

Naprowadziłem muszkę mojej „czterdziestki piątki” na starego Clantona. Nacisnąłem spust, a oni wszyscy wrzasnęli i skulili się. Stary nie padł, a po odrzucie poznałem, że nabój nie miał kuli. Zacząłem jak opętany wyrzucać naboje i zobaczyłem, że oba pistolety nabite były ślepakami. Wtedy zobaczyłem Billa, Jima i Joe’go w tłumie razem z Clantonami.

— Żądam, żebyś się poddał! — łyknął szeryf.

— Cofnij się, bo cię podziurawię! — odwrzasnąłem chwytając za Winchestera. Obróciłem się gniewnie do wuja Joela.

— To wy załadowaliście moją broń ślepakami, gdy udawaliście, że ją czyścicie! — oskarżyłem go. — Czyście zgłupieli? A co wasi chłopcy robią z tymi tam?

Załamął się, gdy to usłyszał.

— Tak, to ja zamieniłem ci naboje! — wrzasnął jak dziki. — I to ja poszedłem naprzód w kanionie, żeby zawiadomić ludzi szeryfa, że nadchodzisz, ty cholerny maniaku! Jak wczoraj odsyłałem forszę staremu Clantonowi, to napisałem mu, żeby wymyślił z Billem jakiś plan, żeby cię złapać, i żeby ściągnął szeryfa z ludźmi. Wciągnąłem cię w pułapkę.

## Howard Robert E - Conan władca miasta

Gapilem się na niego absolutnie sparaliżowany.

— Ja nie chciałem bić się z Clantonami! — zawył. — To ty wpakowałeś nas w tę całą kaszanę! Jesteś zagrożeniem dla społeczeństwa! A teraz wypuść mnie stąd!

— Na co mi przyszło! Dożyłem chwili, gdy słyszę takie słowa! — powiedziałem ogłupiały. — kupiłeś haniebny pokój, wydając swego bratanka wrogom, jak owieczkę wilkom! Ale ten numer nie przejdzie. Przyjechałem tu bronić honoru rodziny aż z Nevady i obronię go pomimo ciebie.

Zapał się w sobie z cichym jękiem. Na zewnątrz usłyszałem starego Clantona:

— Dawać go tu, do diabła! Rozwalił mi cały dom i poharatał mi synów na śmierć!

Szeryf krzyknął: — Elkins, chcę z tobą pogadać! Nie strzelaj! — podjechał pod okno, skrzywił się i rzekł: — Mój dobry człowieku, nie możesz opierać się armii Stanów Zjednoczonych!

— Nie jestem twym dobrym człowiekiem! — wrzasnąłem. — Jestem Breckinridge Elkins, największy zabijaka, jaki kiedykolwiek zszedł z Gór Humbolta! Mogę załatwić grizzly, zakręcić lwem górskim trzymając go za ogon i pierwszy ugryzę grzechotnika! Jak będziesz gotów, to ruszaj, ty świeży frajerze! A tych twoich niebieskich żołnierzyków zwałę na jedną kupę, tak jak zrobił tatko pod Bull Run.

Cały się zalał purpurę, zachnął się i zachłysnął, i w tym momencie jakiś gość z siwymi bokobrodami przepchnął się przez tłum krzycząc.

— Jestem poczmistrz z Sawtooth. Mam list polecony dla Breckinridge'a Elkinsa.

Wrzucił list przez okno, a ja go złapałem. Potem się odwrócił i spokojnie odjechał poprzez tłum. Otworzyłem kopertę i przeczytałem:

Drogi Breckinridge!

Doszły mnie słuchy o tobie. Cbota u diabła, robisz w tym Sawtooth? Tamte ludziska to żadna nasza rodzina. Oni się piszą Guarfele. Przyjeżdżaj tu, gdzie twoje miejsce.

Twój wielce ci oddany wuj,

Joel Garfield, Rifle River, Arizona.

P.S. Tę rodzinę, cośmy mieli z nimi wojnę, to już przegoniliśmy z okolicy, ale przyjeźdź i tak. Chcę cię zobaczyć i inni też.

Ogłupiały patrzyłem na postać jęczącą na podłodze.

— Ty nie jesteś Joel Garfield, który przyjechał tu w 1869 z hrabstwa Guadalupe w Teksasie? — wykrztusiłem.

— Nie, nie jestem! — rzekł gniewnie. — Jestem Hoseph L. Guarfele! I przyjechałem tu ledwie dziesięć lat temu z Kansas!

W tym momencie mnie poniosło.

— A więc wykorzystałeś moją niewiedzę! — ryknąłem wyrzucając z wściekłości jego Winchestera przez szybę w drzwiach. — Zwabiłeś mnie tu podstępnie, żebym za ciebie walczył! Ty stary wężu, powinienem cię zastrzelić za narzucanie się niewinnym podróżnikom!

— Chciałeś, żebym wyszedł, to wychodzę!

Potem wyskoczyłem przez okno i spadłem prosto na konia kapitana, tuż za siodłem.

Zwierzak zarżał i przysiadł, ale zaraz skoczył i wyrwał do przodu. Trzymałem kapitana w pół i żołnierze nie strzelali, bo bali się, że go trafią. Przeleciałem przez ich oddział jak burza. Całe zbiegowisko rozpięchło się z dzikim krzykiem na sam mój widok i po chwili gnałem już spokojnie w stronę gór.

Te ludziska, co to mówią, że ukradłem kapitanowi konia, to kłamcy. Odesłałem go później.

I kłamstwem też jest to, że wrzuciłem kapitana na kaktusy, gdy już uciekłem jego żołnierzom. Nigdzie go nie wrzuciłem. Po prostu nie patrzyłem, gdzie go porzuciłem, a zresztą to on sam powinien patrzeć, gdzie leci. Ja tylko chciałem znaleźć się, jak najdalej od tego całego Sawtooth i tych obleśnych Gwaifelów. Nic mnie tak nie wkurza, jak niewdzięczność.

## KAWALERSKI WIECZÓR KUZyna BUDKA

Pewnego dnia dostałem list od ciotki Saragossy Grimez:

Drogi Breckinridge!

Jestem pewna, że uczucia, jakie żywi do ciebie kuzyn Bearfield Buckner z czasem osłabną. Był u nas na kolacji pewnego dnia, zaraz po tym, jak zastrzelił trzech chłopców od Evansa z Colorado. Wspomniałam więc niby przypadkiem o tobie i nie zrobił się tak purpurowy, jak to

Howard Robert E - Conan władca miasta

bywało zwykle, kiedy ktoś wymówił twoje imię. Pozieleniał tylko trochę, może dlatego, że zakrztusił się mięsem, które jadł. I powiedział tylko, że jeśli cię kiedykolwiek spotka, roztrzaska ci czaszkę dębową pałką, co było najłagodniejszą z wygłoszonych przez niego uwag na twój temat, odkąd wrócił do Texasu. Sądzę, że zarzucił już pomysł oskalpowania cię żywcem i zostawienia na prerii na pastwę sępów z połamanymi obiema nogami. Myślę, że za jakiś rok, będziesz się mógł z nim bezpiecznie spotkać. Jeśli będziesz musiał do niego strzelać, postaraj się tylko lekko go zranić, bo to przecież ty z nim zacząłeś. Mamy się dobrze, prócz tego, że James Allison ma złamaną rękę wskutek dyskusowania z kuzynem Bearfieldem o politykę. Życzę ci zdrowia, proszę, napisz kiedyś —  
— twoja kochająca Ciotka Saragossa.”

Miło pomyśleć, że rodzina serdecznie o kimś myśli i zapomina drobne urazy. Ale widzę, że Bearfield przekręca fakty i ustawia ciotkę Saragossę przeciwko mnie, inaczej nie napisałaby, że to ja z nim zacząłem. Wszyscy trzeźwo myślący ludzie wiedzą, że to nie była moja wina, wszyscy prócz Bearfielda, który jest uczulony na moim punkcie.

Kiedy dołączyłem do Starego Branta Mulhollanda, by pędzić z nim bydło z Pecos do Platte, wiedziałem, że Bearfield był gdzieś w Colorado, ale to nie miało dla mnie znaczenia. Bearfielda można było spotkać wszędzie, gdzie lała się wódka i strzelano ze strzelb z odciętymi lufami. Kłamię, kiedy mówi, że przybyłem w okolice High Horse specjalnie po to, żeby złamać mu życie i zniszczyć karierę.

Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem z dobrego i szczerego serca. Ale nie był mi za to wdzięczny. Kiedy przypominam sobie, jak musiałem jeść jaszczuki w towarzystwie bosonogich bandytów, żeby tylko nie musieć zabić tego sukinsyna, jego niewdzięczność boli mnie bardzo.

Po pierwsze, to w ogóle nie zamierzałem odwiedzać High Horse, ale parę kilometrów na pomoc stamtąd, skończyło nam się żarcie, więc Stary Mulholland przed świtem zerwał ze mnie koc i zaskrzeczał:

— Bierz wóz, jedź do High Horse i kup coś do żarcia. Tu masz pięćdziesiąt dolarów. Jeśli wydasz choć centa, na coś oprócz boczku, fasoli, mąki, soli i kawy, zapłacisz głową szczeniaku!

— Czemu nie wyśle pan kucharza? — zaprotestowałem.

— Ta świnia leży tam, w krzakach i wyrzuje resztki esencji waniliowej — odpowiedział Stary Mulholland. — W końcu to przez ciebie umieramy z głodu. Gdybyś tyle nie jadł, starczyłoby nam na cały szlak. Jesteś jedynym tutaj, komu mogę powierzyć pieniądze, a i tak nie ufam ci bardziej, niż bandzie Komanczów.

My, Elkinsowie, jesteśmy wrażliwi na takie uwagi, ale Stary Mulholland urodził się już z przekonaniem, że wszyscy chcą go wykołować. Zachowałem więc wyniosłe milczenie i nie powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła. Potem zaprzęgam muły i ruszyłem w drogę. Kapitana Kidda wziąłem ze sobą uwięzianego z tyłu, bo gdybym go zostawił, do mojego powrotu zdążyłby wykończyć wszystkie konie w obozie.

Kiedy dotarłem do miejsca, gdzie rozchodzą się drogi do Gailego i do High Horse, usłyszałem za sobą kogoś grającego na banjo i śpiewającego „Noe zbudował arkę”. Ściągnąłem lejce i po chwili zza zakrętu pojawił się najdziwniejszy zaprzęg, jaki widziałem od czasu, kiedy do War Point przyjechał cyrk.

Była to dwukółka, wymalowana na czerwono-biało-niebiesko i wyładowana dzbanami z mętną podejrzaną cieczą. Siedzieli w niej: facet w długim płaszczu i wielkim kapeluszu oraz skośnooki murzyn z małpą na ramieniu, grający na banjo.

Biały zdjął kapelusz, ukłonił się i powiedział:

— Witaj, przyjacielu mastodoncie! Czy mógłbyś udzielić mi informacji, która z tych dróg wiedzie do miasta High Horse?

— Ta na południe — powiedziałem. — Ta na wschód idzie do Gailego. Czy wy jesteście z cyrku? — zapytałem głupkowato.

— Cóż za pomówienie — on na to. — We mnie widzisz największego przyjaciela ludzkości od śmierci wynalazcy wódki z kukurydzy. Jestem profesor J. Lattimer, wynalazca i jedyny dystrybutor tego wybawienia dla cierpiącej ludzkości, czyli Uspokajającego Eliksiru Lattimera, dobrego dla zwierząt i ludzi!

Wyciągnął spod siedzenia dzban i pokazał go mnie, i jakiemuś, młodemu człowiekowi, który właśnie nadjechał drogą z Gailego.

— Pewne lekarstwo — powiednął. — Twój koń jest zbyt napalony na klacze? To wielkie bydło, które masz uwiązane do wozu ma w oku dziki błysk i...

— Nie jest napalony — przerwał mu. — Tylko krwiożerczy.

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Życzę zatem wam obydwu miłego dnia, panowie — powieź dział. — Muszę jechać, by ulżyć cierpiącym. Spotkamy się w High Horse.

Odjechał, a ja cmoknąłem już na muły, kiedy ten młodzieniec, który cały czas uważnie mi się przyglądał, spytał:

— Czy ty nie jesteś Breckinridge Elkins?

Kiedy potwierdziłem pokiwał głową ze smutkiem.

— Ten profesor nie musi jechać do High Horse, żeby szukać napalonych zwierząt. W Gallego jest właśnie facet, zwariowany jak talala, twój własny kuzyn, Bearfield Buckner!

— Co? — wykrztusiłem przerażony, bo w rodzinie nie było dotąd przypadków choroby umysłowej od czasu Evansa, wujecznego pradziadka Bearfielda, który kiedyś głosował przeciw Hickory Jacksonowi. Ale wyzdrowiał przed następnymi wyborami.

— To prawda — nawijał dalej ten gość. — Cierpi na halucynacje i twierdzi, że zamierza ożenić się z Ann Wilkins, dziewczyną z High Horse. Nie ma tam nawet kogoś o tym nazwisku. Zalewał się właśnie w saloonie, kiedy odjechałem, nie chcąc patrzeć na tę ruinę niegdyś szlachetnego człowieka. Boję się, że jeśli ktoś go nie powstrzyma, może sobie zrobić krzywdę.

— Piekło i niebo! — powiedziałem poruszony. — Czy to prawda?

— Prawda, jakim Lem Campbell — przysiągł. — Pomyślałem, że skoro jesteś jego kuzynem, mógłbyś zabrać go do mojego domu parę kilometrów na południe od Gallego i przetrzymać go tam kilka dni, nim oprzytomnieje — popatrzył na mnie pytająco.

— Zrobię coś więcej — powiedziałem, wyskakując z wozu i uwiązując muły. — Jedź za mną — powiedziałem, wsiadając na Kapitana Kidda. Dwukółka profesora zniknęła właśnie za zakrętem, pogoniłem więc za nią. Kiedy ją dopadłem, stanąłem przed nią w obłoku kurzu i zapytałem:

— Mówisz, że to leczy ludzi i zwierzęta?

— Niezawodne! — zapewnił Lattimer.

— Zawracaj i jedź do Gallego — powiedziałem. — Mam dla ciebie pacjenta.

— Ale Gallego to mała wioseczka — skrzywił się z niesmakiem — w High Horse jest kolej i wiele saloonów i...

— Ludzki rozum jest w niebezpieczeństwie, a ty marudzisz coś o kolei! — ryknąłem, wyciągając „czterdziestkę piątkę” i odstrzeliwując mu kilka guzików od płaszcza. — Kupuję cały ładunek twojego płynu. Zawracaj i jedź do Gallego! — dodałem ostro.

— Ani myślę dyskutować — powiedział, błady jak ściana. — Meshak, nie słyszysz tego gentelmana? Wyłaż spod siedzenia i zawróć konie.

— Tak, panie! — powiedział Meshak i zawrócili, akurat w chwili, kiedy nadjechał Lem Campbell.

Wyciągnąłem woreczek, który dostałem od Starego Mulhollanda i dałem go Campbellowi.

— Jedź z tym do High Horse, kup za to żarcie i wyślij do obozu stada Starego Mulhollanda w Litte Janktown. Ja jadę do Gallego, wóz będzie mi potrzebny, żeby załadować kuzyna Bearfielda.

— Sam to żarcie zawiozę — powiedział, łapiąc woreczek. — Jak cię tylko zobaczyłem, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Powiedział mi jeszcze, jak trafić do jego domu i popędził do High Horse, a ja odjechałem w przeciwną stronę. Mając dwukółkę zawołałem:

— Jedźcie za mną do Gallego. Jeden niech weźmie wóz, który stoi na rozdrożu. I nie próbujcie nawiać, kiedy zniknę wam z oczu.

— Przez myśl mi to nie przeszło — powiedział Lattimer. — Jedź i nie obawiaj się.

Będziemy jechać za tobą najszybciej, jak się da.

Ruszyłem więc zakurzonym szlakiem do Gallego. — Nie było to wielkie miasto, miało tylko jeden saloon. Jadąc usłyszałem z niego potężny ryk, drzwi otworzyły się i ze środka wyfrunęło trzech czy czterech facetów, lądując w pyłe na środku ulicy.

— Tak — powiedziałem sobie. — Kuzyn Bearfield jest w mieście.

Gallego wyglądało tak, jak wygląda każde miasto, kiedy Bearfield świętuje. Sklepy były pozamykane, żaluzje poopuszczane, na ulicach nie było nikogo, a w oddali było kogoś — chyba szeryfa — uciekającego co koń wyskoczy na wzgórze. Przywiązałem Kapitana Kidda przed wejściem. Wchodząc do saloonu potknąłem się o wyczołgującego się ze środka faceta w fartuchu barmana, o oczach tak podbitych, że nie mógł ich otworzyć.

— Nie strzelaj! — krzyknął. — Poddaję się!

— Co się stało? — spytałem.

— Ostatnie, co pamiętam, to jak mówiłem facetowi o nazwisku Buckner, że program

Demokratów jest głupi — powiedział. — Potem chyba zawałił się dach, albo coś w tym rodzaju. Jeden człowiek na pewno nie zdołałby mnie tak urządzić.

— Nie znasz mojego kuzyna — zapewniłem go.

Przeszedłem przez niego i wszedłem przez wyrwane z zawiasów drzwi. W pierwszej chwili pomyślałem, że Lem Campbell przesadził. Wyglądało na to, że Bearfield zachowywał się tak, jak zwykle, ale prędko zmieniłem zdanie.

Bearfield stał przy barze, nalewając sobie drinka, i miał na sobie najstraszniejszą, czerwono-żółto-zielono-purpurową koszulę, jaką w życiu widziałem.

— Co to jest — spytałem przerażony — to, co masz na sobie?

— Jeżeli chodzi ci o moją koszulę — odparł zirytowany. — To najszykowniejszy ubiór, jaki mogłem znaleźć w Denver. Kupiłem ją specjalnie na ślub.

— Więc to prawda! — jęknąłem żałośnie. Zwariował, jak cholera! Wiedziałem, że nikt przy zdrowych zmysłach nie założyłby takiej koszuli.

— Co jest zwariowanego w żenieniu się? — warknął, po czym odgryzł szyjkę butelki i pociągnął wielki łyk. — Ludzie to robią codziennie!

Obszedłem go ostrożnie dookoła, przyglądając mu się uważnie, co najwyraźniej wyprowadzało go z równowagi.

— Co się z tobą, do diabła dzieje?. — ryknął. — Mogę przecież...

— Uspokój się, kuzynie — starałem się go ułagodzić. — Co to dziewczyna, z którą wyobrażasz sobie, że masz się ożenić?

— Nic sobie nie wyobrażam, ty tępy gorylu — odparł wróg — Nazywa się Annie Wilkins i mieszka w High Horse, zaraz tam jadę i dziś jeszcze się pobierzemy.

Potrząsnąłem z politowaniem głową i powiedziałem:

— Musiałeś to odziedziczyć po twoim wujecznym pradziadku Evansie. Tata zawsze mówił, że choroba Evansa może znów pojawić się u kogoś z Bucknerów. Ale nie martw się, Evans został wyleczony i przez resztę życia głosował jak trza na Demokratów. Ciebie też, Bearfield, można wyleczyć i po to właśnie tu jestem. — Chodź, Bearfield — powiedziałem, chwytając go mocno za kark.

— Spieprzaj — odpowiedział kuzyn Bearfield, no i zaczęło się. Runęliśmy razem na ziemię i zaczęliśmy się po niej tarzać. Ten wieprz za każdym razem, kiedy był na górze, tłukł moją głową o podłogę, z której prędko posypały się drzazgi. Po dziesiątym obrocie ja znalazłem się na górze, wyrwałem kciuk spomiędzy jego zębów i powiedziałem:

— Bearfield, nie chcę używać siły, ale...ugh! — To „ugh” to dlatego, że walnął mnie w kark.

Moje motywy były najszlachetniejsze i właściciel saloonu niepotrzebnie się żołądkował z powodu tego, co Bearfield narobił potem. Czy to była moja wina, że Bearfield nie trafił mnie dwudziestolitrowym gąsiorem i zbił lustro za barem? Czy to przeze mnie Bearfield zniszczył stół bilardowy, kiedy przerzuciłem go przez niego, uderzeniem pięści? Co do zniszczonego piecyka, mogę powiedzieć tylko, że instynkt samozachowawczy to podstawowe prawo natury. Gdybym nie zdzielił Bearfielda po łbie tym masywnym złodem, bez wątpienia zmasakrowałby mi twarz tym stłuczonym kuflem, którego próbował użyć jako kastetu. Słyszałem, że obłąkani walczą strasznie, ale nie wiem, czy Bearfield bił się jakoś inaczej niż zwykle. Nie zastosował swojej starej sztuczki, polegającej na wbijaniu mi ostrogi w kark, kiedy toczyliśmy się po podłodze, a kiedy zbił mnie z nóg kołem do ruletki i zaczął po mnie skakać obiema nogami, przez moment pomyślałem, że zmięknę. Ale wstyd, że mam w rodzinie wariata, przywrócił mi siły, zrzuciłem go więc z siebie, wstałem, wyrwałem kawał miedzianej balustrady i zgąłem ją na jego głowie. Bearfield wypuścił z ręki nóż, zachwiał się i runął na podłogę.

Otarłem z twarzy krew i z radością odkryłem, że wciąż widzę na jedno oko. Odwinąłem z głowy Bearfielda balustradę i wyciągnąłem go za nogę przez drzwi. Akurat w tej chwili nadjechał profesor w swojej dwukółce. Meshak z małpą jechali za nim moim wozem.

— Gdzie pacjent? — spytał Lattimer.

— To ten! Rzućcie mi linę. Zabieramy go do chaty Lema Campbella, gdzie będziemy go kurować, aż odzyska rozum — powiedziałem nastawiając sobie wybity kciuk,

Kiedy wiązałem Bucka, zebrał się naokoło nas niezły tłumek, a sądząc z rzucanych przez nich uwag, kuzyn Bearfield nie miał W Gallego zbyt wielu przyjaciół. Kiedy taszczyłem go do wozu, jeden z gapiów zapytał, czy jestem szeryfem, jak mu powiedziałem, że nie, zwrócił się do tłumy:

— Do diabła, chłopcy, czemu nie zapłacimy teraz Bucknerowi za to lanie, jakie nam sprawił? Mówię wam, to jedyna szansa! Jest nieprzytomny i związany, a ten to nie szeryf! — krzyczał.

— Dawać linę! — zawył ktoś. — Powieśmy go!

Ruszyli naprzód, a Lattimer i Meshak przerazili się tak, że ledwo mogli utrzymać lejce.

Ale ja wsiadłem na konia, wyciągnąłem pistolety i powiedziałem:

— Meshak zawracaj i jedź na pomoc. Profesor, za nim. Hej ty! Zostaw te muły!

Jeden z tłumu próbował zatrzymać je, chwytając za uprząż, odstrzeliłem mu więc obcas od buta i upadł, miotając przekleństwa.

— Z drogi! — ryknąłem, wymachując pistoletem w stronę zgromadzonych ludzi, którzy cofnęli się pośpiesznie. — Ruszajcie! — wydarłem się, posyłając mułom dla zachęty parę kulek przed kopyta i wóz odjechał pędem z Gallego skacząc na wybojach z Meshakiem uczepionym siedzenia, wrzeszczącym jak obdzierany ze skrótym szympansem. Profesor ruszył za nim w swojej dwukółce. Pojechałem za nim, oglądając się, czy nikt nie strzela mi w plecy, bo niektórzy wyciągnęli pistolety. Ale nikt nie strzelał, dopóki byłem w zasięgu strzału z pistoletu. Potem ktoś wypalił ze strzelby na bawoły, ale chybił przynajmniej o pół metra, nie zwróciłem więc na to uwagi i wkrótce miasto zniknęło mi z oczu.

Bąłem się, że Bearfield oprzytomnieje i spłoszy muły swoim wyciem, ale poręcz musiała być twardsza niż sądziłem. Był jeszcze nieprzytomny, kiedy zatrzymaliśmy się przed chatą stojącą w małym zagajniku pośród wzgórz, o parę kilometrów na południe od Gallego. Kazałem Meshakowi wyprząć muły i zamknąć je w corralu. Sam wniosłem Bearfielda do chaty i położyłem na łożku. Lattimerowi powiedziałem, żeby przyniósł cały zapas eliksiru, którego miał trzydzieści pięć lit w dzbankach po trzy i pół litra każdy. Dałem mu za to wszystkie pieniądze, jakie miałem.

Niedługo potem Bearfield podniósł głowę i zobaczył naprzeciw niego profesora Lattimera w szerokim kapeluszu i długim płaszczu, skośnookiego Mashaka i małpę. Zamrugał oczami i westchnął:

— Mój Boże, chyba zwariowałem. To nie może być prawda!

— Jasne, że zwariowałeś, kuzynie — pocieszyłem go. — Ale nie przejmuj się...

Bearfield przerwał mi rykiem, od którego twarz Meshaka przybrała kolor brzucha ryby.

— Rozwiąż mnie, bydlaku! — wył, rzucając się na łożku jak pyton, którego sparła kolka, zmagając się z więzami, aż żyły wezbrały mu na czole. — Powinienem być teraz w High Horse, na swoim ślubie...!!!

— Widzisz? — pokiwałem głową do Lattimera. — To ciężki przypadek, lepiej zacznijmy go leczyć od razu. Przynies lejek. Ile się tego daje?

— Dla konia litr na raz — powiedział z powątpiewaniem. — Ale... —Zacniemy od tego.

— mruknąłem. — Jeśli będzie trzeba, zwiększymy dawkę.

Właśnie, puszczając mimo uszu straszliwe groźby Bearfielda, odkorkowywałem pierwszy dzban, kiedy usłyszałem za piecami głos:

— Co wy, cholera, robicie w mojej budzie?

Odwróciłem się i zobaczyłem krzywonogiego pokurcza z długimi wąsami, patrzącego na mnie wytrzeszczonymi oczami.

— Co znaczy „w twojej budzie” — zirytowałem się. — To jest dom mojego przyjaciela, który nam go wynajął.

— Jesteś pijany albo nienormalny — on na to, szarpiąc się za wąsy. — Zabieracie się stąd, czy mam się zdenerwować?

— Takiś groźny! — prychnąłem, zabierając mu rewolwer. Ale on wyciągnął nóż „bowie”

— wyrzucił go więc za drzwi i dla ostrzeżenia strzeliłem parę razy w ziemię koło niego.

— Dorwę cię jeszcze, ty wielki prosiaku! — zawył, biegnąc do uwiązanej przy płocie starej, kościstej chabety. — Jeszcze cię załatwię — obiecał, odjeżdżając galopem.

— Jak pan myśli, kto to był? — zastanawiał się nieco wstrząśnięty Lattimer, a ja mu na to:

— Jakie to ma znaczenie? Zapomnij pan o tym i pomóż mi dać lekarstwo kuzynowi Bearfieldowi.

Łatwo powiedzieć. Próbowaliśmy rozewrzeć oni szczęki, używając pogrzebacza jako dźwigni — bezskutecznie. Na szczęście otworzył usta, żeby mnie przekląć i wtedy szybko wpakowałem mu między zęby lejek. Zostawił na nim ślady zębów tak głębokie, jakby lejek wpadł w pułapkę na niedźwiedzie.

Wierzgał i kopał, póki nie wlailiśmy w niego całej porcji, a wtedy zeszytniał i oczy zaszyły mu mgłą. Kiedy zabraliśmy lejek, poruszał ustami bezgłośnie. Ale profesor powiedział, że konie zawsze się tak zachowują, po dobrej dawce medykamentu. Zostawiliśmy więc Meshaka, żeby go pilnował, a Lattimer i ja wyszliśmy na chwilę, żeby ochłonać.

— Czemu Meshak nie wyprzął koni od dwukółki? — zapytałem.

— To chce pan, żebyśmy tu zostali na noc? — udał zdziwienie.

— Całą noc, cholera! — zakląłem. — Zostajecie to, póki on nie wyzdrowieje, choćby to

miało trwać rok. Możliwe, że będziecie musieli przyrzadzić więcej tego lekarstwa.  
— To znaczy, że mamy się siłować z tym maniakiem trzy razy dziennie? — jęczał Lattimer.

— Może, kiedy lekarstwo zacznie działać, trochę się uspokoi — pocieszyłem go. Lattimer wyglądał, jakby się dusił, ale w tej chwili z domku rozległ się ryk, od którego nawet mi włosy stanęły dęba. Kuzyn Bearfield odzyskał głos.

Zerwaliśmy się na równe nogi, a z domu wypadł Meshak z takim rozpędem, że zderzył się z Lattimerem i przerwrócił go. Tuż za nim pędziła małpa, piszcząc, jakby ktoś jej podpalił ogon.

— Och, Panie Wszzechmocny! — szlochał Meshak, pędząc w stronę wysokiego drzewa. — Ten zwariowany człowiek rwie liny, jak nitki. On nas wszystkich pozabija! — Zachowywał się tak, jak zagoniony królik widząc zbliżającego się grzechotnika.

Wpadłem do chaty i zobaczyłem kuzyna Bearfielda tarzającego się po ziemi i klnącego, nawet jak na niego, zdumiewająco. Z przerażeniem zobaczyłem, że pozrywał już część lin i zdołał uwolnić sobie lewą rękę. Uchwyciłem ją, ale przez parę następnych minut jedyne, co mogłem zrobić, to trzymać się jej z całych sił, podczas gdy on rzucał mną po całym pomieszczeniu. W końcu zmęczyło go to i udało mi się go z powrotem związać. Lattimer wpadł do środka i odtańczył coś w rodzaju tańca węża.

— Meshak odjechał! — wrzeszczał. — Był tak przestraszony, że uciekł z małpą, dwukólką i wszystkim, co miałem. To wszystko twoja wina, ty człekokształtny mandrylu! — pienił się dalej.

Zbyt zdyszany, by z nim dyskutować, rzuciłem Bearfielda na jedno łóżko, a sam ciężko zwałem się na drugie, podczas gdy profesor skakał, komentował i wyliczał, ile mu jestem winien za wózek i bagaże.

— Słuchaj — powiedziałem, odzyskawszy dech. — Wydałem wszystko, co miałem, na twój eliksir, ale kiedy Bearfield odzyska rozum, będzie ci tak wdzięczny, że na pewno sam za wszystko zapłaci. Zapomnij teraz o tak marnych rzeczach, jak pieniądze i wykorzystaj swoją naukową wiedzę, żeby przywrócić Bearfieldowi zdrowie.

— Zdrowie! — wydarł się Bearfield. — To po to więziesz mnie tu jak baleron? Wiele świństwa wyżyciu piłem, ale nie śniło mi się, że coś może być tak ohydne, jak to, czym żeście mnie napoiili. To paraliżuje człowieka. Rozwiążcie mnie, do diaska.

— Będziesz się zachowywał spokojnie? — zapytałem.

— Jasne — obiecał. — Jak tylko ozdobię twoimi kiszkami okoliczne drzewa.

— Wciąż agresywny — powiedziałem ze smutkiem. — Lepiej niech będzie związany, profesorze.

— Ale ja właśnie mam się żenić w High Horse! — zawył Bearfield i rzucił się w więzach tak, że aż spadł na ziemię. Sam był sobie winien i nie powinien był mnie potem winić za to, że walnął głową w podłogę i stracił przytomność.

— Dobra — powiedziałem. — Mamy przynajmniej parę minut spokoju. Pomóż mi go położyć z powrotem do łóżka:

— Co to? — stęknął profesor, podskakując nerwowo, kiedy z krzaków rozległ się wystrzał karabinowy i przez domek świsnęła kula.

— Prawdopodobnie Wąsaty — powiedziałem, dźwigając z ziemi kuzyna Bearfielda. — Zdaje się, że widziałem u niego Winchestera. Słuchaj, robi się późno. Zobacz, czy w kuchni jest coś do żarcia. Jestem głodny.

Profesor był strasznym niedojdą, ale udało mu się znaleźć i ugotować trochę fasoli z boczkiem. Rozkazałem, by nakarmił Bearfielda, który ocknął się, poczuwszy zapach jedzenia. Nie sądzę, żeby Lattimerowi smakowało, bo za każdym razem, kiedy w ścianę uderzała kula, podskakiwał i krztusił się brudząc ściany. Wąsaty był uparty, ale strzelał z takiej odległości, że nie mógł narobić szkód. Poza tym strzelał beznadziejnie. Wszystkie jego kule szły za wysoko. Powiedziałem to profesorowi, ale mimo to był nieszcześliwy.

Nie odważyłem się rozwiązać Bearfielda, musiał go więc karmić nożem Lattimer; któremu tak trzęsły się ręce, że gorąca fasola spływała Bearfieldowi po szyi. Język, którym przemawiał wówczas mój kuzyn, po prostu nie dawał się słuchać.

Kiedy skończyliśmy, było już zupełnie ciemno i Wąsaty przestał strzelać. Jak okazało się później, skończyła mu się amunicja i pojechał na sąsiednią farmę pożyczyć trochę naboju. Bearfield przestał kłąć, leżał tylko i patrzył na nas. Miał najstraszniejszy wyraz twarzy, jaki kiedykolwiek widziałem u ludzkiej istoty. Lattimerowi zjeżyły się od, tego resztki włosów na głowie.

Bearfield wciąż walczył z więzami i musiałem je co chwilę poprawiać. Daliśmy mu więc następną porcję, po czym Lattimer powłókł się do kuchni i zwał pod stół, a ja sam czułem



się tak zmęczony, jak tylko może się zmęczyć Elkins.

Nie odważyłem się zasnąć, w obawie, że Bearfield oswobodzi się i zabije mnie, nim zdąży się obudzić. Usiadłem na drugim łóżku i obserwowałem go. Po chwili usnął, a z kuchni słychać też było chrapanie profesora.

Koło pomocy zapaliłem świecę. Bearfield obudził się i powiedział:

— Niech cię diabli, obudziłeś mnie z najśrodszego snu, jaki kiedykolwiek miałem. Śniło mi się, że łowiłem rekiny na Bermudach.

— Co w tym słodkiego? — zdziwiłem się.

— Używałem ciebie jako przynęty. Hej, co ty robisz!?

— Czas na lekarstwo — powiedziałem i bitwa rozpętała się na nowo. Tym razem udało mu się chwycić zębami mój palec i niechybnie, by go odgryźć, gdybym nie ogłuszył go żelazną patelnią z boczkim, Nim doszedł do siebie, miał już w sobie całą porcję eliksiru. Pomógł mi w tym Lattimer, który zbudził się, słysząc hałas.

— Ile to ma trwać? — spytał zrozpaczony. — Au!

To był Wąsaty. Tym razem podkraść się dość blisko chaty i pierwsza kula przeczesła włosy profesora.

— Jestem z natury cierpliwy, ale wszystko ma swoje granice — warknąłem, zdmuchując świecę i zrywając ze ściany dubeltówkę. — Zostań tu i uważaj na Bearfielda, a ja zajmę się Wąsatym.

Wymknąłem się z domku po przeciwległej stronie do tej, z której padł strzał i zacząłem skradać się naokoło przez krzaki. Księżyc wschodził. Wiedziałem, że potrafię wykołować Wąsatego. Każdy w Bear Creek by to potrafił. Oczywiście, z za kolejnej kępy krzaków zobaczyłem od tyłu Wąsatego, opartego o pień, celującego z Winchestera w chatę.

Opróżniłem więc obie lufy w tylną część jego ciała, a on zawył i podskoczył na zdumiewającą wysokość, po czym rzucił Winchestera i pomknął ścieżką na pomoc.

Tym razem postanowiłem go przegonić na dobre. Goniłem go więc, strzelając od czasu do czasu, ale ta cholerna strzelba była nabijana drobnym śrutem, więc tylko takie naboje wzięłem ze sobą. Nie widziałem dotąd, żeby biały tak szybko biegał. Wciąż nie mogłem dojść go dostatecznie blisko, aż po jakimś kilometrze dał nura w zarośla i straciłem go z oczu.

No to zawróciłem do drogi i właśnie miałem wyjść z krzaków, kiedy usłyszałem zbliżające się od pomocy konie. Zostałem więc w ukryciu i zaraz z za zakrętu wyjechało stępa kilku ludzi. W ich rękach błyszcząły Winchestera.

— Cicho teraz — szeptał jeden z nich — to już blisko. Okrążymy ich, nim się kapną, co jest grane. No, żywo chłopcy.

— Co to było, to przed chwilą? Ktoś strzelał — zaszeptał inny, nieco zdenerwowany.

— Może pobili się między sobą — zaczął inny. — Nieważne. Usadźmy tego drugiego, nim zrozumie co się święci. Potem powiesimy Bucknera.

— Jak myślicie, po co go porwali? — wtrącił następny, ale nie czekałem już dłużej.

Wstałem z za krzaka.

— Powiesić bezbronnego, bo was rozłożył w uczciwej walce? — zagrzmiałem i wypaliłem pomiędzy nich z obu luf.

Stali tak blisko siebie, że na pewno nie chybiłem żadnego. Wrzeszczeli, że przykro było słuchać. Konie przeraziły się hukem i błyskiem, zawróciły i cała banda pognęła mimo woli z powrotem. Strzelałem za nimi z pistoletów, ale nie odpowiedzieli i ich żałosne jęki szybko ucichły w oddali. To musieli być naprawdę twardzi faceci, nie?

Ale pomyślałem, że mogą wrócić. Usiadłem więc za krzakiem, z za którego mogłem obserwować drogę do Gallego. I, sam nie wiedząc, kiedy zasnąłem.

Obudziłem się o świcie. Poderwałem się i chwyciłem za broń, ale nikogo w pobliżu nie było. Ci panowie z Gallego mieli najwyraźniej dosyć. Wróciłem więc do chaty i zobaczyłem, że corral jest pusty, a mój wóz zniknął!

Biegając do chaty zobaczyłem przypięty do płotu list:

„Drogi panie Elkins:

Dla mnie już tego za wiele. Siwieję, siedząc i patrząc na tego wcielonego diabła, zastanawiając się, ile mam czasu, nim on zdoła się rozwiązać. Zabieram się stąd. Biorę wóz i zaprzęg, jako zapłatę za to, co zabrał mi Meshak. Elixir zostawiam, ale nie sądzę, żeby pomógł Bucknerowi. Jest dla napalonych zwierząt, nie dla obłąkanych morderców.

Szczerze panu oddany

Horacy J. Lattimer”

— Kurna — zakląłem, ruszając do chaty.

Howard Robert E - Conan władca miasta

Nie wiem, ile czasu zajęło Bearfieldowi wyplątanie się z więzów. W każdym razie czatował na mnie za drzwiami z żelazną patelnią w rękę i gdyby w chwili, gdy zdzielił mnie nią przez głowę, nie złamała się rączka, mógłby mi zrobić krzywdę.

Nie wiem też, jak udało mi się go poskromić, bo walczył jak obłąkany, z pianą na ustach i za każdym razem, kiedy mi się wyrывał chwycił dzban Uspokajającego Elikseru Lattimera i rozbijał mi go na głowie. Nim ogłuszyłem go nogą od stołu, rozbił już wszystkie dzbany. Podłoga była zalana eliksirem, a moje ubranie było nim przesiąknięte tam, gdzie nie było przesiąknięte krwią.

Związałem go ponownie, po czym usiadłem na łóżku, usiłując złapać oddech i zastanawiając się, co, do diabła teraz począć. Bo nie było już eliksiru, nie mogłem go więc leczyć, a skoro profesor zabrał wóz, nie było jak zawieźć go do cywilizacji.

Wtedy usłyszałem od zachodu gwizd pociągu i przypomniałem sobie, że niedaleko stąd, na południe są tory. Zrobiłem dla Bearfielda wszystko, co było w mojej mocy i teraz mogłem tylko odesłać go gdzieś, gdzie zaopiekują się nim inni.

Wyskoczyłem na dwór i gwizdnąłem na Kapitana Kidda, który wyleciał natychmiast z za narożnika domu, gdzie się na mnie zaczął i próbował znieacka kopnąć mnie w brzuch, ale nie dałem się. Zbyt wiele razy próbował mnie już skopać. Uskoczyłem i walnąłem go pięścią w chrapy, a potem osiodłałem, okiełznałem, przerzuciłem kuzyna Bearfielda przez siodło i poszedłem na południe.

Tą drogą musieli przedtem uciekać Meshak i Lattimer. Jakies pięć kilometrów od chaty, krzyżowała się ona z linią kolejową. Pociąg, który słyszałem przedtem gwizdał w High Horse. Kiedy nadjechał, pomachałem na niego. Zatrzymał się i załoga wyskoczyła, pytając, po co do cholery ich zatrzymuję.

— Jest tu ktoś, kto potrzebuje opieki lekarskiej — wyjaśniłem.

— To przypadek chwilowego pomieszania zmysłów. Odsyłam go z powrotem do Texasu.

— Zaraz — oni na to — my nie jedziemy do Texasu.

— Dobrze — burknąłem — wyładujcie go w Dodge City. Ma tam mnóstwo przyjaciół, którzy się nim zajmą. Wyślę z High Horse wiadomość do jego rodziny w Texasie, żeby po niego przyjechali.

Załadowali więc wciąż nieprzytomnego kuzyna Bearfielda, a ja dałem konduktorowi jego zegarek i rewolwer, jako opłatę za przejazd. Potem spokojnie poczłapałem do High Horse. Dotarwszy tam, kogo spotkałem najpierw? Oczywiście, że Starego Mulhollanda, który zawył na mój widok jak głodny wilk.

— Gdzie żarcie, ty koniokradzie! — rzucił się na mnie, nim zdążyłem coś powiedzieć.

— Co, Lem Campbell wam go nie przywiózł? — zdziwiłem się.

— Nie znam nikogo takiego — ciskał się. — Gdzie moje pięćdziesiąt dolarów?

— Cóż — rzekłem — wyglądał uczciwie.

— Kto? — zawył Stary Mulholland. — Kto, ty szczurze?

— Lem Campbell, ten, komu dałem twoją forszę, żeby kupić żarcie — wyjaśniłem. —

Dobra, nie ma sprawy, odrobie te pięćdziesiąt dolców.

Stary Mulholland wyglądał, jakby się dusił.

— Gdzie... mój... wóz...?

— Ktoś go ukradł — powiedziałem. — Ale to też odrobie.

— Nie będziesz u mnie pracował — zapienił się Stary, wyciągając rewolwer. — Jesteś zwolniony. A co do forsy i wozu, wezmę za to twoją szczeciniastą skórę!

No więc zabrałem mu rewolwer i próbowałem z nim pogadać, ale krzyczał tylko jeszcze głośniejsze i zamierzył się na mnie nożem. Zawsze irytowało mnie, kiedy ktoś próbował mnie zadźgać, więc zabrałem mu go, a jego samego rzuciłem w koryto do pojenia koni. Koryto zwężyło się ku dołowi i w jakiś sposób jego głupi łeb zaklinował się tam, tak, że facet zaczął się topić.

Zebrał się tłum i wszyscy próbowali go stamtąd wyciągnąć za nogi, ale tak nimi wymachiwał w powietrzu, że kto tylko podszedł, zaraz dostawał ostrogą w twarz. Podszedłem więc do koryta, złapałem je za boki i rozerwałem. Wypadł i wypluł pewnie z pięć litrów wody. I pierwsze, co powiedział, to oskarżył mnie, że umyślnie chciałem go utopić, oto, jacy ludzie są niewdzięczni.

Jeden z gapiów odezwał się:

— Bujda, ten duży nie zrobił tego wcale specjalnie. Byłem tu i widziałem wszystko.

Na to drugi:

— Widziałem to nie gorzej niż ty, ten duży chciał go utopić!

— Nazywasz mnie kłamcą? — powiedział pierwszy, sięgając po rewolwer.

Wtedy wtrącił się trzeci, mądrała:

Howard Robert E - Conan władca miasta

— Nie wiem, o co idzie, ale stawiam dolara, że obaj nie macie racji!

Potem odezwało się jeszcze kilku, wszyscy zaczęli się przekrzykiwać: hałas zrobił się ogłuszający. Ktoś sięgnął po broń. Pomyślałem, że jeśli zaczną do siebie strzelać, będą kłopoty, ułagodziłem więc narwańca, bijąc go pięścią po głowie. W następnej chwili, ktoś ryknął na mnie: „Ty skunksie!” i próbował uszkodzić mnie nożem. Za chwilę w całym mieście wrzała bijatyka i strzelanina.

Kiedy skończyłem wychowywać tego awanturnika, kolbą mojego Colta, nagle zreflektowałem się: „Ejże, Breckinridge, przybyłeś przecież do tego miasta z misją dobrej woli! Musisz troszczyć się o swoją biedną rodzinę.”

Ruszyłem w stronę stacji, kiedy zatrzymał mnie znajomy głos:

— Tam jest, szeryfie! Aresztujcie tego przeklętego włamywacza!

Obejrzałem się, a oto Wąsaty, od pasa w dół owinięty kocem jak Indianin i idący jak kaczką, pokazywał palcem na mnie i dał się, jakbym mu zrobił coś złego.

Wszyscy ucichli, a on krzyczał:

— Aresztujcie go, niech go szlag! Wyrzucił mnie z mojego własnego domu i zniszczył mi moje najlepsze spodnie z mojej własnej dubeltówki. Byłem w Knife River i wróciłem parę dni wcześniej, niż zamierzałem, a tam, w mojej chacie siedzi ten skunks. Za duży był dla mnie, to wróciłem do High Horse po szeryfa, a pod skórą miałem kilkaset ziarenek śrutu.

— Co masz do powiedzenia? — spytał szeryf niepewnie, jakby z jakichś przyczyn przestał lubić swój zawód.

— No co — odparłem — jasne, że wyrzuciłem tego palanta i naszpikowałem go śrutem, ale miałem rację. Ten domek wynajął mi pan Lem Campbell...

— Lem Campbell! — zaskrzeczał Wąsaty, skacząc tak, że omal nie zgubił koca. — Ten powsinoga wcale nie ma domu. Pracował u mnie, póki go nie wylałem wyjeżdżając do Knife River. Tego nicponia i łachmytę! Tfu! — splunął z obrzydzeniem.

— O matko — powiedziałem wstrząśnięty. — Czy nie ma już uczciwych ludzi na świecie? Zdaje się, że ktoś sobie ze mnie zakpił.

W tym momencie Wąsaty z cichym jękiem osunął się w ramiona swoich przyjaciół, a szeryf powiedział do mnie:

— Nie bierz tego do siebie, ale muszę cię aresztować, jeśli nie masz nic przeciwko...

Nagle od wchodu dobiegł gwizd pociągu i ktoś powiedział:

— Co u diabła, nie powinno być o tej porze żadnego pociągu! Ze stacji wybiegł zawiadowca, wymachując depeszą.

— Zabierzcie krowy z torów! Dostałem cynk z Knife River — pociąg wraca. Szaleniec o nazwisku Buckner wydostał się na wolność i zmusił ich do zawrócenia. Wzdłuż całej linii poszło polecenie otwarcia im przejazdu. Jadą pełną parą. Nikt nie wie, dokąd Buckner chce jechać. Podobno szuka swojego krewniaka!

Z daleka słyhać było hałas i to nie były odgłosy pociągu. Nie, to był inny dźwięk. Był mi, jakby znajomy. Zacząłem się zastanawiać, co też stało się z załogą pociągu.

— Czy to nie Bearfield Buckner? — zastanawiała się jakaś kobieta. — Brzmi całkiem jak on. No, na Ann Wilkins już za późno.

— Co takiego? — zapytałem. — Jest tu taka dziewczyna. Ann Wilkins?

— Była — przytaknęła kobieta. — Miała wczoraj wyjść za tego Bucknera, ale się nie pokazała. Kiedy jej poprzedni narzeczoną, Lem Campbell przyszedł do niej z pięćdziesięcioma dolarami, które skądś wytrzasnął, zdecydowała się na niego. Pobrali się i wyjechali do San Francisco na miodowy miesiąc... Co z tobą, młody człowieku? Jakoś pozieleniałeś. Co jadłeś ostatnio?

Nic nie jadłem. Myślałem. Oto zniszczyłem całą przyszłość kuzyna Bearfielda. I to z dobroci. Byłem jak rażony gromem. Przez dobroć zniszczyłem przyszłość kuzyna Bearfielda. Moje intencje, były, jak najlepsze, chciałem uratować go, przed dalszym staczaniem się w obłąd. I co dostałem w nagrodę? Podniosłem oczy, zobaczyłem dym i usłyszałem ryk, jakby stada spłoszonego bydła.

— Już jadą, jadą! — dał się ktoś. — Grzeją, aż miło. Słuchajcie tego gwizdu, mało nie wysadzą kotła!

Ale ja siedziałem już na Kapitanie Kidzie i oddalałem się w szybkim tempie. Ci, którzy mówią, że boję się Bearfielda, kłamią. Elkins nie boi się nikogo: ani drapieżnych zwierząt, ani Bucknera. Ale zobaczyłem, że Lem Campbell wykorzystał mnie, żeby usunąć Bearfielda ze swojej drogi i gdybym tam na mojego kuzyna wtedy zaczekał, to musiałbym go zabić albo samemu zginąć, a nie chciałem żadnej z tych rzeczy.

Odjechałem na południe, żeby uratować Bearfieldowi życie i zatrzymałem się dopiero w Durango. Rewolucja, w którą się tam wplątałem, była wypoczynkiem po moich ostatnich

Howard Robert E - Conan władca miasta  
kontaktach z kuzynem Bearfieldem.